MIĘDZY TOTALNOŚCIĄ A ZDRADĄ

Ziemkiewicz ostro o opozycji zmierzającej w stronę targowicy

Pospieszalski przeciw rodzącej się cenzurze

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 36/441 6–12 WRZEŚNIA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

BEATYFIKACJA PRYMASA TYSIĄCLECIA – CZY KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI BYŁ ANTYKOMUNISTĄ?

Joanna Siedlecka o inwigilowaniu przez UB Kazimiery Iłłakowiczówny

Piotr Semka znowu na łamach „Do Rzeczy"

W SZCZEREJ ROZMOWIE OPOWIADA O WALCE Z CHOROBĄ, NIEUDANYM POWROCIE TUSKA, ZJEDNOCZONEJ PRAWICY I KŁOPOTACH Z POLSKIM ŁADEM

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 36 >

Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 45e9aec52

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 45e9aec525

Mądrości w rocznicę wybuchu wojny

PAWEŁ LISICKI

Niezwykłe rzeczy dzieją się podczas debat tuzów myśli opozycyjnej zebranych na spotkaniu skromnie nazwanym Campusem Polska. Szkoda tylko, że nie wszystko można było oglądać na żywo. Jednak co lepsze i bardziej soczyste kąski z uczty intelektualnej wciąż do społeczeństwa docierają. Nie zamierzam się tym razem zajmować ani antykatolickimi wyskokami posła Sławomira Nitrasa (biedaczek twierdzi, że został źle zrozumiany), ani projektami uzdrowienia służby zdrowia zaprezentowanymi przez marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego (to jest dopiero senatorska głowa). Moją uwagę przykuły inne słowa. Być może, tak sobie myślę, to one właśnie są prawdziwą kwintesencją, autentycznym crème de la crème tego czegoś, co można by nazwać refleksją opozycji o Polsce i polskości. Moment, kiedy one padły (a było to 1 września, w kolejną rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej), i reakcje, jakie wzbudziły (pozytywne, hip, hip, hurra, brawo, mocno, dobrze), są doprawdy czymś znaczącym.

„Próbują nam wmówić, że historia Polski to historia ludzi niewinnych, zawsze niesprawiedliwie krzywdzonych, a wszyscy inni mają Polaków przepraszać, a Polacy mają te hołdy przyjmować i jeszcze domagać się finansowej rekompensaty. […] To jest złe myślenie, które zawsze wychodzi bokiem". Autorem tych mądrości jest Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej". Sława może już nieco przybladła i nie ta forma co kiedyś, ale najwyraźniej wśród uczestników zorganizowanego przez struktury PO wydarzenia wciąż uchodzi on za guru i mistrza. A więc warto dokonać tu pewnego, powiedzmy tak, rozbioru zdania.

„Próbują nam wmówić" – podmiotem tu jest oczywiście rząd, władze, nienawistny świat kontrolowany przez złowrogich kaczystów na czele z samym wcieleniem zła, prezesem PiS. Co nam próbują wmówić ci ludzie? „Że historia Polski to historia ludzi niewinnych". Czyżby? Szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałem żadnego z poważnych historyków lub publicystów łączonych (celowo używam tego określenia, bo tymi, którzy łączą, są właśnie dziennikarze „GW" i podobnych organów) z prawicą, którzy postawiliby taką tezę. Nie, Polacy nie są niewinni. Są wśród nich także tchórze, zdrajcy, chciwcy, ignoranci czy głupcy. Ale, i to jest najważniejsze, co się tyczy wybuchu wojny, Polacy jako naród byli faktycznie niewinni. I faktycznie naród polski, czy to się Michnikowi podoba czy nie, czy będzie tę tezę zwalczał czy wyśmiewał, „był niesprawiedliwie krzywdzony". I choćby wszyscy uczestnicy Campus Polska ze śmiechu się pokładali, tak to właśnie było – Polacy jako naród od 1 września 1939 r. byli niewinnie, niesprawiedliwie krzywdzeni i inni, nie wszyscy, ale ci, którzy za wybuch wojny i za jej przebieg i zbrodnie odpowiadają, „mają Polaków przepraszać". Właśnie to tak drażni i tak wkurza dużą część polskich elit, że w moralnym, metafizycznym (brr, jakie to okropne sformułowanie) znaczeniu Polacy byli po właściwej stronie. I nie da się tego zakrzyczeć tanimi sloganami, że „rusofobia, germanofobia, czechofobia, antysemityzm, to wszystko są gwoździe do pozytywnego myślenia o Polsce, to jest zamykanie polskiego myślenia w ciasnej trumnie głupoty, ciemnoty i prymitywizmu" (znowu Michnik, 1 września 2021 r.). „Fobia" – czyli pozbawiona podstaw wrogość i obawa przed drugimi – to zawsze rzecz zdrożna i uniemożliwiająca trzeźwe postrzeganie. Jednak w przypadku Polaków, kiedy mówi się o winach i odpowiedzialności 1 września, to wypominanie nam „germanofobii" czy „rusofobii" jest nie na miejscu i świadczy o kompletnym braku wrażliwości narodowej.

Jak można u licha mówić o „fobii" Polaków w odniesieniu do Niemców, którzy skazali nasz naród na śmierć i zniewolenie, lub w odniesieniu do Rosjan, którzy wytępili polskie elity i podporządkowali sobie polskie państwo? Pamięć o tych zbrodniach to nie „zamykanie polskiego myślenia w ciasnej trumnie głupoty, ciemnoty i prymitywizmu", ale podstawowy wymóg patriotyzmu i przywiązania do ojczyzny. To, że Michnik z innymi mogą teraz siedzieć i rechotać na Campusie, wywalczone zostało przez tych, którzy wierzyli, że istnieje sprawiedliwość i podział na dobro i zło. Że polskość jest osobną wartością, a naród jest ofiarą, a nie sprawcą zła.

Nihilizm narodowy doprowadził do tego, że wielu przedstawicieli polskich elit już tego nie rozumie. Pozostają im zatem albo połajanki na polskość à la Michnik, albo głupkowate dowcipy w stylu Rafała Trzaskowskiego, szydzącego z Jarosława Kaczyńskiego, „który powstrzymał bolszewików w 1920 r., później był bohaterem Powstania Warszawskiego, stworzył Solidarność i jest jednoznacznym bohaterem naszej wolności". Smutne. Jedyne, co mnie pociesza, to fakt, że z taką wrażliwością ludzie ci mają znikomą szansę wrócić do władzy. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z PIOTREM SEMKĄ
WRACAM Z DŁUGIEJ PODRÓŻY
Publicysta „Do Rzeczy" opowiada o swoich zmaganiach z koronawirusem i rehabilitacji oraz o tym, jak widzi obecne kłopoty rządu i opozycji

OPINIE

42 JAN FIEDORCZUK
CO SIĘ STAŁO Z „DOBRĄ ZMIANĄ"?
Dawny buntowniczy zapał polityków PiS ustępuje miejsca polityce „ciepłej wody w kranie"

44 JAN POSPIESZALSKI
CENZURA W SŁUŻBIE... ZDROWIA

HISTORIA

46 RAFAŁ ŁATKA
CZY PRYMAS WYSZYŃSKI BYŁ ANTYKOMUNISTĄ?
Kardynał Stefan Wyszyński kierował się chęcią zapewnienia możliwości działania w interesie Kościoła w warunkach antyreligijnej krucjaty prowadzonej przez władze PRL

50 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
ARANŻER Z DYPLOMEM KGB

ŚWIAT

56 PIOTR WŁOCZYK
GRANICE DAJĄ WOLNOŚĆ
Rozmowa z Sohrabem Ahmarim, felietonistą, autorem książek non-fiction i redaktorem naczelnym „New York Post"

58 OLIVIER BAULT
ZEMMOUR PREZYDENTEM?

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DROGA KU TARGOWICY
Aktywność środowisk lewicowo-liberalnych doprowadziła do wydarzeń bezprecedensowych i niemożliwych do zaakceptowania

22 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA GRANICY KONFLIKTU

24 ŁUKASZ WARZECHA
NIEMOC TUSKA

26 TOMASZ ROWIŃSKI
CZY ĆPANIE JEST FAJNE?

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
CHODZIŁO O ŻYCIE?

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KURKI NA WAGĘ ZŁOTA

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
OMINĄĆ LEMA
Szukamy kluczy do połamanej rzeczywistości XXI w. Stanisław Lem już pół wieku temu naszykował nam ich cały pęk

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

EKONOMIA

62 TOMASZ CUKIERNIK
ILE NAPRAWDĘ ZARABIAJĄ POLACY
Rozmowa z Łukaszem Komudą, ekspertem rynku pracy Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

64 JACEK PRZYBYLSKI
ZDROWIE Z APLIKACJI

O ZDROWIU

70 KATARZYNA PINKOSZ
TE LEKI POZWALAJĄ ŻYĆ I ODDYCHAĆ
Rozmowa o leczeniu mukowiscydozy z dr. Wojciechem Skorupą, pulmonologiem z Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (55), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (66), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 45e9aec525

ALIOR BANK

APLIKACJA MOBILNA

KONTO W APLIKACJI **ALIOR MOBILE** – PROSTA CODZIENNOŚĆ

POBIERZ Z Google Play | Pobierz w App Store | ODKRYWAJ W AppGallery

www.aliorbank.pl

Aplikację Alior Mobile można pobrać na telefon bezpłatnie ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei opartych na Google Mobile Services). Android i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych oraz właściwych regulaminach produktowych dostępnych w placówkach Alior Banku i na www.aliorbank.pl. Usługę Bilety i Parkingi realizuje Mobile Traffic Data Sp. z o.o. za pośrednictwem Systemu moBILET. Usługę Autostrady realizuje Autopay Mobility Sp. z o.o. Zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych konto oznacza rachunek płatniczy. Stan na 16.08.2021 r.

eprasa.pl 45e9aec525

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Robert Gardziński**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Czekamy na Wasze komentarze i opinie. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną do redakcji kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Ich tolerancja

Od czasu do czasu zdarzy im się powiedzieć prawdę (mam na myśli liberalną opozycję) i pokazać, jak ich zdaniem powinien wyglądać nowy wspaniały świat. Słowa, które padły w niedawnej wypowiedzi posła Nitrasa, nie powinny być traktowane jako „ciekawostka", „śmiesznostka", „głupotka" i puszczone w zapomnienie. Powinny być powtarzane ze śmiertelną powagą, nie mogą być bagatelizowane i powinny stanowić przestrogę. Przestrogę dla wszystkich tych, którym się wydaje, że polska opozycja zafunduje nam kraj sprawiedliwy, tolerancyjny, nowoczesny. Kraj, w którym będzie szanować się wszystkich.

Słowa, które wypowiedział pan poseł (przypomnijmy, zwracając się do katolików, powiedział: „Musimy was opiłować z pewnych przywilejów, dlatego że jeżeli nie, to znowu podniesiecie głowę, jeżeli się cokolwiek zmieni"), budzą moje przerażenie. Zwłaszcza zwrot o „podnoszeniu głowy". Jakie nadzwyczajne przywileje pan poseł ma na myśli? Bo ja nie czuję się uprzywilejowany. Wręcz przeciwnie, w dzisiejszym świecie czuję się coraz bardziej szykanowany, piętnowany, dyskryminowany. Co pan poseł chce nam zabrać, z czego „opiłować"?

Wśród moich znajomych wierzących, praktykujących katolików jest wielu wyborców Platformy, wielu, którzy popierają ruch pana Hołowni, pewnie nawet jacyś wyborcy Lewicy. Ukierunkowując swoje sympatie polityczne, sprawy wiary i podejścia do wiary polityków, na których głosują, często stawiają na samym końcu. To moim zdaniem błąd, który w przyszłości odczujemy bardzo dotkliwie.

PS Jestem mieszkańcem pasa Polski Wschodniej [...]. To dla nas trudny czas. Co robi opozycja w obliczu prowokacji Mińska i Moskwy oraz zbliżających się manewrów „Zapad-21"? O kogo się martwi? Chyba wypadałoby, aby martwiła się przede wszystkim o obywateli Polski, a mam wrażenie, że nasze dobro i bezpieczeństwo całego kraju są bardzo daleko na ich liście priorytetów. Pozostaje mi z nadzieją powtórzyć słowa redaktora naczelnego z ostatniego wstępniaka: „Być może największą zaletą kryzysów jest to, że dzięki nim można przejrzeć na oczy. Kto chce widzieć, ten zobaczy". Oby chcących widzieć było jak najwięcej.

J.J.

Bajeczny deser

Szanowni Państwo,
bardzo proszę, bądźcie tak mili, żeby przekazać moje piękne ukłony Paniom Joannie Bojańczyk i Małgorzacie Wołczyk oraz wyrazy uszanowania Panu Igorowi Zalewskiemu, Wszystkim Trojgu zaś ogromne podziękowania za bajeczny deser, jaki – po uczcie „Do Rzeczy" – stanowią dla mnie zawsze Ich felietony (zwłaszcza ta PERŁA Pani Wołczyk i perełka Pana Zalewskiego z nr 34/2021!).

Tomasz Umiński,
emerytowany profesor Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego

eprasa.pl 45e9aec525

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wyścig lewoskrętny

W chwili, gdy piszę ten felieton, nie wiem jeszcze, jak wypadnie pierwszy kongres ruchu Szymona Hołowni – Polska 2050. Na pewno niegdysiejszy gwiazdor TVN musi mieć poczucie, że powinien czymś błysnąć. Ostatnie dwa sondaże pokazały, że jego poparcie stopniało do poziomu ok. 8–9 proc. Sam Hołownia próbuje ściągnąć uwagę zapowiedziami, że na kongresie wystąpi ktoś, kto odmieni oblicze polskiej polityki. Jednak jeśli spojrzeć na wypowiedzi Hołowni z ostatnich tygodni, to widać, że stawia na wyraziście lewicowe hasła moralnej paniki wokół przybyszy zza wschodniej granicy. Ponadto Hołownia rozpływał się nad dość groteskową akcją posła Franka Sterczewskiego, którego happeningi na granicy z Białorusią wywołały nawet kpiny w obozie Platformy.

Czy można jednak dziwić się Hołowni, że chce dotrzeć z dość demagogicznymi postulatami do ludzi młodych? Przecież cały niedawny Campus Rafała Trzaskowskiego w Olsztynie był wymodelowany tak, aby uzyskać akceptację „fajnopolackiej" młodzieży. Charakterystyczna była reakcja Donalda Tuska na pytanie młodego człowieka o imieniu Linus – kiedy ów będzie mógł wziąć ślub ze swoim „chłopakiem". Większość mediów nie opisywała dokładnie tej wymiany zdań, cytując tylko wypowiedź Tuska o tym, że legalizacja związków partnerskich będzie jedną z pierwszych decyzji jego przyszłego rządu.

Początkowo jednak Tusk przez dobre ileś minut próbował odpowiadać młodemu uczestnikowi Campusu w pełen uników sposób. Nowy lider Platformy podkreślał, że do takiej zmiany musi dojść dopiero po odpowiedniej zmianie społecznej świadomości. Gdy jednak wyczuł, że sala źle przyjmuje takie zygzaki, natychmiast zadeklarował, że będzie to jedna z pierwszych decyzji po odzyskaniu władzy.

Taką samą skłonność do lewostronności zaprezentowali ostatnio liderzy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Władysław Kosiniak-Kamysz deklarował, że on nie będzie głosował za związkami partnerskimi ani za aborcją na żądanie. Cóż jednak znaczą takie gromkie obietnice, jeśli w Sejmie powstanie większość Platformy i Lewicy do zalegalizowania zabijania dzieci nienarodzonych? Jeżeli na sali sejmowej będzie odpowiednio duża koalicja proaborcyjna, to głosy Kosiniaka-Kamysza nic nie dadzą.

Ponowny styl uników zaprezentował niedawno Marek Sawicki z PSL, który w jednym z wywiadów z emfazą głosił: „Życie prywatne zostawiamy ludziom, a nie próbujemy im ustawić nie tylko meble, ale też, z kim mają sypiać". To dobry przykład, jak politycy pozujący na konserwatystów przyjmują retorykę lewicy. Chodzi przecież o to, czy związki kobiety i mężczyzny mają otrzymać taki sam status prawny i taką samą ochronę ze strony państwa jak związki dwóch osób różnej płci.

Wszystko to pokazuje, że im bardziej spłaszczać się będzie pozycja między Platformą i Lewicą, Hołownią i PSL, tym bardziej te ugrupowania opozycji będą ulegać presji i dostosowywać się do gustów obecnej młodzieży. Swoistym ideologiem tego typu polityki był sam gospodarz Campusu Rafał Trzaskowski. „Waszą siłą jest brak kompleksów i to wy sami wyznaczycie sobie swą rolę" – stwierdził. Wtórował mu w równie wazeliniarskim tonie sam Donald Tusk: „Za dwa–trzy lata to się skończy [rządy PiS – przyp. aut.]. Nam chodzi o to, żeby zrobić miejsce dla was, młodych".

Wyścig na dotarcie do gustów najmłodszych wyborców możemy uznać za rozpoczęty. ©℗

FOT. WANG YING/XINHUA/EAST NEWS

ŚMIERTELNE ŻNIWO HURAGANU IDA

Co najmniej 45 osób zginęło, gdy przez wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych przeszły w ubiegłym tygodniu wyjątkowo ulewne deszcze, burze, powodzie oraz tornada. Tropikalny sztorm po huraganie Ida sparaliżował wiele miast w stanach Nowy Jork, New Jersey i Pensylwania. Wcześniej huragan Ida uderzył w wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, w wyniku czego śmierć poniosło kilkanaście osób. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

A więc wojna?

Agencja Reutera podała, że europejski komisarz ds. gospodarki Paolo Gentiloni na posiedzeniu jednej z komisji Parlamentu Europejskiego zapowiedział wstrzymanie środków należnych Polsce z Funduszu Odbudowy dopóty, dopóki nie uzna ona jasno wyższości prawa unijnego nad swoim krajowym. Informacja wywołała u nas zrozumiałe poruszenie – nieskrywaną radość znękanej ostatnimi sondażami lewicowo-liberalnej opozycji, liczne: „A nie mówiliśmy?" polityków Solidarnej Polski i Konfederacji, którzy swego czasu krytykowali Mateusza Morawieckiego za zgodę na uzależnienie dotacji z FO od „oceny praworządności", ze strony rządu zaś uspokajanie, że to tylko tzw. dziennikarska kaczka i nie należy się przejmować, bo Reuters słowa Gentiloniego wyrwał z kontekstu i przeinterpretował. Sam Gentiloni i Komisja Europejska milczą, przynajmniej do chwili zamknięcia niniejszego numeru.

Jedni przypomnieli po raz enty, że ani traktaty unijne, ani umowy związane z Funduszem Odbudowy nie dają Komisji Europejskiej prawa do blokowania żadnych pieniędzy i że wyższość prawa krajowego nad unijnym – poza tymi obszarami, gdzie państwa członkowskie scedowały na Unię konkretne kompetencje – wynika jasno z traktatu lizbońskiego i wszystkich wcześniejszych umów. Drudzy przypomnieli, że eurokraci od dawna już jawnie depczą traktaty, starając się przekształcić unię suwerennych państw w jedno federalne europejskie państwo metodą faktów dokonanych i wykorzystując przy tym panikę wywołaną koronawirusem. Oczywiście i jedni, i drudzy mają rację. Rację mają też ci, którzy zwracają uwagę, że zasadę wyższości prawa krajowego nad unijnym jasno i stanowczo ogłosili Niemcy, którzy właśnie otrzymali pierwszą transzę FO, i ci, którzy powiadają, że Niemcom eurokraci podskoczyć się nie odważą, a nas czują się w prawie kopać, jak chcą.

Wszystko to wygląda na klasyczną wojnę nerwów. Wstrzymanie funduszy z podanych przez Gentiloniego powodów byłoby odpaleniem bomby atomowej, która może rzuci Polskę na kolana, a może wysadzi w powietrze całą Unię. Ale co szkodzi spróbować, czy Polacy się nie przestraszą i nie ulegną? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jordan i inni

Moja dobra koleżanka na studiach nie mogła uwierzyć w zbrodnie popełnione przez „republikanów" (czyli anarchistów, komunistów i towarzyszy) w czasie hiszpańskiej wojny domowej, bo przecież Robert Jordan z „Komu bije dzwon" to jeden z najsympatyczniejszych bohaterów literackich. Jak widać – rzeczywistość wirtualna nie urodziła się wczoraj. Maurras w ogóle uważał, że istotnym źródłem rewolucji stał się światopogląd literacki, poglądy XVIII-wiecznych pisarzy, które, niezależnie od dzieła encyklopedystów, równolegle do oświecenia, torowały drogę romantyzmowi. Wymyślone życie, wymyślone fakty, oceniane według wymyślonych kryteriów, legły u fundamentów wymyślonego społeczeństwa.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie scena w „Filadelfii" (bodaj pierwszym filmie lansującym „sprawę gejowską"), w której przysłuchujący się procesowi homoseksualny partner głównego bohatera z niedowierzaniem słucha, że jego ukochany mógł go zdradzać z przypadkowymi partnerami. Ma minę taką, jakby nigdy nie słyszał o klubach gejowskich. Jakby niewierność i prymitywne żądze po prostu nie mieściły się w jego wyobraźni! Ot, taka mała ilustracja tyleż namiętnego, co czystego związku. I ciekawa sugestia dla tych, którzy o „kulturze gejowskiej" czy wszystkich pokrewnych zjawiskach dowiedzieli się dopiero z „Filadelfii".

Golo Mann pisał, że historia jest ciekawa, jeśli interesują nas ludzie. Ale nie dla wszystkich ludzie są ciekawi, dla niektórych życie i ludzie są nudni. A fikcja – literacka czy ideologiczna – ma zdolności magiczne. Jest w stanie totalnie wywrócić cały porządek kultury, udowodnić, że czarne jest białe, a białe jest czarne. Dziś czytanie wychodzi z mody, społeczne oddziaływanie literatury coraz bardziej słabnie. Ale to tylko mutacja. Miejsce światopoglądu literackiego zajmuje znacznie powszechniejszy światopogląd serialowy, a zmienianie fikcji w rzeczywistość jedynie nabiera tempa. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Koniec świata szwoleżerów

Znawcy geopolityki podkreślają, że interwencja USA w Afganistanie po spektakularnej klęsce była zapewne ostatnią w przewidywalnej przeszłości, co Europie, szczególnie środkowo-wschodniej, nie wróży najlepiej.

Angelo Panebianco, komentator „Corriere della Sera", napisał, że państwa i przywódcy w Europie Zachodniej, od drugiej wojny pod parasolem ochronnym Waszyngtonu, są kompletnie nieprzygotowani do podjęcia trudnych wyzwań nowej, groźnej sytuacji, bo dotychczas takie sprawy załatwiali za nich Amerykanie.

Panebianco prorokuje, że próba budowy skoordynowanych, poważnych europejskich sił zbrojnych i wspólnej strategii wojskowej raczej się nie powiedzie. Wskazał na kłótnie w łonie Unii Europejskiej, również różne postrzegania zagrożenia, choćby ze strony Rosji, ale też na mentalność europejskich sił postępu, przesiąkniętych pacyfizmem i, jak to nazwał, „perfekcjonizmem demokratycznym". Czyli przekonaniem zideologizowanych pięknoduchów, że liczą się jedynie demokratyczne ideały i prawa człowieka, co nie pozostawia ani spłachetka przestrzeni na pragmatyzm. A bez pragmatyzmu sensownej polityki prowadzić się nie da.

W telewizji RAI wystąpił afgański lekarz mieszkający w Italii. Powiedział, że podstawowym błędem Zachodu w Afganistanie było to, że próbował przeszczepić demokrację na niezbyt w tym względzie żyzną glebę świata islamu. Większości Afgańczyków demokracja zaś niespecjalnie się podoba, a ta wprowadzana bombowcem i haubicą – w ogóle. Czyli, sięgając po język Stalina, demokracja tak pasowała Afgańczykom jak krowie siodło.

Zastanawiam się, jak i czy to w ogóle możliwe, że przez 20 lat wojny tej dość banalnej prawdy Zachód nie dostrzegł. Sprzedawano nam za to ckliwe bajeczki o tym, jak to się Afganistan demokratyzuje, a kobiety masowo zrzucają burki. Talibowie nam to wszystko spakowali w paczkę i wraz z kilkuset tysiącami „nawróconych" wysłali na Zachód.

Zamiast eksportować demokrację, importujemy uchodźców. Chyba gorzej nie można było tego zrobić. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Joe, już czas...

Są takie zdjęcia, które przechodzą do historii. Jedna z takich fotografii spowodowała, że w ubiegłym tygodniu zapłonął Twitter nie tylko w Stanach i nie tylko w Polsce. Zdjęcie na okładce umieścił poczytny „New York Post" z tytułem „Dishonor" („Hańba"). Widać na nim prezydenta USA Joe Bidena ubranego na czarno, prawą ręką trzyma się za serce, na lewej sprawdza godzinę, jakby gdzieś się spieszył. Zdjęcie zostało zrobione na lotnisku w czasie, kiedy trumny z ciałami zabitych w zamachu w Kabulu żołnierzy USA wynoszono z samolotu. Zdecydowana większość komentarzy nie nadaje się do przytoczenia. Ktoś zestawił to zdjęcie z fotografią zrozpaczonej kobiety, która klęczy przed trumną męża, dotykając jej czołem. „Hańba". A zaledwie kilka dni później Biden obwieścił publicznie światu: „Ewakuacja z Kabulu była wielkim sukcesem". Te słowa spowodowały, że zapłonął Twitter nie tylko w Stanach i nie tylko w Polsce. Zdecydowana większość komentarzy nie nadaje się do przytoczenia...

Chyba pora obstawiać zakłady, jak długo śpiący Joe będzie jeszcze prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nawet liberalne media kipią oburzeniem, komentując jego prezydenturę czy raczej jej parodię.

Sprawdźmy jednak, co u nas. Skończył się Campus Polska Przyszłość organizowany przez Rafała Trzaskowskiego. Wszyscy, ale to wszyscy zgodnie ocenili, że był to wielki sukces. Część obserwatorów i komentatorów oceniła w swojej zdumiewająco przenikliwej bezczelności, że był to jednak sukces PiS i że w przyszłym roku to PiS właśnie, a nie żadne tam niemieckie fundacje, powinien zostać głównym dobrodziejem, czy tam sponsorem, tej imprezy dla młodych. Dlaczego? Pewnie z powodu Sławomira Nitrasa i jego chęci piłowania katolików, Tomasza Grodzkiego i zapowiedzi, że w Polsce szpitali jest za dużo o 800, Elżbiety Bieńkowskiej, że pieniądze z Unii Europejskiej nie powinny do Polski płynąć za szybko, i wreszcie nieocenionego Leszka Balcerowicza z jego żądaniem, aby dla nieprawomyślnych dziennikarzy tworzyć pręgierze.

Słusznie albo niesłusznie, ale raczej słusznie łączono te właśnie kampusowe oracje i głośny już na świecie (nie żartuję) Przygraniczny Bieg Trawiasty Franciszka z Niebieską Torbą (w skrócie PBTFzNT) z sondażowym wzrostem poparcia dla PiS. Twitterowi szydercy zabrnęli nawet w rejony absurdu, twierdząc, że opozycja robi PiS gotowe spoty wyborcze. Może to zresztą żaden absurd?

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 45e9aec525

ŚPIEWAĆ NIE KAŻDY MOŻE

Aktorka Joanna Moro przeżywa trudne chwile po tym, jak przez przypadek w powtórkach koncertu, na którym wystąpiła, zabrano playback i pokazano, jak jej śpiew wypadł naprawdę – Moro fałszuje, nie zna słów, w skrócie – porażka. Sama Moro najpierw rozpaczała, a później postanowiła wziąć się w garść, wydając oświadczenie, że wszyscy podczas takiej trasy koncertowej działają „pod presją czasu i w niewyobrażalnym stresie", a poza tym przecież liczy się dobra zabawa i show, a nie jakiś tam talent do śpiewania.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

– Dla nas liczy się przede wszystkim dobra zabawa i show. I taki ten koncert był. Radosny, taneczny i żywy. Dziękuję ekipie za świetną współpracę przy każdym z koncertów podczas wakacyjnej trasy, uśmiech na twarzach publiczności to dla nas największa nagroda. A błąd jest rzeczą ludzką. Człowiek, który nie popełnia błędów, zwykle nie robi nic – twierdzi celebrytka. Ciekawe, co uważa za błąd w tym wypadku. Fakt, że śpiewa na koncertach, choć nie umie, czy to, że wyszło to na jaw?

MĄDRA ŻONA MĘŻA KORONA

Co to jest za historia! Żona posła Łukasza Schreibera, który jest też sekretarzem stanu w kancelarii premiera, postanowiła zostać wziętą modelką. W tym celu udała się do TVN, by wziąć udział w programie rozrywkowym „Top Model", gdzie na castingu wyznała, że mąż nic o tym nie wie, bo jej udział jest „sprzeczny z jego spojrzeniem na obraz ich rodziny". Oczywiście przeszła do następnego etapu, żadna telewizja nie zmarnowałaby takiej okazji. Coś czujemy, że kariera pani żony w TVN będzie rozwijać się wprost proporcjonalnie do zwijania politycznej kariery męża w rządzie. Cóż, jak mówi stare porzekadło: „Dobra żona głowy mężowej korona".

PS Ta zasada działa w obie strony, żeby była jasność, bo zaraz nam się feministki tu zlecą!

FOT. PAWEŁ GRODMADA

MATKA ROKU

Tymczasem Monika – znów Richardson, już nie Zamachowska – postanowiła pochwalić się 16-letnią córką, której zdjęcia wrzuciła na Instagram, by za chwilę jednak zapewnić, że absolutnie nie zamierza upubliczniać jej wizerunku. – Jeszcze glossa do wczorajszego zdjęcia naszego z Zośką i zamieszania, jakie wywołało. Tak, uważam, że jest najpiękniejsza na świecie, to chyba normalne. Nie, nie zamierzam jej lansować ani nigdzie „wciskać". Zośka ma trzy lata do matury w liceum plastycznym i chcę, by co najmniej do tego czasu wiodła beztroskie życie kochanej przez rodzinę i otoczonej przyjaciółmi nastolatki. Zosia ma też zdrowy stosunek do wszelkiej maści celebryctwa. Nie lubi chodzić ze mną na imprezy i nie lubi swoich zdjęć w sieci – tłumaczy Monika. I dlatego zabrała ją na imprezę, z której wspólne zdjęcie wrzuciła do sieci. Taka matka to skarb!

DRUGIE ŻYCIE SWETRA

News tygodnia, który sprawił, że cały świat show-biznesu zatrzymał się na chwilę w osłupieniu! Otóż portal Pudelek.pl donosi, że Małgorzata Rozenek-Majdan założyła ten sam sweter dwa dni z rzędu! Odkryli to jej fani, komentując ten fakt na Instagramie. Rozumiecie powagę sytuacji? Ten sam sweter. Dzień po dniu. Jak jakiś zwykły człowiek. Co za cios dla jej wizerunku! Do dramatycznej historii postanowiła odnieść się sama zainteresowana. – Nie spodziewałam się, że jesteście aż tak spostrzegawczy. Czy wy wiecie, ilu z was zauważyło, że mam na sobie dokładnie ten sam sweter co wczoraj? Tak wiele z was pisze: „Pani Małgosiu, co się stało, że ma pani na sobie ten sam sweter?". Wytłumaczenie tej zagadki jest proste. Zdarza mi się założyć dwa razy to samo. Co prawda, rzadko mi się zdarza założyć to samo pod rząd – tłumaczyła się niewyraźnie celebrytka. Prawda jest taka, że zaspaliśmy, co nie jest trudne, jak masz wstać o szóstej – wyznała po chwili. Pani Małgosiu, żeby nam to było ostatni raz. Drugiego takiego wstrząsu świat może nie przetrwać!

PIECHOTĄ DO LATA BĘDĘ SZŁA!

Beata K., liderka zespołu Bajm, została złapana przez policję, kiedy w podejrzany sposób przemierzała warszawskie ulice – doniósł „Fakt". Wokalistka miała m.in. przejechać skrzyżowanie na czerwonym świetle. Badanie wykazało, że miała dwa promile alkoholu we krwi. Dwa promile! To nie jest pół kieliszka wina, wczorajsze piwo czy dwie paczki czekoladek z likierem. To dwa promile. Pani Beata została przewieziona na komendę, zatrzymano jej prawo jazdy. I co dalej? Jak wytrzeźwieje, to będą pewnie zarzuty i wstyd na całą Polskę. A potem, cóż, piechotą do lata! ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnim czasie pojawiają się przecieki, iż ten rząd pracuje nad projektem ustawy, według której pracodawca będzie mógł przenieść niezaszczepionego pracownika na inne stanowisko pracy lub wysłać go na bezpłatny urlop – a więc tak naprawdę pozbawi go wynagrodzenia.

Jak zawsze w przypadku tego rządu, jeśli chce coś zrobić, to musi zrobić to źle. Dlaczego bowiem mamy ograniczać takie kroki wyłącznie do kwestii szczepionkowej?

Przeciesh team leader w korporacji powinien móc mieć komfort decydowania o własnym teamie i odsunąć od pracy kogoś, kto np. uczestniczy w Marszu dla Życia i Rodziny. Ewentualnie wysłać do izolatki kogoś, kto głosuje na prawicę.

Mamy nadzieję, iż siły światłe i rozumne obserwują uważnie te pisowskie próby. Jak już wrócą do władzy, to będą miały niezłe wzorce, które z pewnością da się porządnie rozwinąć!

Dotarliśmy do wyników badania, czego najbardziej boją się Polacy. Musimy przyznać, iż jesteśmy zaskoczeni.

Otósh Polacy najbardziej boją się wzrostu cen i powtórnego zamknięcia gospodarki. Niby to OK – przeciesh tak jest, iż boimy się tego, czego nie znamy, a Polacy o ekonomii nie mają pojęcia.

Dziwi nas jednak, iż w czołówce rankingu zabrakło tych polskich lęków, które każdy zna. LGBT, uchodźcy na granicy, Tusk, Niemcy xD czy Angela Merkel lub choćby to, iż somsiad kupi lepszego passata, może nawet takiego, który będzie odpalał na mrozie.

Of kors Polacy nie boją się też tego, czego powinni się bać – fashysmu, nietolerancji, ksenofobii czy zamknięcia się na inne kultury.

Tak to już z tymi Polakami jest, choćbyś się starał, nie nadążysz.

Jakże fantastyczną ucztą intelektualną musiał być Campus Polska Przyszłości. Niestety nie mogliśmy partycypować w tym ekstremalnym wydarzeniu dla elit, iż byliśmy zajęci sprzedażą pakietów panele fotowoltaiczne + telefon (nasze korpo idzie z duchem czasu), ale śledziliśmy urywki pojawiające się w social mediach. I wiecie co?

No po prostu jesteśmy pod wrażeniem dyskusji, jakie tam miały miejsce. Już nawet pal sześć odważne słowa Nitrasa o przywilejach Kościoła. Już nawet zdążyliśmy się podnieść z kolan po odsłuchaniu wystąpienia Balcerowicza. Już nawet przestaliśmy próbować liczyć, jak marszałkoosobie Grodzkiemu wyszło, że w Polsce powinno być 130 szpitali.

Nas najbardziej urzekły krytyczne słowa jednej z gościń Campusu, iż nie ma nic gorszego niż naród jednolity kulturowo i etnicznie. Przeciesh to jest tak oczywiste i tak prawdziwe, a jednocześnie odważne i bezkompromisowe stwierdzenie, że warto było ten cały Campus organizować choćby tylko po to, aby to usłyszeć. Mamy nadzieję, iż na tej jednej edycji się nie skończy. Zdecydowanie Polska, a przynajmniej nasza rubryka, potrzebuje Campusu Polska. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jak Naczelnik pozwoli

Cześć, Szymon, słabiutki ten sondażyk ostatni dla ciebie, co?

Ty, Donald, też rekordów nie bijesz. „Efekt Tuska" tak ze dwa tygodnie potrwał, co?

Ja działam na spokojnie, w dłuższym okresie.

Dłuższy okres to ty będziesz miał, jak ci Naczelnik pozwoli. A jak nie, to będziemy mieć wybory za pół roku i wtedy zobaczymy.

Na razie to wygląda na to, że powinieneś mi niedługo złożyć hołd lenny. Bo jak nie, to mogę dla ciebie nie znaleźć potem miejsca na liście.

Może zacznij od tego, żeby ci hołd lenny złożyli Franek i Klaudia. Jak im się zachce.

A ty już wymyśliłeś, jaki masz program właściwie?

Ja pokażę program, jak ty w swojej partii wygrasz normalne wybory.

Ale ty wiesz, że z Kaczorem to możemy zwyciężyć tylko, jak się zjednoczymy i przestaniemy kłócić?

To się jednocz, bucu.

Spadaj na drzewo, katolu farbowany. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Musimy was opiłować z pewnych przywilejów, bo jeżeli nie, to znowu podniesiecie głowę".

SŁAWOMIR NITRAS, *poseł PO, do polskich katolików podczas debaty na Campus Polska Przyszłości w Olsztynie*

eprasa.pl 45e9aec525

Ujawniamy. Sąd Najwyższy ma zostać podzielony na dwa trybunały. Jeden zajmować ma się tym, czym obecny SN. Z grubsza. Drugi będzie wyłącznie do spraw dyscyplinarnych sędziów i prokuratorów. Do tego w miejsce sądów apelacyjnych powołane zostaną sądy regionalne. Nastąpi likwidacja sądów rejonowych i wcielenie ich do sądów okręgowych. Chodzi o to, żeby TSUE dał sobie chwilowo spokój z Polską. No i nowe struktury to nowe obsady personalne. Nie jest tajemnicą, że niektórzy nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Na przykład prezes Manowska. Ale nie ona jedna.

Skoro już o sądach. Ważne info dla Leszka Balcerowicza, który wzywa do stawiania pręgierzy dla dziennikarzy mediów publicznych oraz tworzenia list proskrypcyjnych w Internetach. Artykuł 44 prawa prasowego mówi: „Kto utrudnia lub tłumi krytykę prasową, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności". Artykuł 43 jest jeszcze lepszy. Groźby bezprawne, które mają skłonić dziennikarza do zaniechania interwencji prasowej, nagradza karą pozbawienia wolności do lat trzech.

Wracamy do zmian. Będą też zmiany pomniejsze. Na przykład w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Opuści ją minister Adam Kwiatkowski. Idzie w ambasadory. I to nie byle gdzie. Będzie bowiem posłem Polski przy Stolicy Apostolskiej, czyli – mówiąc po ludzku – przy Watykanie. Na razie nie wiemy, kto go zastąpi w dużym pałacu. Ale jak siebie znamy, a znamy jak zły szeląg, to niebawem się dowiemy.

Uwaga, cud! Ozdrowienie Lecha Wałęsy! Jednego dnia położył się w szpitalu z groźbą amputacji nogi. Za chwilę jednak zmartwychwstał i brykał po mediach oraz uroczystościach sierpniowych. Wiewiórki wyjaśniają, że choroba mogła mieć charakter dyplomatyczny, a dokładniej prokuratorski. Prokuratorzy IPN wysłali „Bolkowi" wezwanie w charakterze podejrzanego o składnie fałszywych zeznań. I od razu chłop się źle poczuł. Chodzi o zeznania, w których Wałęsa się zaklinał, że donosy „Bolka" znalezione u Kiszczaka nie były pisane jego ręką. Grafolodzy są innego zdania.

Dalej o zdrowiu. Jesteśmy zafascynowani wizją marszałkissimusa Grodzkiego, który chce zlikwidować w Polsce wszystkie szpitale, prócz ok. 130. To ciekawy trop, ale nie do końca wykorzystany. Rzucamy zatem hasło, które Platforma czym prędzej powinna wciągnąć na sztandary: „Czterdzieści szpitali na czterdziestolecie III RP!".

Szpitale w sumie są przereklamowane. Ciągle przychodzą tam jacyś ludzie, którzy przeszkadzają lekarzom w wypełnianiu kwitków dla NFZ. Marudzą, gadają, bo nie mają co robić w domu. Dlatego trzeba im jak najszybciej przywrócić handlowe niedziele. Wtedy zamiast marudzić w szpitalach, pomarudzą ekspedientkom w galeriach handlowych. Widzicie? Już napisaliśmy sami prawie cały nowy program dla PeŁo!

Krążą legendy o tym, jak to ludzie władzy są uprzywilejowani w służbie zdrowia. Że rządowe lecznice i tak dalej. A tu – bach! Nasze wiewiórki ciemną nocą wypatrzyły Antoniego. Zjawił się na ostrym dyżurze stomatologicznym i pokornie ustawił w kolejce. I czekał, jak inni cierpiący. Nie machał immunitetem ani legitymacją. Nie doczekał się. Pod dwóch godzinach stomatolog oznajmił, że trzeba czekać minimum drugie tyle, bo mają skomplikowany przypadek. Antoni postanowił więc przestać czekać. A, ważna rzecz – nie napisaliśmy, który Antoni. Cóż, Antoni jest tylko jeden. Inni tylko noszą to imię.

Józef Pinior po raz kolejny zaliczył karę bezwzględnego więzienia. Ale do więzienia nie trafi. Jednym z przepisów, który wszedł w życie w związku z COVID-19, jest podwyższenie ram, w których kara bezwzględnego więzienia może być odbywana w systemie dozoru elektronicznego. Czyli zamiast siedzieć w pierdlu, łazi się po wolności z obrączką na nodze. Przed pandemią było to maksymalnie rok. Z powodu COVID podwyższono tę granicę do półtora roku. Ile dostał Pinior? Tak, zgadliście. Półtora roku. Niech żyją wolne sądy!

Jak widać, Pinior stał się beneficjentem doktryny Neumanna, na mocy której ludziom PeŁo nic złego stać się nie może. Zastanawiamy się, czy autorski plan innego Sławka możemy nazwać „doktryną Nitrasa". Chodzi o zamiar opiłowywania katolików. Na razie szykujemy dla Nitrasa nową ksywkę. Coś prostego. Żeby zrozumiał. Czyli na przykład „Sławomir Piła-Nitras". Tylko że niektórzy się oburzają, że nie piła, tylko wciągała.

Apropos Nitrasa. Miejsce akcji: Bistro Wiejska nieopodal Sejmu. Sławek Nitras gaworzy z Basią Nowacką. W drzwiach staje Bart Staszewski. I zaczyna jechać bez pamięci po Nitrasie za jego piłowanie katolików na Campusie Polska. Nawet Bart! Ten Bart od stref wolnych od LBGT! Nitras wije się i błaga o litość, bo został już zjechany przez wszystkich, łącznie z Pawłem Kowalem. Kurtyna.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dowcip tygodnia. „Gazeta Wyborcza" rozsyła newslettery, w których zaprasza do prenumeraty, informując, że uzyskany w ten sposób dochód przeznaczy na uchodźców z Afganistanu. Biorąc po uwagę, że znajdują się oni wszędzie, tylko nie w Polsce, doceniamy pomysł. Będą to po prostu pieniądze zbierane na nikogo. Co potwierdza naszą tezę, że czytanie „Wyborczej" nie przynosi pożytku dokładnie nikomu. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Rosja pręży muskuły

FOT. SERGEI BOBYLEV/TASS/FORUM

10 września Rosjanie i Białorusini rozpoczną wielkie manewry wojskowe „Zapad-21", podczas których tradycyjnie będą ćwiczyć wojnę z Polską. Białoruś poinformowała, że w ćwiczeniach „Zapad-21" wezmą udział tysiące żołnierzy, a także czołgi, artyleria i samoloty. Kreml rozmieścił również na Białorusi systemy obrony powietrznej S-300 (na zdjęciu), które prawdopodobnie pozostaną w tym kraju już na stałe po zakończeniu manewrów. To element długoterminowej kampanii Kremla mającej na celu ustanowienie stałej rosyjskiej obecności wojskowej na Białorusi przeciwko wschodniej flance NATO.

Niepokój z powodu manewrów przy granicy z UE i NATO wyrażają nie tylko Polacy, Litwini czy Łotysze. Wielkie ćwiczenia wojskowe budzą również obawy członków komisji spraw zagranicznych Parlamentu Europejskiego, którzy spodziewają się, że podczas ćwiczeń może dochodzić do wielu prowokacji i incydentów.

Według informatorów „DGP" NATO obawia się też „zabłąkanych oddziałów" białoruskiego dyktatora, które mogłyby poważnie naruszyć suwerenność Litwy. Zdaniem informatorów „Dziennika" beneficjentem prowokacji byłby prezydent Rosji Władimir Putin. ©℗ **(jap)**

CZYTAJ TAKŻE „NA GRANICY KONFLIKTU" NA STRONIE 22

REKLAMA

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Karoliny Kaczorowskiej

Małżonki ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Urodzonej 26 września 1930 r. w Stanisławowie. Podczas sowieckiej okupacji Kresów Wschodnich została zesłana w 1940 r. na Syberię. Dzieliła los polskich „dzieci tułaczych", ewakuowanych wraz z armią Andersa do Iranu, a następnie przez kilka lat przebywających w Ugandzie. Była absolwentką Uniwersytetu Londyńskiego, nauczycielką i wychowawcą, osobą zasłużoną dla harcerstwa polskiego na emigracji, zaangażowaną w działalność charytatywną Zjednoczenia Polek w Wielkiej Brytanii. Od 2016 r. reprezentowała środowiska emigracyjne w Radzie do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Patronowała przez wiele lat przedsięwzięciom upamiętniającym polski czyn zbrojny i kultywującym tradycję niepodległościową. W latach 2010–2021 była Honorowym Patronem Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej.

Uhonorowana była Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

Cześć Jej pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z Piotrem Semką, publicystą „Do Rzeczy”
rozmawia Kamila Baranowska

Wracam z długiej podróży

eprasa.pl 45e9aec525

KAMILA BARANOWSKA: Co czuje człowiek, który wie, że cudem uniknął śmierci?

PIOTR SEMKA: Ciężko mówić o czymś, co niektórzy uważają za cud, bo jeśli człowiek wpada w emfazę, to staje się trywialny, a jeżeli z kolei zacznie to lekceważyć, to jakby unieważniał, że wydarzyło się coś ważnego. A wydarzyło się, bez wątpienia.

Ponad miesiąc byłeś w śpiączce, podpięty do respiratora i płuco-serca. Stan bardzo ciężki.

Jest we mnie ogromna wdzięczność wobec wspaniałych lekarzy ze Szpitala MSWiA przy ul. Wołoskiej w Warszawie, bo wiem, że zrobili wszystko, ale absolutnie wszystko, żeby mnie ratować. Wykazali się ogromnym profesjonalizmem, wiedzą i kunsztem i będę im za to wdzięczny do końca życia.

Z drugiej strony świadomość, że tak wiele osób się za mnie modliło, miała dla mnie, jako osoby wierzącej, ogromne znaczenie. I kiedy chciałem tym ludziom za to podziękować za pośrednictwem Twittera, spotkał mnie atak, że zamiast modlącym się, powinienem dziękować lekarzom. Przecież to oczywiste, że lekarzom dziękowałem nie raz i nie dwa i robiłem to osobiście, a wszystkim, którzy w całej Polsce się za mnie modlili, postanowiłem podziękować za pośrednictwem Twittera.

Nie rozumiem, jak można było z tego czynić zarzut. Wyrazy wsparcia i modlitwa, które płynęły do mnie od bardzo wielu osób były naprawdę czymś bardzo wzruszającym. Pocztą dostawałem na przykład małe relikwiarze, zamawiano msze w mojej intencji. Chociaż zdarzały się i niemiłe historie, jak złośliwy komentarz radnego PO z Gdańska albo złowrogie zdjęcie czarnej róży przesłane przez jakiegoś internautę. Staram się jednak trzymać w pamięci przede wszystkim te miłe dowody uznania, których było zdecydowanie więcej i za które wszystkim raz jeszcze bardzo dziękuję.

Pamiętasz coś z tego dnia, w którym trafiłeś do szpitala? Miałeś świadomość, że twój stan jest tak poważny?

Zupełnie nie. Po prostu źle się poczułem, przed południem zadzwoniłem do redakcji, że nie jestem w stanie napisać tekstu, bo rozkłada mnie choroba. Pojechałem prywatnie do lekarza, który mnie zbadał, przepisał antybiotyk i odesłał do domu. Czułem się jednak coraz gorzej, pojawiła się gorączka, problemy z oddechem. Żona poszła do apteki po pulsoksymetr i okazało się, że mam saturację na poziomie 70 proc.

Zdrowy człowiek powinien mieć saturację powyżej 95 proc.

Dlatego żona od razu wezwała karetkę. Przyjechała ekipa, zrobiła wymaz i zabrali mnie do szpitala. Podpięto mi respirator i obudziłem się po 31 dniach.

Bałeś się, gdy podpinano ci respirator?

Nie bardzo miałem czas, żeby się bać, bo wszystko działo się bardzo szybko. Zapytałem tylko jednego pielęgniarza: „No i co teraz będzie?", on mi odpowiedział: „Teraz pod respiratorem zapadnie pan w sen", więc pytam: „I co dalej?", a on: „Albo się pan obudzi, albo nie".

Naprawdę tak powiedział?

Tak, ale nie odebrałem tego jako złośliwość, raczej jako dość rzeczową odpowiedź. To był marzec 2021 r. W śpiączce byłem 31 dni. Podłączono mnie pod ECMO, czyli płuco-serce. Lekarze zastanawiali się nad przeszczepem płuc, ale uznali to jednak za zbyt inwazyjne, więc trzeba było po prostu czekać. Trudno sobie nawet wyobrazić, co przez ten miesiąc przeżywała moja żona, każdego dnia będąc przygotowaną na najgorszy telefon. Hart ducha, który ona wraz z moją córką wykazały przez te dni, to rzeczy niewyobrażalne.

W Polsce bardzo mało mówi się o tym, co przeżywają rodziny i najbliżsi chorych na COVID-19, tych zmarłych, ale i tych, którzy wyszli z choroby. Zapominamy, że samo wyjście z choroby nie oznacza końca bardzo poważnych problemów ze zdrowiem. Są to np. nawracające problemy z oddychaniem, problemy z pamięcią czy – jak w moim wypadku – problemy ze sprawnością fizyczną, spowodowane zanikiem mięśni.

Pamiętasz pierwszą myśl już po wybudzeniu?

Nie bardzo, bo to był taki okres jak między jawą a snem, kiedy ta rzeczywistość mi się trochę rozpływała. Na przykład dowiedziałem się od żony, że był u mnie wtedy kapelan z sakramentem namaszczenia chorych, który przyjąłem, ale później kompletnie tego nie pamiętałem. Ten czas po wybudzeniu był specyficzny, bo było ryzyko, że mogę znów zapaść w śpiączkę, nic wtedy nie było pewne.

Na szczęście tak się nie stało i zacząłeś dochodzić do siebie.

Tak, a moi lekarze zaczęli mnie sprawdzać.

Jak to?

Lekarze bardzo się bali, czy nie doszło u mnie, co jest częste przy COVID, do częściowej utraty pamięci. Domyślali się, że dla dziennikarza utrata pamięci to jest po prostu odejście z zawodu. To było dosyć sympatyczne, bo cały czas na samym początku pytali mnie, czy wiem, gdzie jestem, czy wiem, jak się nazywam, jaki mamy rok itd., ale potem wplatali w różne zwykłe rozmowy takie nagłe pytania. Pytali np. o zegarek tenisistki Igi Świątek i czekali, co ja na to.

Chodziło o tę historię, gdy kiedyś na Twitterze skrytykowałeś jej wpisy o „ekscytującej współpracy" z firmą od luksusowych zegarków?

Tak, ja na to pytanie złapałem się za głowę, że do końca życia wszyscy będą mi to wypominać, iż kiedyś zażartowałem sobie z tych zegarków. Na to lekarz mówi, że nie, że on tylko chciał sprawdzić, czy ja to pamiętam. Przy okazji uświadomiłem sobie, z czym się ludziom kojarzę (śmiech). Inny sympatyczny lekarz zapytał mnie o słowa: „Kto mnie wołał, czego chciał". Gdy odpowiedziałem, że to z „Wesela" i że każdy to wie, bardzo się ucieszył. Oni cały czas w ten sposób testowali moją pamięć. Nie bez przyczyny zresztą, bo potem dowiadywałem się o bardzo ponurych historiach, np. o profesorze, wykładowcy filozofii, który po COVID miał takie luki w pamięci, że nie mógł dalej pracować i teraz jest na rencie.

Też się tego bałeś?

Tak, po tych pytaniach lekarzy zacząłem się tego bać. Sam o tym nie pomyślałem, ale jeśli któryś z kolei lekarz przychodził i wypytywał mnie, czy wiem, jak się nazywam, gdzie jestem itd., to zorientowałem się, że wokół tego może być problem. Zacząłem wtedy sam siebie w głowie egzaminować z rozmaitych rzeczy i okazało się, że to był bardzo dobry pomysł, ponieważ przez pierwsze cztery tygodnie ani nie mogłem nic czytać, bo litery tańczyły mi przed oczami, ani nie mogłem używać smartfona, bo palce nie trafiały w klawiaturę. Przecież pierwsze podziękowania na Twitterze zamieściłem bardzo późno, dopiero 9 czerwca, po kilku tygodniach od wybudzenia. Wcześniej po prostu nie byłem w stanie tego zrobić.

eprasa.pl 45e9aec525

Okazało się, że z pamięcią problemu nie ma. Teraz trwa walka o sprawność fizyczną.

Kiedy okazało się, że nie mam gwałtownych ubytków w pamięci, rzeczywiście kamień spadł mi z serca. Największym problemem okazał się zanik mięśni, z którego skutkami teraz się zmagam. Kiedy organizm przez 31 dni walczył o życie, musiał skądś wysysać siły i wysysał m.in. z tkanki mięśniowej, która się bardzo wolno i trudno odbudowuje. Przez miesiąc walczyłem o to, bym mógł w ogóle usiąść na łóżku, później zaczęły się ćwiczenia nóg, próby pionizacji, które są niełatwe, bo po tylu miesiącach w pozycji leżącej i przy mojej nadwadze jest to naprawdę ogromny wyczyn – błędnik szaleje, mięśnie odmawiają współpracy. Nie jest łatwo, ale nie będę narzekał, bo przebywając na oddziale intensywnej terapii, dużo się napatrzyłem i nasłuchałem.

To znaczy?

Kiedy ktoś umiera, to to słychać, zwłaszcza w nocy, gdy na oddziale jest cisza. Ludzie potrafią umierać nawet parę godzin. Miałem raz taką sytuację, że mając w nocy silne bóle, zawołałem pielęgniarkę, a ona przyszła i z lekkim wyrzutem powiedziała mi, że właśnie jest przy człowieku, który jest w agonii. Nie mogłem tego wiedzieć, ale i tak zrobiło mi się wtedy strasznie głupio. Na intensywnej terapii takich dramatycznych historii jest mnóstwo. Na moim oddziale przecież odszedł abp Henryk Hoser, który nie zmarł bezpośrednio na COVID, ale po opuszczeniu szpitala wrócił tu, bo jego organizm nie dał sobie rady z komplikacjami. Trudno zapomnieć wychodzące korytarzem zapłakane żony czy matki. Poznałem też młodego człowieka, który bardzo ciężko przechodził COVID, i jego żona przy jego łóżku non stop płakała i to on ją musiał pocieszać. Trudno te historie wymazać z pamięci, bo to są poruszające rzeczy. One sprawiają, że jestem przekonany co do tego, że w Polsce o tym, jak groźny jest COVID, wiedza jest bardzo mała.

Widać to także w skali niechęci wobec szczepień, które na razie są jedyną skuteczną bronią przed tą chorobą.

Szanuję różne opinie na temat tego, czy się szczepić czy nie szczepić, i obawy co do tego, w jakim stopniu szczepionki są przetestowane, ale nawet jeśli ktoś nie jest w 100 proc. przekonany, to niech potraktuje to na zasadzie mniejszego zła. To jest dla mnie bardzo gorzka refleksja, jak ciężko jest pojąć grozę COVID, jeśli nie ma się takich przeżyć jak ja albo nie jest się wśród najbliższych takiego pacjenta, którzy obserwują to wszystko z bliska. To są rzeczy, które ciężko zapomnieć. Podobnie jak trudno zapomnieć, co przeszli lekarze i pielęgniarki, a co mogłem zobaczyć na własne oczy. To była ciężka praca, w ciężkich warunkach, chodzenie w tych skafandrach i maskach przez wiele godzin, ogromny stres i jeszcze większe zmęczenie. Dyżury po 12 godzin, atmosfera frontowa, potworne zmęczenie i fizyczne, i psychiczne, bo jeżeli codziennie widzi się zgony, a w tym okresie były one bardzo częste, to nie da się tego nie przeżywać. Zawsze będę powtarzał, że lekarze, pielęgniarki, pomocnicy medyczni to grupa absolutnie bezcenna. To ludzie, którzy przez ostatnie półtora roku przeszli przez potworny egzamin i zdali go wspaniale.

Najbardziej smuci, że gdy tylko Tusk wrócił, to zaczął kłamać

Spędziłeś w szpitalu 154 dni. Za tobą walka o życie, przed tobą walka o powrót do sprawności. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Jak to wszystko znosisz psychicznie?

To jest przede wszystkim poczucie bezsiły, w moim wypadku, głównie fizycznej. Z tym zaś związane jest towarzyszące ciągle upokorzenie, że człowiek musi o wszystko prosić innych, bo sam nie jest w stanie ruszyć ręką czy nogą. To jest bardzo deprymujące.

Do tego dochodzi oczywiście lęk o to, czy uda się powrócić do pełni zdrowia, jakim efektem zakończy się rehabilitacja i jak długo będzie trwała. To już nie jest lęk o to, czy przeżyję, ale o to, jak to moje życie będzie dalej wyglądało, czy nie będzie nawrotów różnych dolegliwości, czy będę mógł wstać, czy będę chodzić. Jestem teraz na etapie walki o to, by móc się samemu poruszać, i wiem już, że to nie będzie łatwa walka. Do szpitala trafiłem 24 marca, a zostałem z niego wypisany 24 sierpnia, czyli po 154 dniach. Teraz jestem w ośrodku rehabilitacji w jednej z podwarszawskich miejscowości i muszę ciężko pracować, żeby móc znów w miarę normalnie funkcjonować.

To jest także ten moment, w którym wracasz do pisania. Twój felieton ukazuje się już w tym wydaniu „Do Rzeczy", a dłuższe teksty pojawią się wkrótce!

To prawda. Już mniej więcej od końca czerwca śledzę to, co się dzieje w polityce. Nawet lekarze w pewnym momencie krzyczeli już na mnie, że ciągle leżę z telefonem w ręku.

Ciągnie wilka do lasu.

Ciągnie, ciągnie. Zresztą powrót do zainteresowania polityką też był elementem pewnej higieny intelektualnej, ciągłego sprawdzania, czy z moją pamięcią i kojarzeniem faktów wszystko jest w porządku. Teraz powoli będę wchodził w rytm pisania felietonów i tekstów, proszę więc czytelników o cierpliwość i wyrozumiałość.

Jak już sięgnąłeś do newsów po tej dłuższej przerwie, ze zmienioną nieco perspektywą, to które wydarzenie zrobiło na tobie największe wrażenie?

Jak stary koń kawaleryjski na dźwięk trąbki, tak ja najbardziej zareagowałem na zapowiedzi powrotu Donalda Tuska. Początkowo nie byłem co do tego powrotu przekonany, ale gdy okazało się, że Tusk rzeczywiście wraca, to przez chwilę nawet się wzruszyłem, bo Tusk jako polityk towarzyszy mi od 1987 r., kiedy pierwszy raz się z nim zetknąłem. Byłem też ciekaw, jak na nowo siebie wymyśli. Bo to, co wypisywał na Twitterze, te jego wpisy zaczepno-agresywne, wyglądające raczej na wytwór ghostwriterów niż jego samego, świadczyły o tym, że przez cały okres spędzony w Brukseli nie miał nic ciekawego do przekazania poza jakimiś złośliwymi bon motami. To dziwne i jednak zastanawiające w przypadku polityka, który funkcjonuje na najwyższych poziomach polityki.

Dlaczego postanowił wrócić?

Myślę, że wiedział, iż kończy się epoka Angeli Merkel i będzie mu na brukselskich salonach trudniej. Na pewno też swoją rolę odgrywa kompleks, który ciągnie się za nim od 2005 r., że nie wygrał prezydentury, i pewnie chciałby go jakoś zaspokoić. Niespełnione ambicje są częstym motorem napędowym w polityce. Najbardziej smuci mnie jednak to, że gdy tylko wrócił, to zaczął kłamać – pojawiły się twierdzenia, że to Platforma wymyśliła „500+", teraz rzuca jakieś insynuacje, że zakonnice sfałszowały wybory prezydenckie. Nie tędy droga. Jednocześnie w sytuacji kryzysu, który

eprasa.pl 45e9aec525

pojawił się w związku z sytuacją na granicy polsko-białoruskiej, nie bardzo wiedział, jakie ma zająć stanowisko. W końcu wypuścił to swoje oświadczenie, mało konkretne i mało stanowcze.

Jeśli Rosja podejmie dowolną akcję, to opozycja poprze ją niezależnie od tego, kto za nią stoi i jakie to może mieć skutki

Wygląda to tak, jakby Tusk wrócił i był zaskoczony, że to nie jest ta sama Polska, którą pamięta z 2007 r. – że zmieniła się sytuacja polityczna, medialna, że zmieniły się oczekiwania społeczne i że PiS się zmienił.

To trochę jak ze skokiem do wody. Nigdy do końca nie wiesz, jak się zachowasz, jak już zanurzysz się w zimnej wodzie – może złapać cię skurcz, możesz stracić oddech od tego zimna, może wydarzyć się cała masa nieprzewidzianych rzeczy. Tusk nie był w stanie wszystkiego przewidzieć. Ciekawie będzie obserwować to, jak się sytuacja w Platformie i szerzej w opozycji będzie rozwijać.

Najbardziej niezadowolonym z powrotu Tuska politykiem jest Rafał Trzaskowski, który dziś musi robić dobrą minę do złej gry.

Człowiek z łóżka szpitalnego patrzy na politykę w nieco bardziej filozoficzny sposób. Obserwacja drogi politycznej Rafała Trzaskowskiego była dla mnie potwierdzeniem tego, że jeśli w polityce wszystko dostaje się na tacy, to się nie umie tego obronić, nie umie się o to zawalczyć. On dostawał wszystko na tacy, najpierw od Tuska, potem od Platformy. Za łatwo mu to przychodziło.

To Tusk powiedział kiedyś w jednym z wywiadów, że „władzę w partii ma zawsze ten, kto ją sobie bierze, a nie ten, kto ją dostał".

Byłem przekonany, że Trzaskowski mimo powrotu Tuska o swoją pozycję jednak trochę zawalczy, tymczasem ogłosił całkowitą kapitulację. I na dodatek zrobił to w jakiś taki nieprzemyślany sposób, bo niby przyszedł na Radę Krajową PO, kiedy Tusk po raz pierwszy pojawił się w roli lidera, po czym po godzinie wyszedł, tłumacząc potem, że śpieszył się na szczepienie. Czyli z jednej strony kapitulacja, a z drugiej jakaś próba demonstracji swojego niezadowolenia. Potem zaś na Campusie Polska Przyszłości spijali sobie z Tuskiem z dziobków, pokazując, że są najlepszymi przyjaciółmi i się świetnie uzupełniają. Niezrozumiałe to zupełnie. Tak jakby się pogubił i nie za bardzo wiedział teraz, w którą stronę ma pójść. Chociaż nie wykluczam, że po prostu będzie czekał na swoją szansę i na to, aż Tusk się zużyje, co – jak widać – następuje szybciej, niż wszyscy myśleli. Kto wie, może wtedy Trzaskowski jeszcze czymś zaskoczy?

W jakim momencie jest dzisiaj PiS? Niektórzy twierdzą, że Zjednoczona Prawica przypomina dziś schyłkowy AWS.

Zabawne jest to święte oburzenie, że PiS przekupuje posłów, by utrzymać większość. Oczywiście rozdawanie funkcji w spółkach Skarbu Państwa musi budzić niesmak, ale tak samo działają przecież politycy PO w samorządach największych polskich miast.

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl 45e9aec525

Kiedy próbowano uczynić z Gowina ewentualnego marszałka Sejmu i dzięki jego przejściu na stronę opozycji obalić rząd PiS jakoś nikt nie mówił o politycznej korupcji, przekupowaniu i handlowaniu stanowiskami. Gdyby to się udało, jestem pewien, że byłyby zachwyty nad skutecznością takiego działania. Podobnie byłoby, gdyby któryś z posłów porzucił PiS na rzecz opozycji, wtedy słyszelibyśmy, że zachował się jak trzeba. I tak dalej.

Faktem jest jednak, że PiS musi coś zrobić ze swoim PR-em, przejść do ofensywy, bo od wiosny jakoś to nie idzie.

Polski Ład miał być tym, co pozwoli PiS na nowo przejść do ofensywy.

Polski Ład nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, bo nie udało się jasno i w prosty sposób wytłumaczyć, o co w nim chodzi. I teraz politycy PiS przypominają człowieka, który opowiedział kawał, którego nikt nie zrozumiał, i teraz trzeba wszystkim po kolei tłumaczyć, że ten kawał jest naprawdę śmieszny. Tak bywa w polityce, jeżeli coś jest źle przygotowane od strony komunikacyjnej. Trzeba wtedy wymyślić coś nowego, a nie z uporem wracać do opowieści, jaki ten Polski Ład jest fajny. Eryk Mistewicz powiedział kiedyś, że nawet najlepszy polityczny projekt, którego nie da się dobrze wytłumaczyć w czasie jazdy windą z parteru na 10. piętro, nie ma szans powodzenia. I jest w tym sporo prawdy.

Odejście Jarosława Gowina z koalicji rządzącej było nieuchronne?

Od pewnego momentu tak. To Jan Rokita stwierdził, że mniej więcej od września obserwowaliśmy kurs na zderzenie, chyba z obu stron zresztą, tylko Kaczyński nie wiedział jeszcze, czy ma choćby minimalną większość, więc zwlekał. Gowin z kolei zaczął wchodzić w rolę, w której go nie lubię – polityka, który, gdy pojawia się np. kryzys z Amerykanami, zaczyna rozmawiać z jakąś urzędniczką ambasady, mówiąc, że on to załatwi.

Taki rozgrywający.

Żaden lider, czy to jest Kaczyński, czy to jest Tusk, nie może i nie będzie na dłuższą metę takich zachowań tolerować. Mnie osobiście zasmuciła też jego szybka metamorfoza. Kiedyś mój kolega złośliwie żartował, że jest taka konkurencja wśród polityków zrywających współpracę z Jarosławem Kaczyńskim, w której to konkurencji liczy się czas od zerwania do udzielenia wywiadu „Gazecie Wyborczej", gdzie opowiada się, jaki to ten Kaczyński jest straszny i zły. No więc u Gowina były to jakieś trzy tygodnie. Rekordowo krótki czas i to jest mimo wszystko bardzo smutne, biorąc pod uwagę całokształt działalności tego polityka, którego jakoś tam ceniłem i szanowałem. Gowin natychmiast też zaczął nadmuchiwać balon Koalicji Polskiej, którą chce teraz współtworzyć z PSL.

Biden nie poradził sobie w pierwszej kryzysowej sytuacji. To pokazuje, że Stany Zjednoczone są dzisiaj w zapaści. I to nie jest dobra informacja, także dla nas i dla Europy

Mówią, że chcą budować umiarkowaną centroprawicę.

To się nigdy nie uda. Władysław Kosiniak-Kamysz nie jest liderem o takim formacie, który pozwalałby widzieć w nim samodzielnego, skutecznego polityka. Sprawia wrażenie uładzonego człowieka, ale w polityce zawsze w pełni ulegał Platformie. Niewiele też pomogą mu umizgi Gowina. Czy z Gowinem, czy bez Gowina, raczej nie uda mu się zawojować świata.

Zawojować świat, a raczej granicę polsko-białoruską, próbują politycy opozycji, urządzając tam jakiś cyrk.

To jest dowód na to, że jeśli Rosja podejmie dowolną, podkreślam, dowolną akcję, to opozycja poprze ją niezależnie od tego, kto za nią stoi, jakie to może mieć skutki, jaka jest skala niebezpieczeństwa dla państwa itd. Po prostu dla dokuczenia PiS nie ma żadnych hamulców. To pokazuje też, że w sytuacji kryzysowej Tusk nie potrafi huknąć i uspokoić tego całego towarzystwa.

Trochę próbował. Jednak jego oświadczenie było w kontrze do wybryków Jachiry, Sterczewskiego czy słów Frasyniuka.

A może zrobił to tylko dlatego, by przypodobać się Brukseli, bo teraz to Bruksela apeluje o utrzymanie sztywności granic? Niemcy cały czas się przecież boją, że jeśli Polacy zaczną wpuszczać ludzi koczujących na granicy, to oni na dwa tygodnie przed wyborami do Bundestagu będą mieli zalew uchodźców, co wielu Niemcom mogłoby się skojarzyć z sytuacją sprzed paru lat i wpłynąć na wynik wyborów. Dlatego nie wykluczam wcale, że te niemądre harce polityków na granicy mogą Tuskowi wcale nie przeszkadzać, a wręcz być mu politycznie na rękę, ale musi się krygować wobec Brukseli. Płynie z tego wszystkiego, zwłaszcza z historii z Frasyniukiem, jeszcze jeden smutny wniosek, że nawet najbardziej skandaliczne zachowanie będzie zawsze i do końca bronione przez „Gazetę Wyborczą" jako właściwe. To jest droga donikąd, bo ona degeneruje Platformę i całą opozycję, prowadząc ją w kierunku politycznej hucpy, a to nigdy na dłuższą metę nikomu nie wychodzi na dobre.

Śledziłeś pewnie także wydarzenia z Afganistanu w związku z wycofaniem Amerykanów i przejęciem władzy przez talibów.

Przypomniał mi się rok 1975. Miałem wtedy 10 lat, więc dobrze pamiętam, jak telewizja PRL-owska codziennie puszczała zdjęcia Amerykanów, uciekających śmigłowcem z dachu ambasady w Sajgonie. To było wałkowane na okrągło. Pamiętam to i pamiętam związane z tym wszystkim upokorzenie moich rodziców, że komuniści mogą tak sobie jeździć po Ameryce i Amerykanach. I teraz po tylu latach dokładnie ta sama historia się powtarza. To jest zresztą coś, co przewidywałem w momencie, gdy okazało się, że Biden zastąpi Trumpa. Owszem, Trump też chciał się wycofywać, ale pewnie zrobiłby to inaczej. Na pewno nie udostępniłby w dobrej wierze listy pracowników amerykańskiej ambasady talibom albo nie zostawiłby całej najnowocześniejszej amerykańskiej broni na pastwę talibów. To, jak Biden nie poradził sobie w pierwszej kryzysowej sytuacji, która go przerosła, pokazuje, że Stany Zjednoczone są dzisiaj w zapaści. I to nie jest dobra informacja, także dla nas i dla Europy.

Skończmy zatem dobrą informacją: wracasz do zdrowia i znów jesteś z nami na pokładzie!

Dziękuję. Na koniec chcę jeszcze raz podziękować wszystkim, którzy ciepło myśleli o mnie w tym czasie. To dla mnie bardzo ważne. Specjalne podziękowania kieruję do mojej redakcji i do moich redakcyjnych kolegów, którzy bardzo mi pomagali w tym trudnym czasie. Dostałem od nich bardzo miły film, na którym wszyscy po kolei składali mi życzenia. To było dla mnie ważne. Leżąc w szpitalu pewne rzeczy naprawdę bardzo się docenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Grupa Inwest

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 45e9aec525

Rafał A. Ziemkiewicz

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Droga ku targowicy

Aktywność środowisk lewicowo-liberalnych w ostatnich dwóch tygodniach z jednej strony niczym nowym nie zaskoczyła, z drugiej – trudno się nie zgodzić, że doprowadziła do wydarzeń bezprecedensowych i niemożliwych do zaakceptowania

Niczym nie zaskoczyła, bo wszystkie zachowania polityków, celebrytów i „poputczików" liberalnej lewicy mieliśmy już okazję kiedyś poznać – a jednak zaskoczyła, bo w kontekście ataku na państwo polskie, jakim jest użycie „broni imigracyjnej" przez dyktatora Białorusi i stojącego za nim władcę Rosji, zachowania, które dotąd były tylko głupotą, nabrały znamion przestępstwa, i to jednego z najcięższych: zdrady państwa.

Politycy PO, Lewicy i Ruchu Hołowni, prawnicy, szczególnie z warszawskiej Okręgowej Rady Adwokackiej, aktywiści pozarządowych (czy wręcz antyrządowych fundacji) oraz celebryci i pracownicy sprzyjających im mediów otwarcie wymówili posłuszeństwo wobec porządku prawnego RP w tak oczywistym obszarze jak ochrona granicy. Podważyli prawo Polski do ochrony własnego terytorium, dopuścili się czynnej napaści na urządzenia chroniące granicę, wielokrotnie znieważali żołnierzy Wojska Polskiego i Straży Granicznej, porównując ich do SS i zbrodniarzy hitlerowskich, o łagodniejszych obelgach („śmieci", „szmaty", „stado psów" etc.) nie wspominając. Jednocześnie użyli wszystkich swych wpływów i możliwości, jakie dają im panujące w Polsce – wbrew ich kłamstwom – wolność słowa i inne swobody demokratyczne do narzucenia polskiemu społeczeństwu i całemu światu jako prawdy kłamstw sprokurowanych przez agresora i będących propagandowym orężem tej agresji.

ANTYPOLSKA PROPAGANDA

Ponieważ przypadkiem użycie „broni D" (demograficznej, jak już czas jakiś temu nazwali eksperci sterowanie masami migrantów) zbiegło się w czasie z rocznicą niemieckiej prowokacji gliwickiej w roku 1939, trudno uniknąć porównania. To, co po stworzeniu koczowiska migrantów na polskiej granicy przez służby białoruskie robiła polska opozycja, miało podobny charakter, jak gdyby w przededniu agresji III Rzeszy na Polskę wpływowa część mediów i autorytetów RP ramię w ramię z propagandową maszyną Goebbelsa wystąpiła z kampanią oburzenia na sanacyjny rząd, że kazał wojsku zaatakować spokojną nadgraniczną radiostację, przy okazji przed całym światem uwiarygodniając twierdzenie Hitlera, że to nie on, ale Polska rozpoczęła wojnę.

Jeśli ktoś uważa to porównanie za przesadzone, niech na spokojnie rozważy fakty. Reżim białoruski, we współpracy z mafią przemytniczą, za słoną cenę sprowadza i przerzuca do UE migrantów – szczegóły tej operacji są już powszechnie znane każdemu, kto przyjmuje fakty do wiadomości. Gdy grupa migrantów przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy powstrzymana została przez polską straż graniczną, służby białoruskie uniemożliwiły jej wycofanie się. Uniemożliwiły także – to już później – przekroczenie granicy przez pobliskie przejście polskiej ciężarówce z pomocą humanitarną.

Jednocześnie propaganda agresora ogłosiła, że Polacy otoczyli znajdujących się na terenie Polski uchodźców z Afganistanu, uniemożliwiając im opuszczenie skrawka ziemi, na którym się znajdują, nie wykonując wobec nich czynności przewidzianych prawem i nie dopuszczając do nich pomocy humanitarnej. W białoruskiej telewizji pojawiły się sformułowania w rodzaju „polski obóz koncentracyjny" i frazy w rodzaju „70 lat temu pastwili się na Żydami, teraz robią to samo z uciekinierami z Afganistanu".

Wszystko to zostało wiernie nagłośnione przez polską opozycję, salony i media, na czele z „wyznaczającą amerykańskie standardy wolności słowa" (według sekretarza Blinkena) telewizją TVN. Przez wiele dni, wbrew oczywistym faktom, polska lewicowo-liberalna opozycja uwiarygadniała kłamstwa Łukaszenki, że migranci przebywający na Białorusi na wizach turystycznych to „Afganki i Afgańczycy" uchodzący przed talibami, że polskie służby otoczyły ich i chcą zmusić głodem do powrotu na Białoruś. Gdy Straż Graniczna i wojsko uniemożliwiły posłom KO i Lewicy, celebrytom oraz delegacji prawników, na czele z Mikołajem Pietrzakiem, dziekanem warszawskiej Okręgowej Rady Adwokackiej (!), nielegalne przekroczenie granicy i dotarcie do koczowiska, opozycja nie tylko urządziła swoje, symetryczne obozowisko, lecz także ochoczo przystąpiła do nagłaśniania „duszoszczypatielnych" opowieści ruskiej propagandy, że migranci umierają z głodu, piją wodę ze strumienia, że chorują i nie mają leków, a jedna z kobiet umiera i „ma krew w moczu". Nie mając dostępu do koczowiska, powtarzali to wszystko za mediami Łukaszenki. W istocie filmy robione przez teleobiektyw z polskiej strony granicy pokazywały, że migranci to niemal sami mężczyźni, że są regularnie zaopatrywani przez mundurowych Białorusinów w wodę i konserwy, a nawet co jakiś czas podmieniani przez nowych, wypoczętych.

eprasa.pl 45e9aec525

Ukoronowaniem histerycznej kampanii przeciw Polsce i Polakom było opublikowane w „Gazecie Wyborczej” wezwanie do zniszczenia zasieków na granicy, a dwa dni później – próba ziszczenia tej zapowiedzi przez grupę aktywistów prowadzoną przez Bartosza Kramka, od dłuższego już czasu podejrzewanego o konszachty z rosyjskimi służbami specjalnymi i m.in. pranie dla nich pieniędzy. Istotne jest, że Kramek na granicę przybył omalże wprost z aresztu, z którego mimo ciążących na nim oskarżeń został wypuszczony przez sąd za kaucją. I mimo że kolejnego przestępstwa dokonał na tym warunkowym zwolnieniu, kolejny sąd oddalił wniosek o zatrzymanie jego i pozostałych aktywistów niszczących umocnienia. To tylko jeden z wielu faktów wskazujących, że duża część środowiska sędziowskiego, kpiąc sobie z konstytucyjnego zakazu działalności politycznej, nie tylko stworzyła swoją partię (pod pozorem „stowarzyszenia sędziowskiego”), lecz także wykorzystuje wydawanie wyroków do otwartej walki z władzami i z państwem polskim jako takim.

Dokładne streszczenie działań opozycji w ciągu tych kilku dni zajęłoby zbyt wiele miejsca – należałoby wspomnieć i o haniebnych słowach Frasyniuka, i o gorliwym wsparciu udzielonym mu przez Wałęsę oraz „Gazetę Wyborczą” („Frasyniuk się wk..wił i miał prawo” – brzmiał tytuł tej ostatniej, w oryginale bez wykropkowania wulgaryzmu), a także o groźbach ujawniania personaliów żołnierzy i funkcjonariuszy tudzież zorganizowania przeciw nim „presji społecznej”, czyli nękania ich i ich rodzin w prywatnych domach metodą przećwiczoną już przez bojówki Strajku Kobiet. Poprzestańmy dla zwięzłości na tym, co już zostało napisane.

ŻADNYCH USTĘPSTW

Powie ktoś: „Cóż, może mamy do czynienia tylko z, jak ujął to Lenin, »pożytecznymi idiotami?«”. Może – skoro już sięgnęliśmy po przykład roku 1939 – uczestnicy tego rokoszu „w obronie torturowanych uchodźców” nie wiedzą, co czynią, tak jak elity francuskie, powtarzając ochoczo frazę, że „nie warto umierać za Gdańsk”, nie zdawały sobie sprawy, iż podrzucił im ją płatny agent III Rzeszy i bodaj wręcz wymyślono ją w Niemczech? Zapewne o niektórych można tak powiedzieć, ale na pewno nie o liderach i „liderach opinii”. Przecież dopóki agresja Łukaszenki dotyczyła tylko Litwy i Łotwy, dopóty TVN czy „GW” nie miały wątpliwości, z czym mają te kraje do czynienia. Narrację zmieniły z dnia na dzień, jakby otrzymały takie polecenie w dniu, gdy celem „hybrydowego” ataku stała się Polska.

Przy okazji spektakularnie wymówił obóz liberalnej lewicy posłuszeństwo UE. Do pewnego momentu wydawało się, że każdy sygnał z Brukseli czy Berlina jest dla tego obozu wytyczną do natychmiastowego wykonania. Pierwszym dysonansem było podjęcie przez PO ryzyka storpedowania ważnego dla Unii planu Funduszu Odbudowy dla partykularnego celu zaszkodzenia rządowi PiS – można było to jednak uznać za przejaw braku rozsądku Borysa Budki, który zresztą został za tę niesubordynację wobec interesów Unii ukarany odsunięciem na rzecz Donalda Tuska. Ale tym razem sprzeniewierzenie się interesom Unii jest spektakularne i dobitne.

Inaczej niż w roku 2015, Niemcy i organa unijne zajęły wobec prób powtórzenia przez Łukaszenkę ówczesnych sukcesów Erdoğana stanowisko szybkie i jednoznaczne: żadnych ustępstw! Pseudohumanitarny bełkocik z czasów „herzlich willkommen” „damy radę” zastąpiony został twardo brzmiącymi deklaracjami, że obrona granic UE (a polska wschodnia granica jest także granicą Unii) jest najwyższą koniecznością, a uleganie humanitarnemu szantażowi zastosowanemu przez wschodnich satrapów może spowodować tylko jego nasilenie.

Fakt, że te wytyczne z unijnej centrali – mimo powtórzenia ich, w nieco pokrętnej formie, przez Donalda Tuska i mimo jasnej deklaracji obecnej akurat w Polsce komisarz Jourovej – zostały spektakularnie odrzucone na rzecz uczestniczenia w ruskich propagandowych lamentach nad niedolą „Afganek i Afgańczyków” coś istotnego mówi. Mówi mianowicie, że wbrew ulubionej tezie propagandy PiS lewicowo-liberalne salony nie są posłusznym narzędziem Berlina i Brukseli – są raczej dyszącą ojkofobiczną nienawiścią ochotniczą „piątą kolumną”, która odda się w służbę każdemu, kto tylko Polskę atakuje. Kiedy czynią to eurokraci, lewicowo-liberalne salony realizują ich wytyczne, z bezprzykładną obłudą nazywając każdego, kto nie podporządkowuje się unijnym zarządzeniom, „agentem Putina”. Kiedy jednak Unia staje po stronie rządu PiS i chwali go za stanowczość okazaną wobec masowo nasyłanych przez Łukaszenkę migrantów (ponad 100 prób nielegalnego przekroczenia granicy codziennie i wciąż więcej – co również antypisowskie media ukrywają), to wytyczna „zawsze przeciwko PiS” jest ważniejsza od wytycznej „follow UE”, nawet jeśli oznacza to, że salony same podejmują się roli agentury Putina.

Nie można tego zrozumieć, jeśli nie prześledzi się całego procesu degeneracji elit III RP, który trwa od lat. Trudno uwierzyć, że tak kończy formacja, którą tworzyli ludzie tego pokroju co Mazowiecki, Geremek czy Kuroń – rozumiejący polskie interesy na sposób odmienny od tradycjonalistów żyjących w legendzie Armii Krajowej, ale szukający nowoczesnej formuły patriotyzmu, a nie usankcjonowania nienawiści do swego kraju pochodzenia. Ta „droga ku targowicy”, droga ku obecnemu rokoszowi przeciwko państwu, ku gotowości rezygnacji z suwerenności na rzecz kolonizatora, byle tylko zagwarantował coraz wyraźniej odrzuconej przez Polaków byłej elicie odzyskanie utraconych przywilejów, warta jest książki.

Jak krok po kroku miejsce Geremka zajął Trzaskowski, miejsce redaktora Turowicza redaktor Lis, a miejsce ks. Tischnera ks. Lemański. Jak zapiekła nienawiść Polaków „fajnych” do „tej drugiej, gorszej Polski” doprowadziła nie tylko do wykolejenia moralnego, lecz także do degradacji intelektualnej. To bowiem, w czym obóz lewicowo-liberalny najbardziej przypomina dziś historyczną targowicę, to nawet nie jest gotowość do służenia każdemu, kto zaatakuje „ciemną, nacjonalistyczno-katolicką Polskę”, ale skrajna polityczna głupota i niezdolność przewidywania skutków swych histerycznych zachowań. Wielu z pajacujących „w obronie torturowanych uchodźców” lewicowców i liberałów wierzy zapewne, że realizuje jakieś „europejskie” ogólnoludzkie wartości, tak jak Potocki, Branicki i Rzewuski wierzyli, że caryca i król Prus, ku którym zwrócili się jako ku gwarantom polskiej złotej wolności, sprawią tylko, że „znowu będzie, jak było”.

Nawet ludzie dostrzegający w ostatnich latach postępy moralnego rozkładu elit III RP żyli złudzeniem, że gdy dojdzie do sytuacji zagrożenia państwa, staną one po stronie całego narodu. Łukaszenka pokazał nam swą akcją, że nic podobnego: lewicowo-liberalne salony, trawione frustracją odrzucenia i resentymentami przeradzającymi się w coraz wściekleszą nienawiść do własnej ojczyzny, staną po stronie agresora, choćby był nim nie europejski Timmermans z sędzią de Lapuertą, ale były dyrektor kołchozu Białoruskiej SSR.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Na granicy konfliktu

Maciej Pieczyński

Łukaszenka używa uchodźców, by uderzyć w Polskę nie tylko propagandowo. Niebezpieczeństwo rośnie szczególnie w przededniu manewrów „Zapad-21"

Łukaszenka marzy o strzelaninie na granicy z Polską

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Już od kilku dni na granicy polsko-białoruskiej ponad 50 Afgańczyków przebywa w nieludzkich warunkach [...]. I tu pojawia się pytanie: To po co ich zapraszano?! Czy to aby nie cynizm, graniczący z nazizmem?!" – obwieściła widzom programu informacyjnego dziennikarka państwowej telewizji Biełaruś-1. Propaganda Łukaszenki gra na lewicowym fortepianie. Reporter Andriej Sycz stwierdził, że obozowisko w Usnarzu Górnym staje się powoli „obozem śmierci", ponieważ zostało odcięte od dostaw leków i żywności przez polskich żołnierzy, „wykonujących zbrodniczy rozkaz, polegający od obronie biednych ludzi przed reklamówką z jedzeniem". Mimochodem propagandyści wspominają jednak o tym, że dzielni białoruscy pogranicznicy dokarmiają „uchodźców" – tym samym zaprzeczają narracji o rzekomym ich głodzeniu przez Polaków.

Medialny obraz sytuacji jest więc następujący: kolektywny Zachód wywołał kryzys humanitarny, zapraszając uchodźców do siebie, a następnie odmawiając im pomocy u samych bram UE. Andriej Sycz: „Nienawiść i dehumanizacja w stosunku do ludzi o innym kolorze skóry i o innej mentalności stała częścią nowej normalności w Europie [...]. Wykorzystując strach (przed terroryzmem) własnych obywateli, eurokraci usprawiedliwiają przemoc wobec tych, którzy szukają pomocy i ochrony. Prawa człowieka już dawno nic nie znaczą w Europie. Wspomina się o nich tylko wtedy, gdy można ich użyć jako broni". Ostatnie zdanie reportera to oczywista aluzja: Europa oskarża Białoruś o łamanie zasad, których sama nie przestrzega.

Jak informują obserwujący sytuację z bliska polscy pogranicznicy, białoruskie służby regularnie dostarczają cudzoziemcom jedzenie, napoje, ciepłe posiłki, opał do ogniska, a nawet papierosy i słodycze. Jednocześnie w mediach Mińsk oskarża Polaków o znęcanie się nad uchodźcami. W białoruskiej telewizji w imieniu koczujących wypowiada się często Muhammad, który twierdzi, że uciekł z Afganistanu przed talibami. Ostro krytykuje Polaków. „Gdzie jest ich współczucie?! Nawet zwierzęta sobie pomagają! Dlaczego oni nie chcą nam pomóc?! [...] Nie jedliśmy nic przez cztery dni, pijemy bardzo brudną wodę" – skarży się Muhammad, nie wiadomo, czy z własnej inicjatywy, czy za namową białoruskich służb, które przecież o obozowisko dbają. Z jego wypowiedzi można wyciągnąć absurdalny, ale pożyteczny dla propagandy Mińska wniosek: migranci, przebywający na terenie Białorusi, pod opieką tamtejszych służb, żalą się na brak opieki ze strony polskich służb.

„KONFLIKT GRANICZNY"

Można odnieść wrażenie, że to nie białoruskie służby przerzuciły tych ludzi na granicę z Polską, ale że to Polska przerzuciła ich na Białoruś. „Ludzi, którzy prosili

eprasa.pl 45e9aec525

Warszawę o azyl, wbrew ich woli wywieziono wojskowymi ciężarówkami na granicę, a nawet ustanowiono kordony i patrole, żeby ich nie wpuścić do kraju" – mówiła prowadząca wiadomości dziennikarka w cytowanym już materiale. Wprost o przepychanie uchodźców przez granicę oskarżył Polaków sam Łukaszenka, przypisując Warszawie praktyki stosowane na jego rozkaz przez Mińsk. Pod koniec sierpnia „ostatni dyktator Europy" powiedział, że „w ostatnich dniach" przez terytorium Białorusi przeszło „kilkudziesięciu, może kilkuset Afgańczyków" w drodze na Zachód, który „obiecał ich do siebie przyjąć". A konkretnie – szli oni jakoby „na zaproszenie Mutter Merkel". Po drodze trafili jednak na granicę Unii. „I co z nimi zrobili Polacy? Wyłapali ok. 50 osób na terytorium Polski […] i pod groźbą użycia broni, strzelając im nad głowami, wyrzucili ich na granicę z Białorusią. A przecież ci ludzie chcieli do Niemiec, nie na Białoruś! Polska w ten sposób rozpętała konflikt graniczny" – stwierdził Łukaszenka. W perspektywie nadchodzących rosyjsko-białoruskich manewrów te słowa brzmią bardzo groźnie. Mińsk próbuje zdestabilizować sytuację na wschodnich rubieżach NATO i UE, o kryzys humanitarny i jego ewentualne konsekwencje dla bezpieczeństwa oskarżając Warszawę.

Już w maju Łukaszenka wprost zapowiadał, że przestanie pilnować granicy Białorusi z UE. „Zatrzymywaliśmy narkotyki i migrantów, teraz sami będziecie ich łapać" – tak odpowiedział państwom Zachodu na krytykę za porwanie samolotu z Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie. Białoruska propaganda otwarcie mówi o tym, że liczba migrantów z Azji i Afryki, nadciągających nad granice UE, będzie rosnąć w zawrotnym tempie. Większość ekspertów nie ma wątpliwości – obecny kryzys migracyjny to starannie przygotowana operacja białoruskich służb. Potwierdzają to przedstawiciele organizacji BYPOL, zrzeszającej byłych oficerów białoruskich resortów siłowych, którzy wyemigrowali do Polski.

Podpułkownik Alaksandr Azarow opisał mechanizm operacji „Śluza", którą ludzie Łukaszenki prowadzili już dekadę temu. Polegała ona na przerzucaniu nielegalnych migrantów z Azji i Afryki do państw UE. Operację prowadziły białoruskie służby: KGB oraz elitarna jednostka wojsk granicznych OSAM (swego czasu służyli w niej obaj synowie Łukaszenki) we współpracy z rosyjskim FSB. W latach 2010–2011 celem operacji było wymuszenie od Brukseli pieniędzy na uszczelnienie granicy. Dziś analogiczne działania to część ataku hybrydowego na państwa, które poparły antyłukaszenkowskie protesty powyborcze i wsparły „biało-czerwono-białą" opozycję. Skala jest o wiele większa niż poprzednio – w akcję zaangażowane jest również wojsko.

KULISY OPERACJI „ŚLUZA"

Dziennikarskie śledztwo na ten temat przeprowadził Tadeusz Biczan, związany z Nextą. W swoim tekście na portalu waidelotte.org opisał szczegóły operacji białoruskich służb. Słowa Łukaszenki o tym, że Mińsk nie będzie przeszkadzał w przedostaniu się przez granicę z UE, przez kilka dni ciągle powtarzała irakijska telewizja. To właśnie z Iraku pochodzi lwia część migrantów. Na początku roku z tego kraju na Białoruś wylatywał jeden samolot tygodniowo. Od maja ta liczba wzrosła wielokrotnie. Jak informuje Biczan, sprowadzaniem Irakijczyków zajmowała się białoruska firma państwowa Centrkurort, podlegająca bezpośrednio prezydentowi. „Uchodźcy" po przylocie do Mińska otrzymywali białoruskie wizy turystyczne. Tygodniowa wycieczka to koszt od 600 do 1 tys. dol. Reżim nie tylko zyskuje politycznie, wywołując zamieszanie u zachodnich sąsiadów, lecz także finansowo. W Mińsku „turyści" mieli do dyspozycji sześć państwowych hoteli (trzygwiazdkowe, czterogwiazdkowe, jeden pięciogwiazdkowy). Następnie pod okiem białoruskich służb udawali się na „zieloną granicę". Na internetowych czatach Irakijczycy wymieniają się instrukcjami i poradami na temat „wycieczek". Wynika z nich, że mają świadomość, iż płacą białoruskim służbom oraz przemytnikom za udział w nielegalnym procederze.

Właściwym miejscem do przyjęcia wniosku azylowego jest przejście graniczne. Gdyby więc celem Mińska było tylko umożliwienie migrantom dotarcia do bram UE, odwieziono by ich do któregoś z przejść. „Afgańczycy" poprosiliby o ochronę i albo by ją dostali, albo nie, ale nie byłoby żadnego miasteczka namiotowego. Wtedy jednak nie byłoby konfliktu. Poza tym dla samych migrantów Polska jest raczej tylko państwem tranzytowym – jak wynika z publikowanych w Internecie instrukcji, wolą przejść „zieloną granicę", znaleźć kierowcę ciężarówki jadącego do wybranego kraju zachodniego i zabrać się z nim za drobną opłatą.

Nawet jednak gdyby zechcieli zgodnie z prawem dotrzeć do przejścia granicznego, wątpliwe, by białoruskie służby im by to umożliwiły. Na nagraniach chociażby z Litwy widać groteskowe sceny – migranci stoją zdezorientowani pomiędzy litewskimi a białoruskimi strażnikami, a ci ostatni zdecydowanie poganiają ich słowami: „No co ty robisz?! Idź tam!". Mińsk nie ma najmniejszej ochoty trzymać u siebie tych, których sprowadził z Bliskiego Wschodu. Plan był najpewniej taki, aby tysiącami przerzucać ich przez zieloną granicę UE, wywołując ogromny kryzys imigracyjny, który na rękę jest zarówno Łukaszence, jak i Putinowi. Część migrantów to zresztą obywatele Rosji – głównie mieszkańcy Kaukazu. W tłumach „uchodźców" mogą ukryć się więc nie tylko najbardziej działający na wyobraźnię islamscy terroryści, lecz także sterowani przez Mińsk czy Kreml dywersanci.

10 września ruszają manewry „Zapad-21". Łukaszence nie udało się zalać Polski falami migrantów. Jednak propaganda, trafiająca na podatny grunt nad Wisłą (niekoniecznie w Brukseli), skutecznie kreśli obraz polskich służb znęcających się nad uchodźcami przebywającymi na Białorusi. Jeśli jakiś aktywista w porywie serca przekroczy granicę i ruszy na pomoc „Afgańczykom", to może trafić w ręce służb Łukaszenki, a te albo zadbają, by zeznał to, co zechcą, albo wykorzystają ten incydent w inny sposób. Choćby jako pretekst do podobnych ruchów w drugą stronę. Skoro polski aktywista może przejść zieloną granicę z Białorusią, to czemu nie odwrotnie? W końcu Łukaszenka już oskarżył Warszawę o rozpętanie konfliktu granicznego.

Nerwowe ruchy mogą wywołać też nie zimny, ale gorący konflikt. Jak stwierdził w rozmowie z Onetem opozycjonista Anatol Kotow, „Łukaszenka marzy o strzelaninie na granicy z Polską". Mińsk potrzebuje krwi – to pokazała już nieumiejętna próba oskarżenia Litwy o zabójstwo migranta, którego znaleziono martwego na terytorium Białorusi. Gdyby do tragedii doszło na granicy z Polską i z „winy" Warszawy, Łukaszenka mógłby wystąpić w roli obrońcy Moskwy przed agresją z Zachodu. A za obronę zażądałby zapłaty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Łukasz Warzecha

Niemoc Tuska

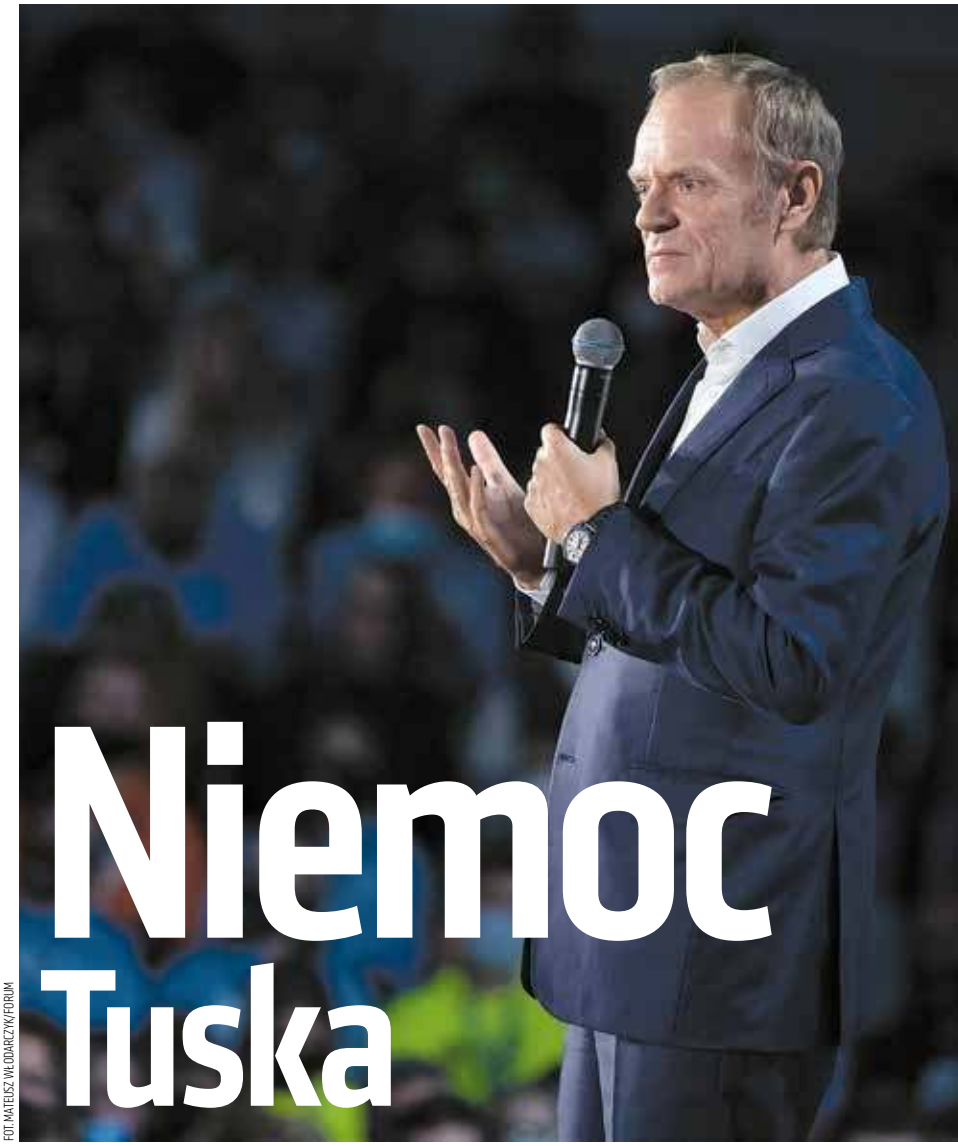

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Pamiętają państwo jeszcze ekscytację, która towarzyszyła powrotowi Donalda Tuska do polskiej polityki? Można było odnieść wrażenie, że niektórzy sądzą, iż nowy przewodniczący PO dysponuje cudownymi mocami, za sprawą których nie tylko natychmiast pognębi zły PiS, lecz także wymusi hołdy reszty opozycji, z wyjątkiem idącej własną drogą Konfederacji

Czas te oczekiwania zweryfikował bardzo boleśnie, a sytuacja na polskiej wschodniej granicy każe postawić w ogóle pytanie o faktyczną moc sprawczą Tuska. Jego głównym problemem może się okazać nie rywalizacja z PiS czy zdominowanie Polski 2050, ale młode, postpolityczne pokolenie ludzi w jego własnej partii, w mediach i wśród zwolenników.

Sondaże wykonane już po tym, jak zaczął się kryzys graniczny w Usnarzu, nie pozostawiają złudzeń: Polacy nie są w zdecydowanej większości nastawieni entuzjastycznie wobec przyjmowania migrantów. Co prawda, badania mieszają ze sobą pojęcia imigrantów oraz uchodźców, ale wyniki i tak są jasne. W badaniu dla „Wydarzeń" Polsatu przeciw wpuszczaniu takich osób opowiedziało się prawie 55 proc., za – jedynie trochę ponad 38 proc. Wynika z tego, że liczba osób sprzeciwiających się łatwemu przyjmowaniu migrantów w Polsce przekracza wyraźnie liczbę wyborców PiS.

Jeszcze ciekawszy był sondaż dla Radia RMF FM, w którym odpowiedzi na poszczególne pytania rozbito na wyborców poszczególnych ugrupowań. Nie jest zaskoczeniem, że aż 75 proc. wyborców KO jest przeciwnych działaniu rządu wobec kryzysu – może dziwić, że tylko tyle. Ale już tam, gdzie pada pytanie, co w takim razie czynić, największy odsetek wyborców PiS i KO (odpowiednio 45 i 58 proc.) opowiada się za przyjmowaniem do Polski jedynie tych, których tożsamość i podstawy do ubiegania się o status uchodźcy zostaną pozytywnie zweryfikowane przez polskie służby. W obu przypadkach nie ma więc mowy o tym, żeby przyjmować każdego, kto tylko poda się za uchodźcę.

Przypuszczam jednak, że Donald Tusk nie potrzebował czekać na badania, żeby wiedzieć, jaki jest społeczny sentyment. Dlatego, jeżeli uważnie prześledzić jego wypowiedzi na ten temat, to widać, jak starał się sprawę niuansować. Owszem, krytykował rząd za nieprzygotowanie i niezapobieżenie kryzysowi humanitarnemu, lecz jednocześnie opowiadał się za szczelną granicą oraz wyraźnie wskazywał Łukaszenkę jako głównego winnego sytuacji. Jego oświadczenie umieszczone w mediach społecznościowych na tle wielu zapalczywych i skrajnie emocjonalnych uniesień osób powiązanych z opozycją było uderzająco umiarkowane. Ciekawe też, że Tusk nie zdecydował się ostatecznie na wystąpienie w tej sprawie podczas konferencji prasowej. Nietrudno pojąć, dlaczego. Przewodniczący PO zapowiedział, że w czasie spotkań z dziennikarzami będzie chętnie odpowiadał na pytania, aby odróżnić się choćby od premiera Morawieckiego. Tej obietnicy musiałby dotrzymać, a wtedy niemal na pewno zetknąłby się z pytaniami stawiającymi go w trudnej sytuacji. Przedstawiciele lewicowych mediów bez wątpienia naciskaliby na Tuska, usiłując z niego wydobyć deklaracje stanowczego potępienia zamknięcia granicy, na które nie miałby ochoty.

Tak się bowiem składa, że te właśnie media, które miały być siłą wspierającą męża opatrznościowego opozycji, okazują się dla niego dzisiaj częścią problemu. Fanatyzm „Gazety Wyborczej" w sprawie migrantów jest wpisany w DNA gazety Adama Michnika i żadne pragmatycz-

eprasa.pl 45e9aec525

ne względy polityczne nie są w stanie go stępić. Niewiele pod tym względem „Wyborczej" ustępuje TVN. A są to media, które w dużej mierze kształtują postawę zwolenników opozycji. Obecny w nich ton pozostaje w kontraście z nie tak zresztą częstymi wypowiedziami Tuska, który – jak się zdaje – stara się o problemach na granicy w ogóle mówić najmniej, jak się da.

NARYBEK PLATFORMY

Mniejsza jednak o poskromienie antyrządowych mediów, skoro Tusk ma kłopot z ludźmi z własnej partii. Bohaterem memów został młody poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski, który wykonał brawurowy slalom pomiędzy strażnikami granicznymi, próbując się przedrzeć przez granicę. Niewiele mniejszą popularność zdobyła Klaudia Jachira, gdy odwiedziła nadgraniczny rejon. Oboje są młodymi posłami, to ich pierwsza kadencja w Sejmie, a na listy PO wziął ich Grzegorz Schetyna (Jachira już wcześniej bezskutecznie kandydowała z listy Nowoczesnej). Można sobie zadać pytanie, czy Tusk podobnie hojnie jak Schetyna dysponowałby miejscami na listach, rozumiejąc ryzyko, jakie niesie ze sobą wprowadzanie do Sejmu ludzi trudnych do kontrolowania i prezentujących całkiem inny sposób myślenia niż starzy, doświadczeni wyjadacze. Sam Tusk i jego wypróbowani polityczni partnerzy to szczwane lisy, na ogół dobrze rozumiejący konsekwencje swoich słów, wystąpień, zachowań. Nie ma w nich emocji, jest jedynie kalkulacja.

Młody narybek KO działa inaczej. To ludzie nie tylko bez politycznego doświadczenia, lecz także wychowani na postpolitycznej manierze nadmiernego epatowania emocjami, najchętniej w mediach społecznościowych, i stawiania ich ponad racjonalnymi, pragmatycznymi ocenami. Przede wszystkim zaś nie zawdzięczają niczego Tuskowi. Gdy były przewodniczący Rady Europejskiej odchodził z polskiej polityki, Jachira i Sterczewski mieli po 26 lat. Tusk jest dla nich starszawym panem, który nie do końca rozumie młodsze pokolenie i chce krępować ich „swobodną ekspresję" jakimiś dziwnymi obiekcjami.

Jednak nad Jachirą czy Sterczewskim Tusk ma mimo wszystko jakąś kontrolę, przynajmniej formalnie. Nie ma już jednak żadnej władzy nad dużą grupą osób skupionych wokół części opozycji, takich jak Marta Lempart, ks. Wojciech Lemański czy Bartosz Kramek. Tymczasem ich zachowanie idzie w dużej mierze również na konto PO i samego Tuska, nawet jeśli on ich w żadnym stopniu nie inspiruje i nie wspiera. Próba zniszczenia instalacji granicznych, podjęta pod wodzą Kramka, to dla Tuska prawdziwy PR-owy koszmar na wielu poziomach.

Ten problem nie dotyczy tylko kwestii granicy, lecz także co najmniej kilku innych sfer, w których Tusk z pragmatycznych powodów jawi się niemal jak konserwatysta w zestawieniu ze zwykle młodszymi od siebie radykałami. Pierwsza taka dziedzina to kwestie klimatyczne. Kiedy przewodniczący PO w trakcie sesji pytań i odpowiedzi na żywo, transmitowanej w Internecie na początku sierpnia, powiedział, że owszem, trzeba radykalnie zmienić polską politykę energetyczną, ale także chronić „ludzi żyjących z węgla", wywołało to u części zwolenników opozycji zdziwienie, a nawet pomruki niezadowolenia. Młodzi kibice PO, których Rafał Trzaskowski zebrał na Campusie Polska, podchodzą do spraw polityki klimatycznej z emocjonalnym nastawieniem – takim właśnie, jakie prezentują wspomniani Jachira czy Sterczewski. Nie ma tam żadnej refleksji nad kosztami – czy to finansowymi, czy społecznymi. Tusk tą drogą iść najwyraźniej nie chce, ale podobnie jak w sprawie granicy musi lawirować, mówić półsłówkami, starać się wypowiadać tak, żeby wilk był syty i owca cała.

Drugi podobny problem to podejście do roli Kościoła i religii. W swoich pierwszych wystąpieniach po powrocie do krajowej polityki przewodniczący PO z jednej strony ostro krytykował Kościół hierarchiczny, z drugiej jednak podkreślał rolę chrześcijaństwa. Nawet jeśli była to jedynie retoryka, to i tak stała w mocnym kontraście z radykalizmem młodszych wyborców opozycji, a nawet z głośną wypowiedzią Sławomira Nitrasa o „opiłowaniu" katolików z „przywilejów" na Campusie Polska. Pytanie brzmi, na ile tego typu retoryka ma placet lidera Platformy.

Trzecia kwestia to gospodarka. Tusk wprawdzie zrezygnował z klasycznego liberalnego przekazu, a nawet przyznał publicznie, że podniesienie wieku emerytalnego bez pytania ludzi o zdanie było jego błędem, lecz znów – jego stanowisko jest dalekie od skrajnych zapatrywań młodego pokolenia kibiców opozycji oraz lewicowego komentariatu, który coraz chętniej łączy postawę w sprawach klimatycznych z ideą „degrowth", czyli celowego hamowania wzrostu gospodarczego, najpełniej wyrażoną w programie „Fit for 55".

PRZEWODNICZĄCY KONTRA RADYKAŁOWIE

Tusk odziedziczył po Ewie Kopacz, Grzegorzu Schetynie i Borysie Budce Platformę mocno przesuniętą w lewo, a na dodatek podczas jego nieobecności nastąpiła częściowa zmiana pokoleniowa. Nowy przewodniczący PO rozumie jednak, że część jego wyborców nie popiera tej radykalizacji. Ponieważ jego głównym rywalem pozostaje na razie Szymon Hołownia – jakkolwiek już dość mocno pognębiony – Tusk wie, że musi umiejętnie sterować przekazem, tak aby trafić również do „postępowych katolików" czy do osób o liberalnych gospodarczo przekonaniach. One wciąż stanowią znaczną część elektoratu PO. Wydaje się jednak, że ten sposób myślenia platformerska młodzież nie do końca akceptuje.

Na tle rozemocjonowanych radykalizmów Donald Tusk wydaje się ostoją zdrowego rozsądku, choć wynika to przecież nie z konserwatywnych poglądów, ale kalkulacji, co się opłaca. Przewodniczący PO będzie miał w nadchodzących miesiącach problem, w jaki sposób opanować własne ugrupowanie i narzucić mu bardziej umiarkowaną linię. Nie będzie jednak w stanie kontrolować otoczenia opozycji.

Scenariuszy jest kilka. Jeden to zademonstrowanie przez Tuska skuteczności jego narracji poprzez wyniki sondaży, które jednak na razie pozostają nieszczególnie korzystne – wówczas być może przynajmniej część okołoopozycyjnych kręgów w imię dobrego wyniku wyborczego powstrzyma swoje emocje. Możemy tu być świadkami narastającego sporu wewnątrz opozycji. Radykałowie będą wskazywali, że „Tusk nie działa", a Tusk i jego stronnicy – że nie może działać, skoro jego podejście jest sabotowane przez radykałów.

Inny scenariusz to przegrana Tuskowej strategii z młodym postpolitycznym pokoleniem. I patrząc na to, co dzieje się w sprawie migrantów, ten właśnie scenariusz wydaje się dziś całkiem prawdopodobny. Umiarkowana linia zostanie skwitowana lekceważącym „OK, boomer", czego doświadczył już podczas Campusu Polska Leszek Balcerowicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Tomasz Rowiński

Polacy zmieniają podejście do narkotyków. Przestają postrzegać je jako zagrożenie. To szalenie niebezpieczne

FOT. ADOBE STOCK

Czy ćpanie jest fajne?

Narkotyki, także te tzw. miękkie, jeszcze do niedawna cieszyły się w Polsce złą opinią. Ich zażywanie łączyliśmy z zachowaniami patologicznymi, prowadzącymi do degradacji i marginalizacji społecznej. Dla pokoleń, które przeżywały wiek nastoletni w latach 90., palenie trawy – czyli w praktyce rozmaitych produktów pochodnych od konopi indyjskich – było rodzajem sięgania po owoc zakazany. Starsze pokolenia, lat 80., wąchały kleje, a słusznie złą sławą cieszyła się „polska heroina", czyli tzw. kompot z maku. Wszystko to miało posmak ekscesu i zagrożenia, które powinny towarzyszyć działaniom ryzykownym na granicy czy poza granicami prawa. Choć w Polsce posiadanie małej ilości narkotyku nie jest karalne, to sprzedaż i produkcja już tak, a przecież to jedyne sposoby, by wejść w posiadanie środków odurzających.

Ten krajobraz społeczny zmienił się jednak przez ostatnie kilkanaście lat. Emblemat z liściem konopnym stał się powszechnie znanym elementem kultury popularnej. Można go z łatwością spotkać na ubraniach noszonych przez młodych ludzi, niejednokrotnie pojawia się we wzorach tatuaży, które także opuściły środowiska subkultur i stały się elementem szeroko – choć wciąż nie powszechnie – akceptowalnej mody. Od lat działają ruchy na rzecz legalizacji marihuany. Oczyszczona z zakazanych substancji (jak psychotropowe THC) pojawia się ona w ekstraktach e-papierosowych, a nawet jest elementem akcji promocyjnej pewnego projektu browarniczego, którego twarzami są Janusz Palikot i Kuba Wojewódzki.

Sprawa warszawskiego dilera celebrytów, który rozprowadzał kokainę wśród znanych i zamożnych, jest zapewne tylko wierzchołkiem góry lodowej dystrybucji twardych narkotyków wśród ludzi, których na to stać.

Ewolucję polskiej obyczajowości w tym zakresie widać też na poziomie statystycznym. Sięgnijmy zatem po „Raport o stanie narkomanii w Polsce" z roku 2020 opublikowany przez Krajowe Biuro do spraw Przeciwdziałania Narkomanii. Dokument słusznie zestawia spożycie alkoholu z zażywaniem narkotyków. Zwolennicy legalizacji narkotyków często podnoszą argument, że miękkie narkotyki są od alkoholu dużo mniej szkodliwe, a Polacy używają ich nieproporcjonalnie rzadziej. I tak według danych z raportu blisko 90 proc. z nas spożywa alkohol (dane z 2014 r.), a tylko 5,4 proc. przyjęło w ciągu ostatniego roku przed badaniem narkotyk (dane z 2018 r.). Problem polega jednak na tym, że w przypadku alkoholu mówimy o problemie alkoholowym w skali narodowej – istnieje nawet specjalna agencja, która zajmuje się tą sprawą. Pojawiają się też pomysły na obniżenie spożycia. Są to mechanizmy, które zadziałały w innych krajach: rozrzedzenie sieci sprzedaży, zakaz sprzedaży alkoholu w godzinach nocnych. To metody, które ograniczyły ryzykowne spożywanie alkoholu czy to w krajach Skandynawskich, czy niedawno na Litwie. O narkotykach coraz częściej słyszymy tylko w kontekście relaksu i dobrej zabawy.

eprasa.pl 45e9aec525

Skoro jednak mamy narodowy problem z alkoholem, to czy odpowiedziale jest mówić – niekoniecznie dosłownie – że Krajowe Biuro do spraw Przeciwdziałania Narkomanii nie ma sensu? Czy potrzebny nam jeszcze jeden głęboko destrukcyjny społecznie problem uzależnieniowy?

EUROPA NA HAJU

Polacy wciąż znajdują się na niskich poziomach europejskiej ligi, jeśli chodzi o skalę używania narkotyków. Najczęściej raczą się nimi Włosi (10,9 proc. w 2017 r.), a także Hiszpanie (11,9 w 2017 r.) i Holendrzy (11,8 w 2018 r.) – chodzi tutaj o przedział wiekowy od 15 do 64 lat. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę tzw. młodych dorosłych, jak mówi raport, czyli osoby w przedziale 15–34 lata, to sytuacja wygląda gorzej. W tym wypadku odsetek konsumentów narkotyków w Polsce kształtuje się na poziomie średniej włoskiej, hiszpańskiej i holenderskiej z segmentu 15–64 lata i wynosił 10,4 w roku 2018. Oczywiście, trzeba dodać, że w całej Europie młodsi ludzie chętniej się narkotyzują od starszych, więc w wąskim przedziale liderzy rynku także nas wyprzedzają. Czy jest to jednak jakieś usprawiedliwienie? Raczej powód do alarmu, że Europa pogrąża się w narkotycznym otępieniu.

Jeśli chodzi o używanie konopi „kiedykolwiek w życiu wśród osób w wieku 15–16 lat", to jesteśmy właściwie w europejskiej czołówce, wzrasta też liczba młodych ludzi zgłaszających się na leczenie z powodu zażywania amfetaminy. W połowie lat 90. palenie marihuany było uważane za bardzo ryzykowne przez 55 proc. 15–16-latków, dziś jest to ledwie 25 proc. Pozostaje też pytanie, na ile deklaracje przekazane badaczom odzwierciedlają rzeczywiste poglądy. Czy nie należy uwzględnić, że część młodzieży może odpowiadać zgodnie z oczekiwaniami pokolenia swoich rodziców, czyli tych, którzy byli nastolatkami w latach 90.? To by znaczyło, że przyzwolenie na narkotyzowanie się jest jeszcze większe.

Skoro część polskich statystyk nawiązuje już korespondencyjnie konkurencję z liberalną Holandią, to warto się przyjrzeć, jak Polacy się odnajdują w liberalnym pod względem dostępu do narkotyków kraju. Pod koniec lutego portal Polonia.nl opublikował artykuł, w którym przedstawiono wyniki dziennikarskiego śledztwa prowadzonego przez autorów działającej non profit platformy internetowej Investico. Dotyczyło ono narkomanii wśród robotników z Europy Wschodniej pracujących w Niderlandach. Wyniki śledztwa przedstawiono w dzienniku „Trouw" oraz tygodniku „De Groene Amsterdammer". Wyłania się z niego dość przygnębiający obraz problemu narkotykowego, który dotyka społeczności polskiej w kraju tulipanów.

W PRACY PO AMFETAMINIE

Choć twarde narkotyki są w Niderlandach zakazane, to jednak – jak można zrozumieć z materiału Polonia.nl – są łatwo dostępne i coraz częściej zażywane. „Amfetamina »daje kopa«, usuwa zmęczenie i senność, wyzwala energię, tłumi stres" – zauważają autorki Polonia.nl Ewa Grochowska i Małgorzata Bos-Karczewska. „Jeśli jesteś wykończony, ale mimo tego musisz dalej pracować, np. układać kostkę brukową lub murować ścianę, to amfetamina bardzo w tym pomaga" – wyjaśniał na łamach „Trouw" kryminolog i badacz narkotyków Ton Nabben z Uniwersytetu Nauk Stosowanych w Amsterdamie. Bardzo wymowny i wiele mówiący był tytuł tekstu z „De Groene Amsterdammer" cytowany przez Grochowską i Bos-Karczewską: „Narkotyki w miejscu pracy. Tańsze niż piwo z Aldi". Czytamy tam: „Amfetamina, w przeciwieństwie do kokainy, jest tańsza niż piwo marki premium Schultenbräu w Aldi". Co oznacza, że za 10 euro można nabyć gram amfetaminy i porcja ta starcza nawet na kilkanaście działek.

To jednak nie wszystko, jeden z wywiadowanych przez dziennikarzy pracowników wprost powiedział, że agencje pracy chronią pracowników używających narkotyków. Dlaczego? Bo są wydajni, nawet jeśli pracują i mieszkają w bardzo złych warunkach. Oczywiście w tym momencie patologiczne koło już się zamyka, ponieważ jego początkiem są właśnie często nieludzkie warunki pracy robotników z Europy Wschodniej. Pracują za długo, odpoczywają za mało i źle jedzą. Oczekiwana wydajność pracy ma także swoje jednoznacznie mroczne konsekwencje – ponarkotykowa przestępczość, bezdomność i samobójstwa jako efekt ostatecznego wypalenia. Nietrudno zauważyć w sytuacji narkotyzujących się robotników odprysków tego, co w Stanach Zjednoczonych nazwano ideologią „workizmu" (czasem pojawia się w polskiej literaturze jako „pracizm"). To swoiste uzasadnienie jednej z chorób naszej cywilizacji, czyli oczekiwana niekończącego się wzrostu wydajności pracownika. „Czym jest „workizm"? Jest to przekonanie, że praca jest nie tylko niezbędna do produkcji ekonomicznej, lecz także stanowi centralny element tożsamości i celu życia, oraz przekonanie, że jakakolwiek polityka promująca dobro człowieka musi zawsze zachęcać do większej pracy" – pisał w 2019 r. na łamach „The Atlantic" Derek Thompson w eseju „Workizm unieszczęśliwił Amerykę". Narkotyki pomagają w podtrzymywaniu tego mitu.

Postawmy sobie pewne pytania. Czy w Polsce, która wciąż jest krajem na dorobku, gdzie często pracuje się za dużo, by osiągnąć materialną stabilizację, a haj jest pokusą łatwej ucieczki od trudu codziennej egzystencji, nie powinniśmy – jako społeczeństwo i państwo – przeciwstawić się tendencji do lekceważenia skutków konsumpcji narkotyków? Równie niepokojące jest budowanie atmosfery, że ćpanie jest po prostu fajne. Pytanie, w czyim interesie jest, byśmy tak myśleli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Chodziło

Łukasz Zboralski

Przedsiębiorca z Torunia ubezpieczył na życie pracowników i siebie wyznaczył do odebrania pieniędzy. Czterech ubezpieczonych już nie żyje. Dwaj to bezdomni, dwaj kolejni zginęli w dziwnym wypadku

Rafał Koczan miał 22 lata. Mieszkał z ojcem w Toruniu. Wcześniej skończył liceum ogólnokształcące, więc chciał się dalej kształcić. Chodził do policealnego technikum informatycznego. Prawie je ukończył, zostało kilka egzaminów. Pracował w Dortechu. Nie przelewało się. Dlatego ojciec od lat go wspierał. Przez parę ostatnich lat w sumie wpłacił na konto syna ponad 40 tys. zł. Rafał też chciał pomóc tacie. Załatwiał mu pracę w swoim zakładzie. Sam miał go szkolić jako nowego pracownika.

Rafał oprócz swojego normalnego zajęcia postanowił dorabiać. Ktoś dał mu namiar na toruńskiego przedsiębiorcę działającego w branży budowlanej – Macieja B.

Ojcu od początku nie podobało się kilka rzeczy. Podpisanie umowy na pracę nie w biurze, ale przy samochodzie na parkingu miejscowej galerii handlowej, zrobienie zdjęć dokumentów Rafała. – Jak mi o tym Rafał powiedział, to mu poradziłem, żeby zastrzegł dowód osobisty. On to zrobił. Sprawdziłem potem, jego dokument jest zastrzeżony – opowiada „Do Rzeczy" Andrzej Koczan.

Rafał chciał jednak dorobić. Cieszył się też z obietnicy załatwienia używanego samochodu. Przedsiębiorca miał go połączyć ze swoim znajomym, który w dobrej cenie pozbędzie się starego renault. – Nie znał się na nieruchomościach, ale w tej firmie miał zacząć jako kierowca, a potem wdrożyć się do tych spraw – relacjonuje ojciec.

SPALENI W MATIZIE

28 listopada Rafał pojechał pracować dla Macieja B. Pierwszy raz. Służbowym autem okazał się warty kilkaset złotych malutki daewoo matiz. Jechał z nim też Sławomir Ś., również zatrudniony przez toruńskiego przedsiębiorcę. Mieli oglądać jakąś nieruchomość w okolicach Chełmna w Kujawsko-Pomorskiem.

– Rozmawiałem z nim jeszcze tego samego dnia, w sobotę, ok. godz. 13 – wspomina Andrzej Koczan. – Ale potem się już nie odezwał. Mówił mi, kiedy wróci, więc gdy nie przyjechał, zacząłem się denerwować. W niedzielę zawiadomiłem policję o zaginięciu.

Tymczasem poprzedniego dnia wieczorem Rafał nigdzie nie dojechał. Na wąskiej gminnej drodze prowadzącej do Starogrodu Dolnego ktoś zauważył płonącego matiza, który stoczył się z kilkumetrowej skarpy. Na miejsce przybyli strażacy. Po ugaszeniu ognia w samochodzie odkryli dwa ciała. Rafała i Sławomira Ś.

Na samochodzie nie znaleziono żadnych uszkodzeń. Nikt w niego nie uderzył. Kierowca też nie mógł w nic uderzyć. Jak więc wypadł z drogi? Nie wiadomo. Prokuratura z Chełmna, która standardowo badała ten wypadek, uznała jednak, że nie było to niemożliwe. Ogień? Też możliwy, gdy samochód przekoziołkuje i przeleją się w nim płyny. Jedyne, co udało się ustalić, to fakt, że Ś. miał w organizmie trzy promile. Jedno z ciał miało też uszkodzenie nogi. Byli w środku tak splątani po wypadku, że nie udało się określić, kto kierował. Zgon? Najprawdopodobniej od ognia. Najprawdopodobniej – bo po spaleniu nie da się tego powiedzieć na pewno.

PIERWSZA POLISA

Andrzej Koczan był zszokowany wiadomością o śmierci syna. Drugi szok przeżył, gdy odebrał wezwania do zapłacenia składki na ubezpieczenie na życie syna. Okazało się, że Rafał został przed wypadkiem ubezpieczony grupowo na życie wraz z sześcioma innymi osobami, które zatrudnił Maciej B. Uposażonym do odebrania pieniędzy z ich polis po śmierci jest… Maciej B. – Polisa Rafała kończyła się tuż po wypadku. Czy to nie dziwne? – pyta mnie ojciec.

Potem Andrzej Koczan odbierał informacje o kolejnych polisach. Na początku było ich siedem. Dziś wie już o 11. Jego syn został ubezpieczony w wielu towarzystwach naraz. Człowiek, z którym spłonął w samochodzie, również. Według informacji, do których dotarł wcześniej Polsat, suma ubezpieczeń pracowników pana B. sięga 6 mln zł.

Jeszcze gdy trwało postępowanie w Chełmnie, ojciec ruszył z polisą, by

eprasa.pl 45e9aec525

Krótko po ubezpieczeniu na życie przez pracodawcę Rafał Koczan i Sławomir Ś. spłonęli w samochodzie pod Chełmnem

FOT. KP PSP CHEŁMNO

o życie?

zwrócić uwagę na tę rzecz. Od początku napotkał mur obojętności. – Najpierw rozmawiałem z policjantem, widziałem, że niewiele wskóram. Prosiłem o kontakt do prokuratora i wyraźnie widziałem, że nie chcą mi go dać. Funkcjonariusz zwlekał z tym podczas rozmowy – opowiada pan Andrzej. Do prokuratora dotarł. Opowiadał mu wszystko, pokazywał. – I kiedy ja tak o tym mówię, to widzę, że on potakuje i nic więcej – wspomina Andrzej Koczan. – W końcu nie wytrzymałem i zapytałem zdziwiony: Czy pan to w ogóle odnotuje? I dopiero po tym zaczął to zapisywać.

Śledczy jednak ograniczyli się do wypadku. Samochód zjechał z drogi, spalił się, ludzie zginęli, koniec.

– Prokuratura w Chełmnie przeprowadziła standardowe postępowanie. Przeglądaliśmy te akta. Nic nie wzbudziło tam podejrzeń śledczych. Sprawa została umorzona – mówi adwokat Andrzej Pazdyga, który reprezentuje Andrzeja Koczana. – Mój klient uważa jednak, że taki zbieg okoliczności był niemożliwy.

Tymczasem, jak wynika z nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy", jeszcze przed umorzeniem śledztwa do sprawy wkroczyli ubezpieczyciele. Widzieli, dokąd zmierza postępowanie w Chełmnie, próbowali wpłynąć na to, by przenieść je do Torunia.

– Zakłady ubezpieczeń wymieniają między sobą informacje. Zauważono, że przedsiębiorca ubezpieczył ludzi na życie w wielu zakładach i siebie uposażył do odebrania ubezpieczenia. Takie rzeczy się nie zdarzają – mówi „Do Rzeczy" informator z branży ubezpieczeniowej. – Drugi sygnał, który wzbudził wątpliwości zakładów, to okoliczności tego wypadku. Samochód służbowy za 500 zł? Takich aut się nie kupuje na firmowe. A wypadek na fragmencie drogi, który trudno uznać za niebezpieczny? Do tego zatrudnieni ludzie, którzy nie mieli doświadczenia na rynku mieszkaniowym?

W dodatku wyszły na jaw inne rzeczy. Okazało się, że wcześniej, w 2020 r., zmarło już dwóch innych ludzi zatrudnionych przez przedsiębiorcę B. Reporterzy Polsatu dotarli do schroniska dla bezdomnych, gdzie byli oni dobrze znani. O jednym z nich pracownicy tej instytucji mówili nieoficjalnie, że pił już nawet płyn do odkażania. W przypadku tych osób upoważnionym do odebrania pieniędzy także jest pracodawca. Jeden z tych pracowników zmarł zaledwie dwa tygodnie po ubezpieczeniu.

NOWY TROP

Prokuratura dalej zaczęła zajmować się tą sprawę. Obecnie śledztwo jest w rękach śledczych z Torunia. O postępach w nim na razie prokuratorzy informować nie chcą.

– W tej sprawie przysłano do mnie policjantów, co ciekawe – z Chełmna, a nie miejscowych z Torunia – opowiada Andrzej Koczan. – Przeszukiwali mieszkanie, sprawdzali komputer syna. Więcej nie wolno mi powiedzieć na ten temat.

Postępowanie nie będzie łatwe, bo zwłoki Rafała i Sławomira Ś. po wypadku rodziny postanowiły skremować. Nie uda dzą się więc już np. badania toksykologiczne, które mogłyby wykryć jakieś substancje w ich ciałach. Choć śledczy trzymają jedną nitkę, która może doprowadzić ich do nowych informacji. Chodzi o to, jak Rafał znalazł się na miejscu wypadku. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarliśmy, śledczy mają też badać, czy podpisy na polisach na życie były oryginalne.

Maciej B. przed kamerami potwierdził, że ubezpieczył na życie ludzi, którzy zmarli, że fotografował ich dokumenty. Nie widział w tym niczego dziwnego. – Chodziło po prostu o to, że ja po prostu pomogę załatwiać jakieś sprawy, gdyby coś, ewentualnie… Ja to rozumiałem w taki sposób, że będę osobą, która będzie załatwiała pewne rzeczy – tłumaczył reporterowi „Raportu" Polsat News.

– Ja się z tym człowiekiem nigdy wcześniej nie kontaktowałem – mówi „Do Rzeczy" ojciec Rafała. – Potem nie mogłem wytrzymać, dzwoniłem, ale telefon był głuchy. Człowiek, który przedstawiał się jako kuzyn pana B., a który pośredniczył w załatwieniu tej pracy dla Rafała, powiedział mi, że ten przedsiębiorca jest obecnie za granicą.

Andrzej Koczan pracuje dziś w firmie, w której pracę miał mu załatwić Rafał, ale bez syna. To nie on go szkolił, nie jeżdżą razem i nie wracają razem do domu. Nie wierzy, że śmierć Rafała była przypadkowa. – Samochód prowadził, odkąd miał prawo jazdy. Jeździł dobrze. Zapinał pasy, a jego ciało walało się po tym spalonym matizie – wylicza. I wzdycha: – Bardzo chciałbym, żeby ten, kto to zrobił, poniósł karę. Albo ci, którzy to zrobili, bo sądzę, że mogło być ich więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Kurki na wagę

Agnieszka Niewińska

I suszone, i mrożone, i marynowane będą w tym roku droższe i trudne do zdobycia. Pieprzniki jadalne w tym sezonie nie obrodziły

W tym roku znalazłam kurki najwyżej dwa razy i to po garstce. Podzieliłam na małe porcje do jajecznicy, dałam do spróbowania sąsiadkom i to by było na tyle. Kurek nie ma. Ani w lesie w moich sprawdzonych miejscach, ani nawet na bazarkach – mówi pani Maria Rosińska z mazowieckiego Duchnowa, która grzyby zbiera pasjami.

NAWET 60 ZŁ ZA KILOGRAM

Słaby kurkowy rok to nie tylko rozczarowanie dla grzybiarzy. To poważny problem dla przetwórców runa leśnego. – Tak złej sytuacji nie pamiętamy od 40 lat – mówi Łukasz Kazberuk, prezes Ogólnopolskiej Izby Przetwórców i Eksporterów Runa Leśnego. – Lipiec był upalny, deszcz praktycznie nie padał, więc sezon zaczął się późno. Zwykle pierwsze kurki pojawiały się już w połowie czerwca – także w krajach bałkańskich, na Ukrainie, Białorusi i w Rosji – i były sprzedawane na rynek świeży. W lipcu ceny spadały na tyle, że kurki były dostępne dla przetwórców. W tym roku tak nie było. Kurki pojawiły się w zasadzie na jednym obszarze – w południowo-wschodniej Polsce, na zachodniej Białorusi i na południowej Litwie. Przez cały lipiec ceny utrzymywały się na wysokim poziomie – ok. 50–60 zł za kg. W efekcie świeże kurki wywozili Niemcy, Francuzi i Szwajcarzy. Przeznaczone były głównie dla branży gastronomicznej, która może sobie pozwolić na wyższe ceny – tłumaczy Kazberuk.

Lekka poprawa przyszła w połowie sierpnia. – Jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałbym, że sytuacja jest katastrofalna. Dziś mówię, że jest trudna. Ceny są wyższe niż w poprzednich latach, ale przynajmniej zaczęły się normalizować. Przetwórcy ruszyli z zakupami, bo kurka nie poczeka. Ale półtoramiesięcznych strat nie da się już odrobić. Sezon może trwać jeszcze miesiąc, a może skończyć się za dwa tygodnie. Ten grzyb nie lubi przymrozków. Wystarczą dwa–trzy dni z temperaturą ok. 4 st. C i kurki wycina z lasów. Zresztą wrześniowe kurki to nie to samo co te z lipca. Nie są już małe, jędrne, idealne do marynowania – mówi prezes Ogólnopolskiej Izby Przetwórców i Eksporterów Runa Leśnego. Dodaje, że o ile duże firmy z branży przetwórstwa runa leśnego sobie poradzą, o tyle małe rodzinne przedsiębiorstwa, którymi stoi ta branża, mogą wpaść w kłopoty. – Sytuacja w branży runa leśnego nie wygląda różowo. Zbieraczy jest mało, bardzo mocno na ten rynek weszły kraje wschodnie, a od kilku lat branża nie korzysta z żadnych dotacji. Powinno się to zmienić w tym roku, który jest dla nas szczególnie trudny.

Pawła Kosina, leśnika z Nadleśnictwa Daleszyce, informacje o fatalnym kurkowym sezonie nieco zaskoczyły. – W świętokrzyskich lasach pieprzniki jadalne, potocznie zwane kurkami, pojawiły się jakiś miesiąc temu. U nas tego kurkowego kryzysu nie widać – mówi. I dodaje: – Mamy zresztą sporo szczęścia, ostatnie lata były u nas obfite w grzyby.

eprasa.pl 45e9aec525

złota

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Kazberuk przestrzega jednak przed wyrabianiem sobie opinii na podstawie informacji od pojedynczych grzybiarzy. – Czasem dzwoni ktoś do mnie z informacją, że na przykład gdzieś przy drodze na Wyszków sprzedawcy mają dużo kurek. Tyle że lepsze zbiory tych grzybów w jakimś miejscu nie mają wpływu na sytuację przetwórców. Fakty są takie, że w tym roku kurek jest mało. Sezon zaczął się z opóźnieniem, a w wielu miejscach, choćby w Rosji, głównym kraju zapewniającym podaż kurki, one się po porostu nie zawiązały. Ceny przetworów z kurek będą w tym roku wyższe i przypuszczam, że po Bożym Narodzeniu w ogóle nie uda się ich znaleźć na sklepowych półkach.

SAMOWYSTARCZALNI

Ten, kto nie chce zamartwiać się wzrostem cen kurkowych przysmaków i ich brakami w sklepach, działa na rzecz zapełnienia spiżarni własnymi zbiorami. Pani Maria Rosińska z dotychczasowych grzybobrań – a do lasu chodzi nawet kilka razy w tygodniu – zrobiła już trochę przetworów. Część grzybów ususzyła, inne zamroziła. Kapeluszy wystarczyło też na zupę. Mimo to z sezonu na razie zadowolona nie jest. – Z grzybami jest w tym roku słabo. Oczywiście, jeśli się do lasu pójdzie, to zawsze się coś znajdzie, ale to nie to samo co w poprzednich sezonach. A ja z tego wszystkiego najbardziej lubię zbierać. Jak mieszkałam w mieście i na grzyby nie chodziłam, to często miałam ochotę na ugotowanie czegoś z grzybami. Teraz, kiedy przeniosłam się na wieś i grzyby mam na wyciągnięcie ręki, już tak nie tęsknie za potrawami z grzybów. Za to uwielbiam ich szukać – opowiada.

– Na razie tego prawdziwego wysypu, na który czekają grzybiarze, nie ma. Nie nazbiera się pełnego kosza w trzy kwadranse. To sezon dla prawdziwych grzybiarzy, którzy chodzą po lesie cierpliwie, wiedzą, gdzie szukać – mówi Paweł Kosin. – W tej chwili poza pieprznikiem jadalnym można u nas znaleźć koźlarze czerwone i brązowe, gołąbki i maślaki. Zdarzyło mi się już spotkać rydze i opieńki, czym byłem zaskoczony, bo to jesienne grzyby – dodaje leśnik z Nadleśnictwa Daleszyce.

Na razie grzybowych zapasów nie robi. – Przyrządzamy zebrane grzyby na bieżąco, polska kuchnia grzybami stoi, więc nudy na talerzu nie ma, obdarowujemy też naszych znajomych. Wiele grzybów, które znajdujemy w lipcu i sierpniu, jest mocno zaczerwionych, czyli – mówiąc potocznie – robaczywych. Larwy muchówek drążą tunele w trzonach i kapeluszach, zjadając ich miąższ, czym psują humor grzybiarzom, którzy przez nie mają mniej okazów w koszyku. Bardzo poszukiwane borowiki szlachetne były w tym roku mocno zaczerwione. Jesienne grzybobrania powinny być lepsze, już teraz w lesie widzę więcej zdrowych grzybów.

Leśnik przewiduje jednak, że porządne grzybobrania jeszcze przed nami. – W lasach jest bardzo mokro, to najbardziej mokry rok bodajże od dekady. Jeśli zrobi się trochę cieplej, to grzybnia dostanie impuls i sypnie grzybami – mówi. Nie miałby nic przeciwko takiemu sezonowi jak sprzed kilku lat, kiedy w świętokrzyskich lasach był prawdziwy wysp. – Widzieliśmy samochody z rejestracjami z całej Polski. I choć w lesie było pełno grzybiarzy, nikt nie wychodził z pustymi rękami. Niektórym opłacało się nawet wziąć wolne w pracy na zbieranie grzybów, bo dniówka po oddaniu zbiorów do skupu opiewała nawet na 1,5 tys. zł – wspomina Paweł Kosin.

JAK NIE PRZEGAPIĆ WYSYPU?

Marek Snowarski, synoptyk grzybowy, mykolog i autor atlasów grzybów, entuzjastom grzybobrań daje sporą dawkę nadziei. Jak pisze w prognozie z 1 września, opublikowanej w serwisie grzyby.pl, w niektórych regionach już zaczął się jesienny wysyp.

„W kolejnych dwóch tygodniach synoptycy pogodowi wróżą suchą i dość ciepłą pogodę. Tam, gdzie przez ostatnie dwa–trzy tygodnie zdrowo popadało, szkody to nie uczyni, a wręcz przeciwnie. Sytuacja w większej części kraju jest dość podobna do ubiegłorocznej. Z tym że lepsza. Wysyp późnoletnio-parajesienny zaczyna się tydzień wcześniej. Być może wróży to w tym roku bardzo długi sezon, z podobnym jak w roku ubiegłym drugim, jesiennym szczytem w końcu października?" – zastanawia się i zachęca do śledzenia doniesień grzybiarzy i zamieszczanych na grzyby.pl map występowania grzybów, by nie przegapić wysypu w najbliższej okolicy. „Nie ma nic lepszego do marynowania niż chrupkie, bardzo młode podgrzybki brunatne" – twierdzi synoptyk grzybowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

Ominąć Lema

Piotr Gociek

Szukamy kluczy do połamanej rzeczywistości XXI w. Stanisław Lem już pół wieku temu naszykował nam ich cały pęk. Trzeba z nich tylko skorzystać

Teoretycznie – same powody do radości. Oficjalny Rok Lema. Setna rocznica urodzin, okrągły jubileusz, nawet parlament przyklepał. Dziesiątki, jeśli nie setki imprez okolicznościowych: nie tylko w bibliotekach i domach kultury. Specjalne numery czasopism. Wznowienia książek, w tym niektóre zachwycające – zadajcie sobie nieco trudu, by znaleźć limitowaną edycję „Bajek robotów" z ilustracjami Przemka Dębowskiego.

A ja wciąż myślę, że korona, nawet najbardziej zasłużona, ciąży, a patyna przygniata. Ugina się więc nieszczęsny jubilat w roku swego stulecia, a 15 lat po śmierci. Trwa parada atrakcji ku czci. Ale czy zbliża nas to do tego, co po Lemie pozostało? Nie sądzę.

Lem, jeden z najbardziej znanych na świecie polskich pisarzy, w Polsce lekceważony był przez dekady aż nadto, co bolało go okrutnie. Ci, którzy teoretycznie mieli wszelkie instrumenty, by potraktować go poważnie, zbywali pisarza etykietką jakiegoś tam wariata od science fiction. A science fiction to, wiadomo, panie, zielone ludziki, UFO, meteoryt tunguski i może jeszcze parapsychologia – nie wymyślam, jeno streszczam, jak podchodzono przez większość życia Lema, szczególnie w Polsce, szczególnie wśród humanistów, zwłaszcza wśród humanistów, którzy teoretycznie powinni znać się i na wielkiej literaturze, i na filozofii, i teorii literatury. Mimo to wyparli Lema ze zbiorowej świadomości, choć w każdej z wymienionych dziedzin ich przerastał. A może właśnie dlatego? Kochała go za to inteligencja techniczna, czytali z wypiekami na twarzy studenci, inżynierowie, astronauci, profesorowie od Moskwy do Cape Canaveral. Kochali czytelnicy.

Dziś wciąż jest czytany, choć nie tak szeroko jak dawniej. Odnoszę smutne wrażenie że najpilniej przez tych, którzy się na nim wychowali, a nie przez nowe pokolenia. Jego twórczość bywa badana i analizowana – polecam choćby imponującą pracę Wojciecha Michery „Piękna jako bestia" (autor machnął kilkusetstronicowy esej o opowiadaniu „Maska"). Albo „Między zwierzęciem a maszyną", w której Paweł Majewski mierzy się z tak trudnymi dziełami Lema jak „Dialogi" i „Summa technologiae". Życiorys z wielkim opóźnieniem zostaje prześwietlony, do czego przyłożyła się niezwykle Agnieszka Gajewska pracą „Zagłada

eprasa.pl 45e9aec525

i gwiazdy" o dzieciństwie, doświadczeniach okupacyjnych, Holokauście i żydowskim pochodzeniu Lema.

A jednak wciąż jestem przekonany, że próbujemy łyżeczką wyczerpać morze, co więcej, że nawet do machania ową łyżeczką nie ma zbyt wielu chętnych. Co nam zostanie po Lemie? Takie pytanie spróbowałem sobie zadać, zasiadając do pisania tekstu na jego jubileusz. I szybko spostrzegłem, że zostało źle sformułowane. Powinno brzmieć: Cośmy u Lema przegapili? A odpowiedź brzmi: Niemal wszystko. Bo o ile światowa zgoda panuje co do tego, że „Solaris" to dzieło wybitne, a „Dzienniki gwiazdowe" cieszą się w pewnych międzynarodowych kręgach sławą dzieła kultowego, mimo że przez kilka dekad mieliśmy „Bajki robotów" na liście lektur szkolnych, to większość kluczowych dla rozumienia spuścizny Lema kwestii zostaje pomijana.

Choćby wspomniana „Summa technologiae" – dzieło bezprecedensowe w dziejach polskiej nauki i literatury, w której Lem z beztroską laika i samouka rzucił się, by przygwoździć najważniejszy problem XX stulecia – i następnych. Fakt, że rozwój nauki stał się w dziejach naszego gatunku zjawiskiem tak znaczącym, że nieodwracalnie wpłynie na etykę oraz moralność i że trzeba się z tym zmierzyć. „Śledztwo", w którym Lem patrzy w puste niebo bez Boga, zastępując go ślepą ręką przypadku – kolejne kluczowe doświadczenie rozdartego nazizmem, marksizmem, postmodernizmem stulecia.

„Fiasko" – jego ostatnia powieść, która będąc opowieścią o niemożności kontaktu z obcą cywilizacją, tak naprawdę stanowi wezwanie do stawienia czoła na serio możliwości, w której we Wszechświecie jesteśmy samotni (tego samego dotyczyła głośna powieść „Głos pana"). Zrobił niedawno o tym film James Gray („Ad Astra"), film całkiem udany, ale przy Lemie brzmiący jak gaworzenie niemowlaka.

„Maska" – opowiadanie piękne i okrutne, o narodzinach sztucznej świadomości i jej cierpieniu. Czyż od paru dekad nie jest to jeden z najważniejszych tematów zarówno dla nauki, jak i popkultury?

Czytam w rozmaitych szkicach biograficznych o omijaniu przez Lema kwestii politycznych. Widzę, samemu wracając zwłaszcza do jego felietonów pisanych po 1989 r., że rozumienie polityki było u niego na poziomie powierzchownej lektury nagłówków w „Gazecie Wyborczej". A przecież kiedy wczytamy się w „Cyberiadę" i „Dzienniki gwiazdowe", widzimy wszystkie te pyszne polityczne alegorie o mechanizmach władzy, kłopotach z obalaniem tyranów, o dławiących skutkach kłamstwa jako metodzie kontroli społecznej. „Powrót z gwiazd" to wielkie oskarżenie tych, którym marzy się inżynieria społeczna, świat, z którego wyeliminowano agresję, staje się koszmarem, zbetryzowana ludzkość to ludzkość wykastrowana. Ludzkość zadziwiająco podobna do współczesnej, marnującej energię i uwagę na płoche rozrywki, a odwracającej się od wielkich wyzwań i teraźniejszości, i przyszłości.

Dlaczego Lem jest czczony, czytany, lecz tak rzadko analizowany? Nie ma u niego nic o walce klas, o gender czy o feminizmie

Na jednym z festiwali literackich – nie pamiętam już, czy był to konwent fantastyki, czy jakaś inna okazja – zadano przed laty publicznie pytanie: Jaką książkę Stanisława Lema uważają panowie za najlepszą? Indagowani odparli niemal chórem: „Kongres futurologiczny", a była to gromada zacna, składająca się z wybitnych pisarzy, tłumaczy, redaktorów. Gdy opowiadam tę anegdotę, często spotykam się ze zdziwieniem: Ale jak to? No bo przecież to nowela brawurowa, ale taka jakby trochę mniej poważna od „ważnego Lema". Wczytajcie się w „Kongres" (omińcie kontrowersyjną ekranizację), a zobaczycie prawdziwe oblicze XXI w. – kolejne warstwy iluzji i manipulacji służące trzymaniu obywateli w stanie potulności i szczęśliwości, choć rzeczywistość skrzeczy (a nawet wyje).

Do lżejszych narracyjnie i skrzących się humorem utworów Lema wracam szczególnie często, bo po latach widzę w nich inną wielką przegapioną wartość. Jeśli przyjmiemy, że dla kultury XX stulecia kluczowe było, obok zmagań z totalitaryzmami, doświadczenie absurdu (wynikające zresztą w dużym stopniu z krwawej jatki dwóch wojen i bezmiaru okrucieństw brunatnych i czerwonych), to powinniśmy ustawiać Stanisława Lema i jego mizantropiczne opowiastki w jednym rzędzie z Beckettem, Ionesco, Hellerem, Vonnegutem.

Zdawać by się mogło, że współczesnym nic już nie będzie przeszkadzało w dostrzeganiu tych wszystkich spraw, o których napomknąłem. Wszak szukamy pilnie kluczy do połamanej rzeczywistości XXI stulecia, tymczasem Lem już pół wieku temu naszykował nam tych kluczy cały pęk. Wcale nie dlatego, że był wybitnym futurologiem – on sam zawodowe przewidywanie przyszłości wyśmiewał – ale dlatego, że był bacznym obserwatorem ludzkiej natury poddanej presji nowoczesności zmienianej przez naukę. Był wybitnym trendologiem, na długo zanim jeszcze James Harkin rozsławił to sformułowanie swą książką o ideach, które mają kształtować przyszłość.

Dlaczego więc Lem jest czczony, czytany, lecz tak rzadko analizowany? Jego dzieła kiedyś nie interesowały marksistów z Uniwersytetu Warszawskiego, dziś omijają je współcześni marksiści, którzy zdominowali uniwersytety świata. Nie ma u Lema nic o walce klas (pomijając socrealistyczne koszmarki z początków twórczości), nie ma nic o gender, o feminizmie, można byłoby ewentualnie napisać gniewny esej o tym, że unikając kreowania postaci kobiecych, Lem przekreśla swój dorobek jako biały seksista. Gdyby betryzacja z „Powrotu z gwiazd" albo etykosfera z „Wizji lokalnej" stały się możliwe, to zamiast zmagać się z tym wyzwaniem, współczesne elity świata rzuciłyby się przecież, by je wprowadzić. Lem nie jest wcale trudny. Trzeba tylko chcieć go czytać.

Nawet fani fantastyki zdradzili Lema. Choć przecież to oni przez dekady pilnowali jego ołtarzyka. Nie napisano w Polsce od czasu „Fantastyki i futurologii" lepszej książki o kulturze popularnej i literaturze gatunków. I bardziej złośliwej analizy science fiction. Patrząc jednak na to, co stoi w księgarniach na półkach z fantastyką, odkryjemy, że dzisiejszy przeciętny pożeracz tego typu prozy pielęgnuje swój gust w idealnej kontrze do tego, czego od fantastów wymagał Lem. Owszem, stawiał im poprzeczkę bardzo wysoko, piętnował głupotę, łatwiznę i tani bajer. Ale czyż od siebie wymagał mniej?

Wygląda na to, że będziemy mieli co robić z Lemem przez kolejne sto lat. Z Lemem i podług Lema.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

TVP VOD

Los człowieczy

★★★★★☆

REŻ. KELLY REICHARDT
„PIERWSZA KROWA” („FIRST COW”)
USA 2020

wyst. John Magaro, Orion Lee

Samotna jest człowiecza wędrówka – by to zrozumieć, nie trzeba do tego leśnych pustkowi Oregonu. Warto jednak wybrać się w tę wyprawę z amerykańską reżyser Kelly Reichardt, która zabiera nas w trzecią dekadę XIX stulecia, by przyjrzeć się doli i niedoli dwóch outsiderów. Cookie to spokojny kucharz, który wędruje wraz z traperami o niedźwiedzich manierach, bo marzy o zarobku na pograniczu. Lu to przybysz z Chin, uciekający przed bandą rosyjskich myśliwych. Wyświadczone sobie nawzajem przysługi – najprostsze i najważniejsze: strawa, napitek, schronienie – staną się okazją do zadzierzgnięcia przyjaźni. Razem raźniej, zwłaszcza w ponurej faktorii zagubionej pośród puszczy, rządzonej przez groteskowego, lecz groźnego naczelnika.

To za sprawą tego właśnie osobnika przybył na pustkowie przybysz niezwykły: pierwsza krowa w całym Oregonie. Naczelnik życzy sobie mleka do herbaty, więc krowę sprowadził, ku zdumieniu jednych i zazdrości drugich. Cookie i Lu należą do tych drugich. Szybko wpadają na pomysł, jak sprytnie oszwabić właściciela cennej krowy z tego, czego i tak nie używa. I jak wykorzystać zdobycz z pomocą własnych talentów; jak zacząć zbierać pieniądze na lepszą przyszłość. Aby zbudować ją „na własnych warunkach” – marzy Lu. Bo gdy tylko odłożą odpowiednio wiele, będą mogli założyć własny biznes; może piekarnię, może hotel. Gdzieś z dala od dziczy, najlepiej w San Francisco.

„Pierwsza krowa” to kino minimalistyczne, bressonowskie, choć uwagi amerykańskich krytyków wskazujące na podobieństwo z „Na los szczęścia, Baltazarze” mam za chybione. Niemal bez muzyki, w niemodnym formacie 4:3, skupione na aktorach, którzy wszyscy grają perfekcyjnie, bez jednej fałszywej nuty. René Auberjonois (jego ostatnia rola) i Toby Jones na drugim planie, ale przede wszystkim John Magaro i Orion Lee w rolach głównych jako pechowi bohaterowie. Historia nigdy o nich nie wspomni, zostaną tylko szkielety w bezimiennym grobie. Ale czy to znaczy, że ich życie było nieważne? Żyli, tęsknili i cierpieli jako i my. A za broń, prócz własnej inwencji, marzeń i odwagi, mieli to, co wysnute z cytatu z Williama Blake'a, który otwiera film Reichardt: „Ptak – gniazdo, pająk – sieć, człowiek – przyjaźń”. ©℗

NOWE SERIALE: „PAN CORMAN”

tv+

Udręki nauczyciela w średnim wieku: zarabia grosze, mieszka z kumplem, rzuciła go dziewczyna, a każdy dzień przynosi ataki paniki. Corman to nowa wersja neurotycznego typa z komedii Woody'ego Allena, który „nie chciałby należeć do klubu, który zgodziłby się go przyjąć na członka”. W roli głównej Joseph Gordon-Levitt, który wymyślił, napisał i wyreżyserował ten nierówny serial. Są tu sceny znakomite, doceniam też aktorską robotę Gordona-Levitta. Cierpienia pana Cormana przejmowałyby nas mocniej, gdyby trochę bardziej dało się go lubić. ©℗

Piotr Gociek

- ***twórca: Joseph Gordon-Levitt „Pan Corman”, USA 2021, Apple TV+***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***„9/11: Inside the President's War Room”*** *(11.09)* tv+
- *reż. Azra Deniz Okyay* ***„Duchy” („Hayaletler”),*** *Turcja 2020* CINEMAX
- *sezon 5* ***„Dom z papieru” („La casa de papel”),*** *Hiszpania 2021*

eprasa.pl 45e9aec525

Jatka w bibliotece

KINO

O tym, że dziewczynom do twarzy jest z pistoletem tudzież z innymi narzędziami mordu, wiadomo od zawsze. Bojowe pozy, które przybierały na plakatach i fotosach, miały się jednak nijak do treści filmów. Strzelanie pozostawało domeną ekranowych partnerów, dopiero pod koniec XX stulecia panie zaczęły zasilać szeregi kuloodpornych zabójców do wynajęcia. „Nikita", „Kill Bill", „Atomic Blonde" – biegłość bohaterek w sztuce eksterminacji wzrastała z filmu na film. Scenarzyści też nabrali śmiałości, pokonując kolejne granice wstydu i zdrowego rozsądku. Czekaliśmy długo, lecz wreszcie zaoferowano nam skończony produkt. Panie i panowie, oto Sam: maszyna do zabijania o wyglądzie kobiety. Już nie w komiksowym anturażu, ale w konwencji śmiertelnie (trudno o bardziej adekwatny przymiotnik) serio. Wiem, że miało być inaczej. Papushado zapatrzył się na „Johna Wicka", jednak trudno uprawiać pastisz, mając żenujące poczucie humoru. Jeden celny dowcip o klasyce literatury to zdecydowanie za mało. Co gorsza, motywy masakry okazują się ściśle ideologiczne. Tyrada o grzechach patriarchatu, których i tysiąc lat feministycznej dyktatury nie odkupi, pozbawia złudzeń. Dominy ze snów masochistów ustąpiły miejsca mizoandrystkom, obnoszącym się ze swą nienawiścią do mężczyzn. Ciekawe, czy lud to kupi. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. NAVOT PAPUSHADO
„ZABÓJCZY KOKTAJL" („GUNPOWDER MILKSHAKE")
USA/NIEMCY/FRANCJA 2021

wyst. Karen Gillan, Lena Headey, Michelle Yeoh

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W NIEWOLI HISTORII

arte

★★★☆☆☆

REŻ. CHIARA AVESANI
„RZYM. PIĘKNO I DEKADENCJA" („ROMA: È FINITA DE GRANDE BELEZZA?")
WŁOCHY/FRANCJA/NIEMCY 2021

Za imperialne ambicje wcześniej czy później trzeba zapłacić. Cesarsko-papieskie dziedzictwo ciąży rzymianom, bo źle się mieszka w mieście muzeum, które próbuje być też nowoczesną metropolią. Dla filmowców owa dychotomia była źródłem natchnienia. Konserwatorzy zabytków i studenci archeologii czują się nad Tybrem jak w raju. Młoda pani burmistrz waży słowa. Zwykli Włosi są wściekli, że turystyczna hydra pożera kolejne place i ulice, znikają piekarnie i warsztaty rzemieślników, mnożą się sklepy z pamiątkami i hotele, a wykopaliska blokują rozbudowę metra. Diagnoza jest oczywista, ale recepty na wyleczenie pacjenta nikt nie ma. Łatwiej chłostać Mussoliniego, który zrywając z tradycją miasta palimpsestu, wyburzał całe kwartały powojennych deweloperów. Wieczny Rzym wszystko przetrzyma?

IRAŃSKA ŚCIEMA

★★★★☆☆

REŻ. BEN AFFLECK
„OPERACJA ARGO" („ARGO")
USA 2012
wyst. Ben Affleck, Alan Arkin, John Goodman

„Operacja Argo" dostałaby dzisiaj dwa razy więcej Oscarów niż w 2013 r., bo po afgańskim blamażu jankesi pożądają sukcesu na Środkowym Wschodzie. Choćby filmowego. Sama historia jest prawdziwa, lecz podkoloryzowana i zadziwiająco nonszalancka w opisie rzeczywistości A.D. 1979. Hollywoodzcy weterani pomagają agentowi CIA w ewakuacji grupy rodaków, ukrywających się w owładniętym islamskim szałem Teheranie. Kariera starszego z braci Afflecków przypomina sinusoidę. Tym razem Ben odbił się od dna jako reżyser, bo fachowca-introwertyka, który za kołnierz nie wylewa, lepiej zagrałby Robert Więckiewicz. Gwiaździsty sztandar, na początku płonący, w ostatniej scenie dumnie powiewa. Krytykom, mającym alergię na amerykański patriotyzm, było to nie w smak. Tymczasem rzecz jest zgrabna, wcale nie tak jednoznaczna oraz przepełniona wiarą w magię kina, której ulegają nawet fanatyczni strażnicy rewolucji. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „12 MINUTES"

Ten wieczór po ciężkim dniu w pracy zapowiadał się miło. W domu wita nas żona, podaje deser i informuje, że rodzina się powiększy. Sielankę przerywa pukanie do drzwi, za którymi stoi policjant oskarżający naszą ukochaną o zabójstwo i w brutalny sposób obchodzi się z małżeństwem. Scena ta powtarza się w grze, bo po przekroczeniu drzwi mieszkania nasz bohater wpada w pętlę czasową i jedyną szansą na wydostanie się z niej jest rozwiązanie zagadkowych oskarżeń. Główne założenie, czyli próbowanie nowych rozwiązań w powtarzającej się w kółko scenie, może irytować.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Zakończenie jest, ale nie każdemu starczy cierpliwości, by do niego dobrnąć. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PC*
- ***Wydawca:*** *Luis Antonio, Annapurna Interactive*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16*

eprasa.pl 45e9aec525

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pisarska pamięć

Najprawdopodobniej jest to zwieńczenie autobiograficznej prozy Jarosława Abramowa-Newerlego w jednej osobie dramaturga, powieściopisarza, autora słuchowisk i tekstów piosenek, scenarzysty, a i jeszcze kompozytora. Od 1985 r. żyjącego w rozkroku między Warszawą i Toronto. W najnowszej książce nie ogranicza się do wybranego fragmentu biografii – jak w jego „lwim" cyklu („Lwy mojego podwórka", „Lwy wyzwolone", „Lwy STS-u") – lecz z rozmachem opisuje zdarzenia, których był świadkiem, a nierzadko bohaterem, a które miały miejsce od początku lat 60. zeszłego wieku do dziś.

Przewijają się przez te wspomnienia osoby z pierwszych stron gazet, znakomitości polskiej literatury i sceny, koledzy i przyjaciele Pana Jarka. Pisze o nich z charakterystyczną dla siebie życzliwością, pogodą i humorem. Jak np. o stosunkach w Polskim Radiu, gdzie pracował etatowo między 1960 a 1966 r., gdy jako wzięty już dramaturg porzucił ten redakcyjny kierat, nie tak zresztą straszny, jak mogłoby się wydawać. Oddajmy głos pisarzowi.

„Otóż w ówczesnym Polskim Radiu przed nagraniem piosenki zatwierdzić ją musiała komisja powołana przez rządzącego niepodzielnie – aż do czasów bigbitowców, którzy zrewolucjonizowali stosunki na Myśliwieckiej – Władysława Szpilmana. Sławny kompozytor miał zwyczaj osobiście przy pianinie przegrywać muzykę. „Po fortepianówce – wspomina Abramow – zwykł mówić: – Profesjonalnie napisane. Nie mam zastrzeżeń – i oddawał nam głos albo oświadczał: – To jest kompozytor gwizdany. On powinien się jeszcze długo uczyć! – i odrzucał muzykę. Ponieważ z archiwalnymi nagraniami piosenki wiązały się tantiemy w ZAiKS-ie, każdy młody kompozytor chciał zaistnieć na antenie. Niestety, często robił błędy w zapisie fortepianowym, czego surowy Szpilman nie tolerował.

Z racji naszej znajomości zaprosiłem Szpilmana do STS-u na „Oskarżonych". Po przedstawieniu szczerze uścisnął mi dłoń i powiedział:

– Gratuluję muzyki, panie Jarku. Pierwszorzędna!

Ucieszyłem się z tej opinii i odpowiedziałem:

– Ale ja jestem kompozytorem gwizdanym, panie Władysławie.

– Czasem zdarzają się wyjątki…".

Opowiada Abramow historie nieznane, znane, choć niekoniecznie dokładnie, a także niesłusznie zapominane, jak tę z jednego z zebrań PEN Clubu, na które „zaproszony został słynny pisarz francuski Romain Gary z żoną, znaną hollywoodzką aktorką pochodzenia szwedzkiego, Jean Seberg. Jan Parandowski powitał go, mówiąc cicho po francusku. Wtedy Romain Gary wstał i powiedział czystą polszczyzną: – Proszę do mnie nie mówić po francusku. Ja wszystko rozumiem. Jak przed wojną chodziłem do gimnazjum imienia Kreczmara w Warszawie, to pod ławką czytałem z zapałem książkę Pana Prezesa, „Niebo w płomieniach". Dostał za to duże brawa. Przed wojną Romain Gary nazywał się Roman Kacew i plotka głosiła, że był nieślubnym synem sławnego rosyjskiego aktora kina niemego, Iwana Mozżuchina. Swą młodość i niezwykle przedsiębiorczą matkę Gary opisał w książce „Uśmiech poranka". Przypomnę, że Romain Gary jako Emile Ajar popełnił jedną z najgłośniejszych europejskich powieści lat 70. „Życie przed sobą", którą w Warszawie w 1978 r. kupowało się spod lady. A dwa lata później ten urodzony chyba w Wilnie, acz niektórzy podają, że w Moskwie, francuski prozaik, gaullistowski dyplomata strzelił sobie w usta.

W indeksie „Piórem i pazurem" znajdziemy 1,4 tys. (!) nazwisk. Niektóre pojawiają się raz, inne pamięć pisarza wywołuje niemal nieustannie. Wśród nich dominuje nazwisko jego wieloletniego przyjaciela, świetnego prozaika Włodzimierza Odojewskiego. Można odnieść wrażenie, że nie byłoby tej książki, gdyby nie chęć osobistego opowiedzenia o zmarłym pięć lat temu autorze „Zasypie wszystko, zawieje". I oddania mu sprawiedliwości. Niepodobna jednak przejść do porządku dziennego nad stwierdzeniem Abramowa-Newerlego, jakoby Joanna Siedlecka ujawnieniem faktu współpracy Odojewskiego z SB w latach 60. „złamała życie prawemu człowiekowi o pięknym życiorysie" i że „ma na swoim sumieniu jego śmierć".

Włodzimierz Odojewski mógł ten obciążający go fakt ujawnić w porę, a miał po temu okazję. Nie zrobił tego. Kiedy ukazała się książka Siedleckiej, ustosunkował się do niej w obszernym, autoryzowanym wywiadzie, który przeprowadziłem z nim dla „Rzeczpospolitej". Efekt był taki, że i mnie zaliczył do grona swych przeciwników. Trudno, pozostała mi pamięć o na pewno znakomitym pisarzu, prawym człowieku, z życiorysem jednak nie ze wszystkim pięknym. A w końcu Jarosław Abramow-Newerly też pisze w ciepłych słowach o jednym ze swoich przełożonych i kolegów radiowych Stanisławie Stampflu, który jednak doniósł na niego i na Odojewskiego właśnie na milicję, że czytają zakazaną literaturę. Po latach Odojewski opowiedział to w innym wywiadzie, który z nim zrobiłem, a wtedy wdowa po Stampflu – jak pisze Pan Jarosław – słała do niego błagalne listy, by „bronił dobrego imienia Staszka". „Ale ja nie czułem się na siłach – powiada – i nic nie zrobiłem w tej sprawie…". Cóż dodać do tych słów. Postawię kropkę. ©℗

★★★★★

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY „PIÓREM I PAZUREM" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 45e9aec525

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Życie wśród duchów

Kiedy dorastałem, moje życie upływało w rytmie nieustannych pogrzebów – wyznaje w jednym z anglojęzycznych wywiadów Yang Fumin, wielce utalentowany pisarz z Tajwanu. Pochodzi z bardzo licznej rodziny, której kolejne pokolenia nie były przetrzebione (jak w komunistycznych Chinach) przez politykę jednego dziecka. Kolejne ceremonie pożegnalne wielce go fascynowały, zwłaszcza że były to uroczystości bardzo rozbudowane – szczegóły znajdziecie w książce „Zaśpiewam ci piosenkę".

Reklamowana jako „opowieści z południa Tajwanu" oferuje jednak czytelnikowi dużo, dużo więcej niż tylko wgląd w tradycję wyspy stanowiącej ostatni skrawek wolnych Chin. To prawda, ładunek wiedzy jest olbrzymi, a obyczaje – religijne, świeckie, rodzinne – są fascynujące. Ale przede wszystkim książka Yanga Fumina przesiąknięta jest wielką empatią, miłością i nostalgią. A on sam okazuje się pisarzem wyczulonym nawet nie tyle na ludzkie dramaty, ile po prostu doskonale obserwującym wszystkie barwy ludzkiej egzystencji.

Pisał te historie na studiach, trochę jako prywatne zapiski (choć nie są to po prostu memuary), potem patrzył na nie jak na minieseje o historii i obyczaju mijających pokoleń. Okazało się, że wychodzi z tego znakomita literatura; po lekturze ledwie dwóch opowiadań byłem zaskoczony, zauroczony i trochę zmartwiony, że pewnie po paru dobrych kawałkach czekają mnie tylko rozczarowania, bo kolejne muszą być słabsze. A potem zachwyt, bo następne opowieści były równie dobre.

Nie ma w nich niczego na siłę efektownego, to proste dramaty opowiedziane w niezmiernie oryginalny sposób. Pożegnania, pojednania, wspomnienia. Stojąca nad grobem para małżeńska o półwiecznym stażu mierzy się z latami niewierności schorowanego męża. Dziewczyna na jednym z pogrzebów widzi ducha zmarłej wcześniej krewnej; duch staje się jej przewodnikiem po rodzinnej przeszłości. Kierowca autobusu próbuje pogodzić się z przedwczesną śmiercią syna. Umierający dziadek raczy cały świat opowieściami o swojej rodzinie, w których nie ma krzty prawdy, krewni słuchają tych historii z zażenowaniem, ale i z pewnym podziwem. Rodzina i tradycja – nie ma niczego ważniejszego w tych opowieściach; żadne duchy i tragedie nie przerażają narratora tak bardzo jak widok starych ludzi w domu opieki, pozbawionych rodziny. Wzruszające to wszystko, piękne i mądre. I świetnie napisane. ©℗

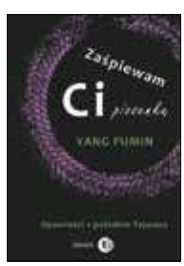

★★★★★☆
YANG FUMIN „ZAŚPIEWAM CI PIOSENKĘ" WYDAWNICTWO AKADEMICKIE DIALOG 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa książka autora świetnej popularnonaukowej pozycji „Mózg. Opowieść o nas" (pol. wyd. 2018 r.). Tym razem znany neurobiolog przygląda się temu, jak działa nasza podświadomość – czy Freud miał rację i co z tego wynika.

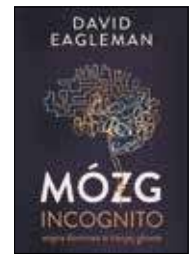

DAVID EAGLEMAN „MÓZG INCOGNITO" ZYSK I S-KA

Marksizm, freudyzm, nazizm – jak przeciw kolejnym rewolucjom niszczącym tradycyjne wartości występował w swoim nauczaniu kard. Stefan Wyszyński? O tym opowiada książka publicysty oraz historyka znanego z „Do Rzeczy".

GRZEGORZ KUCHARCZYK „ODSIECZ Z NIEBA" BIAŁY KRUK

Jedna z najlepszych powieści mistrza kryminału, znanego z „Ucieczki gangstera" czy „Naciągaczy". Opowieść o szeryfie Coreyu mogliby napisać bracia Coen: zgryźliwa groteska o tym, co dzieje się po obu stronach prawa.

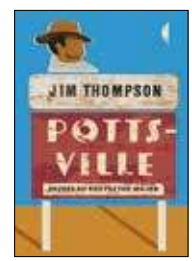

JIM THOMPSON „POTTSVILLE" WYDAWNICTWO CZARNE

Tytułowa rewolta to bunt przeciw globalizacji, bunt o wielu twarzach. Tam, gdzie izraelski dziennikarz opisuje ją w reportażach, książka jest ciekawa, a czasem wstrząsająca. Tam, gdzie próbuje stawiać diagnozy – wpada w banał. ©℗ ***Piotr Gociek***

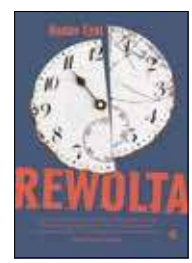

NADAV EYAL „REWOLTA" W.A.B.

KOMIKS TYGODNIA: „PODRÓŻ SIÓDMA"

W najbliższą niedzielę 100. rocznica urodzin Stanisława Lema; zwróćmy uwagę na komiksową adaptację jednego z jego opowiadań. Jon J. Muth przełożył na język opowieści graficznej „Podróż siódmą" Ijona Tichego (to ta, w której bohater wpada w paradoks czasowy, multiplikując samego siebie). Przedsięwzięcie otrzymało błogosławieństwo Lema (rzadkość!) i imponuje zarówno wiernością prozie polskiego pisarza, jak i artystyczną oryginalnością. Dlaczego akurat Lem? Muth odpowiada: „Kochałem fantastykę od dziecka, ale to »Solaris« odmieniła moje postrzeganie tej literatury". ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

STANISŁAW LEM, JON J. MUTH „PODRÓŻ SIÓDMA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2021

eprasa.pl 45e9aec525

Pieśni współczesne

FOT. FANDANGO RECORDS/MIUOSH.COM

Z jednej strony jeden z najstarszych i najbardziej cenionych zespołów folklorystycznych w Polsce i Europie, z drugiej – muzyka miejska. Owocem kooperacji Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" oraz rapera Miuosha będzie płyta „Pieśni współczesne". Na której, oprócz wspomnianych wykonawców, pojawią się liczni goście, m.in. Błażej Król, Bela Komoszyńska, Ralph Kaminski, Igor Herbut, Natalia Grosiak, Julia Pietrucha, Tomasz Organek, Jakub Józef Orliński, Andrzej Smolik, Marcin Wyrostek. Łącznie z chórem i orkiestrą Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" w projekt angażuje łącznie ponad 140 muzyków i wykonawców.

Autorem słów i kompozycji do wszystkich utworów jest Miuosh, ale – co podkreślają twórcy – zarówno teksty, jak i muzyka „śmiało sięgają do tradycji ludowych tożsamych »Śląskowi«, a podsycone lokalną mitologią i świeżym spojrzeniem na sprawy ludzkie, tworzą opowieść o ludziach ziemi zmagającej się z teraźniejszymi problemami, jednocześnie niezapominającymi o szacunku dla tradycji".

W najnowszym przedpremierowym, opublikowanym niedawno singlu, „te ludzkie sprawy" i „teraźniejsze problemy" to sprawy i problemy żon himalaistów. Utwór „Celina" to opowieść o przełamywaniu granic z perspektywy żon pozostających w domach, o ich strachu i samotności. I hołd dla Celiny Kukuczki, wdowy po jednym z najwybitniejszych himalaistów, który ze swej ostatniej wyprawy nigdy nie powrócił.

Do współpracy przy „Celinie" Miuosh zaprosił Julię Pietruchę. – Taki album nie mógłby powstać bez Julii. Jej muzyka i jakość zawsze mnie powalały i inspirowały. Kiedy wpadłem na pomysł, żeby napisać utwór, który w tak nietypowy sposób opisuje poświęcenie i oddanie, od razu do niej zadzwoniłem. Dopóki nie powiedziała mi, że w to wchodzi, dopóty nie ruszyłem ani z tekstem, ani z muzyką. Musiałem mieć pewność, że „Celina" będzie historią opowiedzianą przez Julię. Inaczej to nie miałoby szans się udać – mówi Miuosh.

Posłuchać można już trzech singli z „Pieśni współczesnych". Premiera płyty za kilka tygodni. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Polish Jazz

Debiutowali na wielkiej scenie jako muzycy kwartetu Tomasza Stańki. W 2001 r. nagrali z trębaczem album dla legendarnej wytwórni ECM. Teraz pianista Marcin Wasilewski promuje 10. krążek z jego nazwiskiem zarejestrowany dla niemieckiego wydawcy.

„En attendant" jest natomiast siódmym albumem tria, którego skład, oprócz lidera, współtworzą kontrabasista Sławomir Kurkiewicz oraz perkusista Michał Miśkiewicz. Płyta została nagrana dwa lata temu we Francji i zawiera zróżnicowany pod względem kompozytorskim materiał. Znalazły się na niej rozbita na trzy części, improwizowana kompozycja tria „In Motion", utwór lidera „Glimmer of Hope", klasyk Carli Bley „Vashkar", „Riders on the Storm" The Doors, a nawet „Wariacja Goldbergowska nr 25" J.S. Bacha. Wszystkie nagrania oddają charakterystyczne brzmienie tria i są zagrane w niepodrabialnym stylu.

Utwór zespołu Jima Morrisona nie jest szczególnym ewenementem, gdyż panowie już wcześniej zarejestrowali własne wersje piosenek: Björk, Prince'a czy The Police. W „Riders on the Storm" główna rola przypada Kurkiewiczowi, który przepięknie improwizuje na tle harmonii granych przez Wasilewskiego. Jak zwykle na płytach tria najbardziej ujmuje atmosfera nagrań, która roztacza się od słowiańskiej liryki do skandynawskiego chłodu. ©℗

★★★★★☆

MARCIN WASILEWSKI TRIO
„EN ATTENDANT"
ECM

★★★★☆☆

FRANCISZEK POSPIESZALSKI SEXTET
„SECOND STEP"
STOART

Sekstet tworzą muzycy, którzy wyjechali na studia do Kopenhagi. Zespół kontrabasisty na drugim albumie kontynuuje poszukiwania, które rozciągają się od funku i jazzu do współczesnej klasyki. Całość zagrana jest z uśmiechem, a zarazem z poszanowaniem dla tradycji.

★★★★★☆

KENNY GARRETT
„SOUNDS FROM THE ANCESTORS"
MAC AVENUE

Na 20. albumie saksofonista eksploruje korzenie jazzu w kubańskich rytmach, soul spod znaku Motown, muzyce gospel i afrykańskich pulsacjach. Wspaniała, przepełniona medytacją podróż muzyczna po Afryce Zachodniej, Nigerii, Kubie, Gwadelupie, a nawet Francji. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea

PGNiG

eprasa.pl 45e9aec525

Gwoździem wakacyjnego programu TVP Kultura była seria niemieckich filmów o Winnetou FOT. TVP KULTURA

Żegnaj lato na rok

Krzysztof Masłoń

Lato się skończyło. Nowe ramówki prezentują nam to, co podobno lubimy najbardziej – stare, ograne seriale

Kończy się lato, a wraz z nim emisja – będących gwoździem wakacyjnego programu telewizji Kultura – niemieckich filmów o Winnetou. Kręcono je w latach 60. zeszłego stulecia w jugosławiańskich (było kiedyś takie państwo) plenerach, a tytułową rolę szlachetnego Apacza w tych westernach (?) grał francuski aktor Pierre Brice, wcześniej odtwórca bliskiej polskim sercom postaci Jana Skrzetuskiego (Jana Ketusky'ego) we włoskim potworku „Col ferro e col fuoco", rzekomej ekranizacji „Ogniem i mieczem".

O ile tamtego Sienkiewicza po włosku oglądali nieliczni, o tyle serię obrazów najeżonych takimi przebojami, jak „Winnetou i Old Shatterhand" czy „Winnetou i Apanaczi" – wszyscy, a na pewno wszystkie dzieci, dziś mające grubo ponad 60 lat.

Teraz, dzięki nieocenionemu kanałowi TVP Kultura, ta niegdysiejsza dziatwa mogła wrócić do pięknych wspomnień, zachwycając się tradycyjnymi indiańskimi okrzykami: „Schnell" i „Raus". Niewątpliwie filmy te cieszyły się latem większą oglądalnością od flagowych współczesnych produkcji naszej wysoce kulturalnej telewizji w rodzaju wciąż tych samych gadających głów w „Trzecim punkcie widzenia".

Z kulturą miały też oczywiste związki produkcje naszych wyjców w Opolu, wciąż nazywane z uporem godnym lepszej sprawy festiwalem. Festiwal ów, niech już będzie, zorganizowany w tym roku po raz 58., potwierdził starą prawdę, że Opole jest lepsze od Sopotu. Tę hucpę bowiem, którą zaprezentował niedawno TVN w sopockiej Operze Leśnej, przebić było niepodobna. A już pomysł, by przypadkowo dobranych wykonawców skłonić do rywalizacji o Bursztynowego Słowika, zasługuje na miano Bezczelności Trzydziestolecia. Niezależnie od oczywistej oczywistości, że prawdziwym i bezkonkurencyjnym Słowikiem telewizji broniącej wolnego słowa jak żadna inna nie tylko w Polsce, lecz także w świecie, pozostaje Monika Olejnik. Nasz Słowiczek.

Wieczory stają się coraz dłuższe, wakacyjna trasa Dwójki szczęśliwie dobiegła końca, pora zatem na nowe (?) ramówki, a w nich coś, co telewidzowie podobno lubią najbardziej, czyli seriale – stare, ograne i obśmiane tysiące razy, ale i nowe, które dopiero obrzydną nam za dni parę, choć niektóre z nich już na starcie wywołują odruchy wymiotne. I tu TVN stara się, jak może, zasładzając rzeczywistość II Rzeczypospolitej w „Recepturze", i to dosłownie, jako że serial dotyka spraw produkujących czekoladę zakładów Wedla (po wojnie 22 Lipca). Ciekawe, że telewizja, która kreuje ludową historię Polski, zgodnie z którą przed wojną było to państwo faszystowskie, prawie tak samo faszystowskie jak dzisiejsze, sięga do międzywojnia bynajmniej nie po to, by pokazywać strajki i walki proletariatu z brutalną policją, ale by stworzyć kolejną imitację Paryża Północy i pozachwycać się Warszawą, jaką była i mogłaby być dalej, gdyby – jak to ujął klasyk Staszczyk – Hitler i Stalin nie zrobili tego, co zrobili.

Telewizja publiczna nie pozostaje, oczywiście, w tyle i zgodnie z tezami znanego utworu poetyckiego „Jak Jacek został strażakiem", wróć: „Jak Wojtek został strażakiem", skierowała do emisji „Remizę". I oto mamy na ekranach dzień w dzień ochotniczą straż pożarną. Spełniły się tym samym najśmielsze sny Waldemara Pawlaka. Przy okazji chciałbym zapytać, kiedy zobaczymy krzepiący serca serial o pogranicznikach pełniących swą trudną służbę na granicy z Białorusią. Nadawana przez HBO „Wataha", choć o tej samej tematyce, nie spełnia warunków politycznych, gdyż przedstawia działania na granicy z Ukrainą, a ta, jak wiadomo, jest granicą pokoju.

Aby być w zgodzie z aktualnie obowiązującą polityczną poprawnością, inna telewizja, a mianowicie Puls 2, wystartowała z serialem „Dzielnica strachu", umiejscowionym w mrocznej, a fikcyjnej miejskiej dzielnicy o nazwie Gorczak. Rzecz dzieje się więc nigdzie, a że w Polsce, wnioskujemy z tego tylko, że na ekranie króluje Lech Dyblik, równie świetny jak w roli Badury w „Kiepskich".

Słowem, coś się skończyło i coś się zaczęło, tylko nie wiem, dlaczego cisną mi się na usta słowa: „Panie Boże, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią"? Przeciwnie, przecież to akurat wiedzą aż za dobrze. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Jesień w Telewizji Republika
REPUBLIKA
włącz
PRAWDĘ
każdego dnia
odkryj na nowo lubiane formaty
sprawdź nowe godziny emisji
oglądaj również na www.tvrepublika.pl
eprasa.pl 45e9aec525

Jan Fiedorczuk

Dawny buntowniczy zapał polityków PiS ustępuje miejsca polityce „ciepłej wody w kranie", a rządzenie państwem zamienia się w administrowanie. Gdzie się podział dawny, nieustępliwy obóz „dobrej zmiany"?

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Co się stało z „dobrą zmianą"?

Idąc do władzy, Jarosław Kaczyński obiecywał patriotyczny przewrót, snując bądź to wizję Budapesztu nad Wisłą, bądź też Polski silnej niczym Turcja. Państwo miało odzyskać suwerenność w wymiarze zewnętrznym (zakończenie uległej polityki względem UE), jak i wewnętrznym (poprzez rozbicie wewnątrzpaństwowych układów). I faktycznie w pierwszych latach swych rządów PiS próbował, z różnym skutkiem, realizować tę strategię, czego najdobitniejszym symbolem stały się batalia z sędziowską korporacją oraz wyrosły na tym tle spór z Brukselą. Kolejne ustępstwa względem Unii Europejskiej, które obserwujemy w ostatnim czasie, każą jednak postawić pytanie o tożsamość rządzącej partii. Czy nadal obserwujemy „dobrą zmianę" czy też jedynie jej cień?

SPÓR Z BRUKSELĄ

W wymiarze retorycznym nie widać szczególnej różnicy między działaniami rządu Mateusza Morawieckiego a jego poprzedniczką – Beatą Szydło. Obecny premier wielokrotnie podkreślał wyższość prawa krajowego nad unijnym oraz zapewniał, że kwestia państwowej suwerenności jest dla niego politycznym aksjomatem. Wszak to właśnie obecny szef rządu nie tak dawno złożył do Trybunału Konstytucyjnego wniosek w sprawie wyższości Konstytucji RP nad prawem unijnym, co – w domyśle – miało rządowi dać „podkładkę" w sporze z Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Problem w tym, że TK taką „podkładkę" faktycznie dał (zresztą ciężko tu mówić o jakichkolwiek politycznych naciskach, innego wyroku po prostu nie można było wydać), a premier zamiast z niej skorzystać, zaczął wówczas mówić o konieczności reformy Izby.

– Ja generalnie stoję na takim stanowisku, że polska konstytucja jest aktem prawa najwyższego. Jednak sytuacja jest zawiła, bo jesteśmy członkiem Unii Europejskiej – mówił Mateusz Morawiecki w rozmowie z telewizją Republika. Zresztą kilka dni później Jarosław Kaczyński już oficjalnie zapowiedział likwidację Izby Dyscyplinarnej „w tej postaci, w jakiej funkcjonuje ona obecnie".

Zarzewiem obecnego kryzysu są rzecz jasna lipcowo-grudniowe negocjacje dotyczące unijnego budżetu i Funduszu Odbudowy oraz tzw. mechanizmu warunkowości („pieniądze za praworządność"). Pod koniec 2020 r. władze Polski i Węgier zrezygnowały z planów zawetowania ustaleń Rady Europejskiej, a sam premier Morawiecki zapewniał, że wynegocjowane warunki wykluczają arbitralność unijnych urzędników.

– Te pieniądze są bezpieczne, bo mechanizm warunkowości został ograniczony bardzo precyzyjnymi kryteriami. Dzisiejsze konkluzje blokują możliwość zmiany tych zasad w przyszłości wbrew Polsce – przekonywał po tym, jak państwa członkowskie osiągnęły kompromis w sprawie Funduszu Odbudowy. Sam mechanizm miał zresztą być odroczony o co najmniej dwa lata, do czasu decyzji TSUE w sprawie zgodności tego mechanizmu z unijnym prawem.

Zaledwie tydzień po grudniowym szczycie – którego ustalenia ówczesny wicepremier Jarosław Gowin raczył określić mianem „wzmocnienia suwerenności Polski" – głos zabrała przewodnicząca KE Ursula von der Leyen, która bezpardonowo stwierdziła, że ustalenia Rady Europejskiej w sprawie praworządności nie mają żadnego znaczenia. – Jest obawa, że stosowanie mechanizmu zostanie opóźnione. Tak się nie stanie. Regulacje zaczną działać 1 stycznia – zapewniła. Kilka miesięcy później Parlament Europejski przyjął rezolucję w sprawie powiązania wypłaty pieniędzy unijnych z praworządnością, a europo-

eprasa.pl 45e9aec525

słowie PiS, którzy jeszcze w grudniu zapewniali o sukcesie polskiej dyplomacji, teraz z oburzeniem głosowali przeciwko pozatraktatowej deklaracji.

Przykładem jest choćby słynący z ostrego języka europoseł Dominik Tarczyński, który to pod koniec zeszłego roku w Polskim Radiu 24 przekonywał, że unijne środki „to nie są pieniądze, za które możemy sprzedać Polskę", podkreślając, że rząd nie wyklucza zawetowania Funduszu Odbudowy. – Jesteśmy tym obozem, który nawiązuje do tradycji patriotycznych, który jest gotowy na poświęcenie i dla którego pieniądze nie są najważniejsze – mówił. Zaledwie kilka tygodni później, gdy było już po negocjacjach, a premier Morawiecki zrezygnował z weta, europoseł na konferencji prasowej przekonywał, że „Polska i Węgry wygrały batalię" z eurokratami. W kolejnych tygodniach polityk ofiarnie bronił unijnych ustaleń, wdając się wręcz w kłótnię z posłem Urbaniakiem z KO, który sugerował, że PiS był przeciwny ratyfikacji rzeczonych rozwiązań.

W podobnym stylu wypowiadał się choćby sekretarz stanu w KPRM Adam Andruszkiewicz, który w połowie listopada nawoływał do wetowania europejskich ustaleń zakładających mechanizm warunkowości, przekonując, że „Polska szantażować się nie pozwoli". Teraz jednak polityk broni działań premiera (który tenże mechanizm zaakceptował!). – Suwerenności państwa nie buduje się poprzez krzyczenie o suwerenności, tylko poprzez budowanie siły gospodarczej – mówił Andruszkiewicz w rozmowie z radiową Jedynką. Sentencja godna co najmniej Jarosława Gowina.

Podobne przykłady można by mnożyć. Właściwie poza Zbigniewem Ziobrą i jego posłami ciężko w obozie Zjednoczonej Prawicy znaleźć kogokolwiek, kto pozwalałby sobie na krytykę kolejnych ustępstw polskiego rządu.

W wymiarze wizerunkowym PiS oczywiście nadal pozostaje partią niepodległościową, godząc jednak patriotyczny przekaz w warstwie retorycznej z faktyczną powolną rezygnacją z suwerennościowych pryncypiów. Zagadnienie wykracza poza bieżącą politykę, gdyż wydaje się, że w ostatnich latach zmieniło się po prostu samo Prawo i Sprawiedliwość. W nieoficjalnych rozmowach podkreślają to szczególnie politycy Solidarnej Polski. – To jest jakiś nowy PiS. My obecnie bronimy programu, który PiS miał w latach 2015 i 2016 – mówią działacze SP, wskazując na takie tematy jak sądownictwo, energetyka czy rolnictwo. Na wszystkich tych polach PiS A.D. 2021 nie przypomina partii, która jak tornado szła do władzy sześć lat temu. Zgoda na kolejne zielone projekty Brukseli, wymowne milczenie w sprawie „Fit for 55" czy choćby słynna „piątka dla zwierząt" pokazują, że PiS przestał słuchać swojego własnego elektoratu.

CZAS CIEPŁEJ WODY W KRANIE

Gdy sześć lat temu PiS przejmował władzę, komponent socjalny stanowił jeden z filarów programu partii, jednak w żadnej mierze nie był jego istotą. Esencją przesłania Kaczyńskiego był patriotyczny przewrót, który miał dotknąć wszelkie sfery życia publicznego, uleczyć III RP, odsłonić „prawdę o Smoleńsku", wyrwać kraj zblazowanym elitom i oddać go „zwykłym Polakom".

„500+" było niewątpliwie projektem przełomowym, a jego demokratyczny wymiar, przynajmniej w perspektywie zysków politycznych, okazał się strzałem w dziesiątkę. Jego sukces wizerunkowy był paradoksalnie wręcz zbyt duży, gdyż zaciążył nad całą dalszą strategią obozu „dobrej zmiany". Socjalna polityka działa jak narkotyk – wciąga i wymusza kolejne dawki. Najpierw „500+" rozszerzono również na pierwsze dziecko, a następnie kontynuowano hojne rozdawanie publicznych pieniędzy. Wyprawka „300+", 13. emerytura, 14. emerytura, „Mama 4+" – to tylko najbardziej znane programy. Zrezygnowano jednak z ambitniejszych projektów o charakterze rozwojowym, skupiając się de facto na prostych hasłach i konsumpcji. Plan Morawieckiego, „Mieszkanie Plus" czy Centralny Punkt Komunikacyjny to były odważne projekty (chociaż oczywiście dyskusyjne), których ambicje wykraczały poza proste przetransportowanie pieniędzy z kieszeni lepiej zarabiających obywateli do tych gorzej sytuowanych. Teraz naczelnym celem staje się zaspokojenie społecznych oczekiwań, a nie wyznaczenie strategii na lata.

Stąd też kolejne ustępstwa rządu względem Brukseli oraz cicha zgoda na de facto federalizację Unii Europejskiej. Po kilku latach niekończących się sporów Bruksela wreszcie znalazła bat na Warszawę. Bez unijnych funduszy nie powstanie kolejny wielki projekt PiS – Polski Ład. Zaangażowanie Kaczyńskiego oraz Morawieckiego świadczy niezbicie o tym, jak olbrzymie nadzieje kierownictwo PiS z nim wiąże.

Jednocześnie spór z USA w kwestii TVN dowodzi, że rządzący wcale nie stracili „pazurków". PiS zamyka front właśnie z Brukselą, a nie choćby z Waszyngtonem nie dlatego, że nagle złagodniał, tylko ze względu na Fundusz Odbudowy.

ŚWIAT SIĘ ZMIENIŁ

Już podczas wyborów do europarlamentu komponent socjalny górował nad, mówiąc Marksem, nadbudową ideową, a podczas ostatnich wyborów parlamentarnych rządzący wprost prezentowali się przede wszystkim jako partia redystrybucji dochodu narodowego, czego wyrazem było hasło budowy „polskiej wersji państwa dobrobytu". Należy postawić pytanie: Czy jest w tym coś złego? Większość Polaków wszak nie oczekuje nieustannej politycznej wojny.

Problem w tym, że sytuacja wokół Polski diametralnie się zmieniła w ostatnich latach. Nie żyjemy już w geopolitycznej pauzie. Świat przyspiesza i to pod wieloma względami. Pomijając oczywiste niepokoje na Wschodzie, uwagę przykuwają przemiany, które zachodzą w samej Unii Europejskiej, coraz wyraźniej dążącej do likwidacji suwerennych państw narodowych. Polityką „ciepłej wody w kranie" PiS nie obroni suwerenności, która wszak jest prymarną cechą każdej państwowości.

Ponadto o legendarne unijne pieniądze będzie coraz trudniej. Frans Timmermans, ogłaszając światu pakiet klimatyczny „Fit for 55", de facto przyznał, że złote czasy Unii dobiegły kresu, a ludzkość, żeby uniknąć kataklizmu oraz „wojen o wodę i pożywienie", musi zacisnąć pasa. Oczywiście owe zaciskanie będzie odbywać się zgodnie z odwiecznym porządkiem dziobania i dotyczyć ma przede wszystkim szarych obywateli Europy, a nie unijnych elit. I, rzecz jasna, wśród tych szarych Europejczyków najmocniej zmiany będą musieli odczuć mieszkańcy europejskich peryferii zależnych od antyśrodowiskowego węgla.

Wyzbywając się suwerenności, państwo samo zdaje się na łaskę innych podmiotów i de facto godzi się na implementację nawet najbardziej niekorzystnych rozwiązań. Sama „ciepła woda w kranie" to za mało. Jeszcze kilka lat temu dla rządzących było to oczywiste.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. ADOBE STOCK

Cenzura w służbie... zdrowia

Jan Pospieszalski

Jeśli wmówiono nam, że mamy stan „wojny" z pandemią, to łatwo usprawiedliwić wszystko – ukrywanie powikłań po szczepieniach, cenzurę, niedostępność leków

W wypowiedzi prezesa Kurskiego dla portalu Wirtualnemedia.pl o usunięciu „Warto rozmawiać" z TVP kilkakrotnie padają sformułowania o toczonej przez rząd walce z pandemią. Dowiadujemy się o rozprawie z koronawirusem, o wysiłkach rządu, o konieczności egzekwowania rygorów i zachowania społecznej dyscypliny. Wojennej narracji nie przeszkadza fakt, że wykonując dziennie 30–40 tys. testów, rozpoznaje się po sto kilkadziesiąt zakażeń, a średnia dobowa liczba zgonów za ostatnie siedem dni wynosi dwa.

TO JEST WOJNA

Wojenny stan zagrożenia towarzyszy nam już od 18 miesięcy, a narracji tej nie wymyślił wcale Jacek Kurski. To narracja globalna. Media całego świata wkroczyły na front, bo „nic tak nie ożywia programu jak trup". Od wielu miesięcy niemal wszystkie serwisy informacyjne zaczynają się od liczby nowych zakażeń i zgonów. Działania rządu nazywano strategiami, przekonującym atrybutem wojny były zaś szpitale tymczasowe. Zmarli na COVID-19 to ofiary, a na pierwszej linii frontu – bohaterowie: rząd, lekarze, pielęgniarki, wolontariusze, żołnierze obrony terytorialnej. Teraz do tych bohaterów mają dołączyć „superbohaterowie" – uczniowie szkół, którzy się poddadzą szczepieniom, bo – jak słyszymy od roku – jedyną i skuteczną bronią jest szczepionka.

Wojna usprawiedliwia wszystko. Ograniczenie wolności i swobód obywatelskich, zamknięcie gospodarki, kultury, kościołów, edukacji, zmiany prawa, zwolnienie z odpowiedzialności za błędne decyzje urzędników i lekarzy (klauzula „dobrego samarytanina"), no i w końcu usprawiedliwia zarządzanie informacją. W tym kontekście należy przypomnieć sentencję amerykańskiego polityka Hirama Johnsona, który zauważył, że pierwszą ofiarą wojny jest prawda.

NARODZINY CENZURY

Postawę władz wobec pandemii można skwitować krótko – skoro toczymy wojnę z wirusem, to najważniejszym celem jest pokonanie wroga. Wszystkie ręce na pokład, a kto nie z nami, ten przeciwko nam. Kwestionując kierunek natarcia, opóźniamy marsz ku zwycięstwu. Malkontentów należy uciszyć. Przykładem są postępowania dyscyplinarne Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Naczelnej Izby Lekarskiej. Przypomnę – jesienią 2020 r. grupa lekarzy podpisała apel do władz Rzeczypospolitej, w którym zakwestionowała zamknięcie placówek opieki zdrowotnej i wyrażała sceptycyzm wobec masowych szczepień niesprawdzonym preparatem medycznym. Apel – choć zawierał merytoryczne argumenty i przywołał badania naukowe – został kompletnie zignorowany. Próżno go szukać w głównych telewizjach, nie wywołał dyskusji fachowców. Za to sygnatariusze dostali wezwania do NIL na przesłuchania. Powodem jest rzekome propagowanie postaw antyzdrowotnych i głoszenie poglądów nienaukowych. Jako przykład wskazano zawarte w apelu zdanie „Nie jest to wirus-zabójca, a choroba łatwa do wyleczenia". Przytaczam to zdanie, ponieważ właśnie ono stoi w sprzeczności z rozpoznaniem, na którym oparta jest cała wojna z pandemią. Przecież słyszymy ciągle, że wirus jest bardzo groźny, powoduje chorobę, która może mieć ciężki przebieg i prowadzić do śmierci. Na COVID-19 nie mamy skutecznego lekarstwa, a obowiązująca strategia to maksymalne ograniczenie ruchliwo-

eprasa.pl 45e9aec525

ści społeczeństwa, DDM i lockdown, wybawieniem zaś będzie szczepionka. Powyższe tezy uzyskały status dogmatu, którego podważenie nie jest traktowane jako przyczynek do dyskusji, lecz jako groźna herezja.

Stan ustawicznego zagrożenia, lęk o życie, o bliskich początkowo rodzi postawy posłuszeństwa i konsoliduje przy władzy, która zarządza kryzysem. A ponieważ wojna toczy się o ludzkie życie, nie wolno siać defetyzmu i osłabiać woli walki. Wyeliminowanie zaś niezgodnych z obraną strategią treści, jawi się jako patriotyczna powinność. Próbuję zrozumieć ten mechanizm, ponieważ wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec sceptycznych lekarzy nastąpiło wskutek donosu. Podobnie jest z mediami społecznościowymi. Nieważne, czy na Twitterze działają algorytmy, wyspecjalizowane grupy profesjonalistów, czy też są to wolontariusze – swoiste cyfrowe ORMO. Chodzi o to samo – o uciszenie delikwenta, zablokowanie konta, czyli cenzurę.

ODMOWA WIEDZY

Perwersyjną odmianą cenzury jest autocenzura, czyli odmowa wiedzy. Myślę tu np. o ignorowaniu przez zarządzających kryzysem covidowym doświadczeń dr. Włodzimierza Bodnara z leczeniem amantadyną. Choć rewelacje lekarza z Przemyśla już wiosną 2020 r. pozytywnie opiniował pulmonolog z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego dr Cezary Pakulski, a potem mieliśmy podobne sygnały od prof. Konrada Rejdaka z Lublina, dopiero upór kilku dziennikarzy – programy i publikacje – zmusiły w grudniu ministra Niedzielskiego do deklaracji uruchomienia badań. I wtedy stała się rzecz zupełnie niezrozumiała. Apteki dostały zakaz sprzedaży amantadyny na inne recepty niż wypisane dla pacjentów z chorobą Parkinsona, a w trakcie czteromiesięcznej procedury przygotowującej uruchomienie badań nad amantadyną z wielu stron, w tym z Rady Medycznej przy premierze, płynęły ostrzeżenia o groźnych ubocznych skutkach tego taniego, znanego od 40 lat leku. Wielu też innych badań dotyczących nowej choroby nie podejmowano. Nie zrobiono dużych klasterowych, randomizowanych badań zasadności lockdownu czy nabywania odporności przez osoby, które przechodziły COVID-19 i nie wykazywały objawów. Nie dokonywano też sekcji zwłok. Wydano nawet zalecenia, by nie przeprowadzać autopsji pacjentów, którzy zmarli na COVID-19. Wygląda to na jakieś fanatyczne trzymanie się jednego obranego kursu i świadome blokowanie wszelkich innych sygnałów, które mogą zmienić raz obrany kierunek.

TAJNE PRZEZ POUFNE

Będąc świadkiem kontroli poselskiej posła Grzegorza Brauna w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych w Warszawie, uzyskałem wgląd do decyzji zezwalającej na badania kliniczne szczepionek na dzieciach poniżej 12. roku życia. Posłowi udało się wyegzekwować niestety tylko część dokumentów. Pozostałe materiały są poufne, a dysponentem tajemnicy jest firma farmaceutyczna Pfizer. I nie tylko eksperymentalne badania kliniczne na dzieciach są objęte embargiem informacyjnym. Niejawna jest też umowa na dostawy szczepionek.

Dopiero tekst Wojciecha Golonki sprzed dwóch tygodni pt. „Siła Pfizera" („Do Rzeczy" nr 34/2021) pozwala zrozumieć, jak dalece koncern zadbał o utajnienie kontraktu. Umowa jest skrajnie rygorystycznie poufna, a polskie państwo „nie może ujawnić jakichkolwiek zapisów finansowych lub odszkodowawczych zawartych w tej umowie bez wcześniejszej pisemnej zgody Pfizera". Gdyby nie przypadkowy wyciek dokumentów z Albanii, a potem z rządowych stron Brazylii, nie wiedzielibyśmy nic o tej umowie. Obywatele mają nadstawić ramię do zastrzyku, lecz nie powinni wiedzieć za dużo.

Sam producent przyznaje (a kupujący, czyli państwo polskie, przyjmuje do wiadomości), że „zarówno długotrwałe skutki, jak i skuteczność szczepionki nie są obecnie znane i mogą zachodzić niepożądane skutki [...], które nie są obecnie znane".

WYPRZEĆ, ZAMILCZEĆ, UDAWAĆ, ŻE NIE MA

Dane z Izraela pokazują, że źródłem wzrostu poważnych zachorowań, wymagających hospitalizacji, są osoby zaszczepione. Jednak media tego nie odnotowują. Pisząc o czwartej fali, nie są w stanie dostrzec związku przyczynowo-skutkowego. Obserwując jedną grupę pacjentów (80–89 lat), dr Marek Sobolewski z Politechniki Rzeszowskiej wykazał, że szczepionka nie tylko seniorów nie ochroniła, lecz także tak osłabiła ich system immunologiczny, że z tej grupy „wyszła" właśnie letnia fala zachorowań. Zachorowania najpierw pojawiły się w grupie w pełni zaszczepionych, dopiero po dwóch–trzech tygodniach wśród niezaszczepionych. O zgrozo, widoczne są też zachorowania po trzeciej dawce szczepienia! Próżno jednak szukać tych informacji w polskich mediach. Badania statystyka dr. Marka Sobolewskiego są na tyle frapujące, że pewnie zasługują na osobny obszerny tekst.

BILANS KORZYŚCI I RYZYKA

Nawet gdy przedstawiane są dowody na występowanie niepożądanych odczynów poszczepiennych, ze zgonami włącznie, słyszymy, że to nic wobec milionów zaszczepionych, którzy czują się świetnie. Bardzo rozsądna argumentacja i oby tak było naprawdę. Ale niestety nie można przyjąć jej za dobrą monetę, bo na przeszkodzie stoi właśnie cenzura, a ściślej mówiąc – blokada informacyjna.

Jeśli jedna pielęgniarka pani Joanna Czarna, pracująca na peryferiach śląskiej aglomeracji miejskiej, tylko wśród pacjentów, z którymi ma kontakt, spotkała kilkanaście przypadków poważnych niezgłoszonych NOP-ów, to znaczy, że mamy problem z oceną skali ryzyka. Obrzęk nóg, powiększone węzły chłonne, zapalenie układu moczowego, zapalenie nerek z temperaturą 40 stopni, wylewy podskórne – coś w rodzaju siniaków, duszność wysiłkowa, męczliwość, utrzymujący się suchy kaszel (choć przy osłuchiwaniu wszystko jest w porządku), zawroty głowy, osłabienie, obrzęki, migrenowe bóle głowy, bezwiedne oddanie moczu, RZS (reumatoidalne zapalenie stawów), nagłe wysokie ciśnienie u osób, które nie chorowały na nadciśnienie, rozległy zawał serca... To powikłania zauważone przez panią Joannę. Większość zdarzeń miała miejsce do 14 dni po przyjęciu drugiej dawki szczepionki. Pielęgniarka twierdzi, że zgłoszenie NOP graniczy z cudem. Skoro nie są zgłaszane NOP-y, to nie wiemy, jaka jest prawdziwa statystyka powikłań, a więc dokonanie uczciwego bilansu jest niemożliwe.

Wiedza o tych zdarzeniach krąży między ludźmi, tymczasem oficjalna narracja kompletnie rozmija się z tym, co ludzie widzą wokół siebie. Pogłębia to kryzys zaufania, nie tylko do medycyny i służby zdrowia, lecz także do państwa w ogóle, jeszcze bardziej demolując wspólnotę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

Czy prymas Wyszyński był antykomunistą?

Rafał Łatka

Kardynał Stefan Wyszyński kierował się chęcią zapewnienia możliwości działania w interesie Kościoła w warunkach antyreligijnej krucjaty prowadzonej przez władze PRL

Kardynał Wyszyński bez wątpienia należy do wąskiego grona najwybitniejszych Polaków XX w. To dzięki jego postawie w trudnych realiach komunistycznej dyktatury polski Kościół nie tylko nie został zniszczony, lecz także wręcz wzmocnił swój autorytet, działając w interesie własnym, a także całego społeczeństwa. Na tytułowe pytanie – Czy prymas Wyszyński był antykomunistą? – odpowiedź nie jest, wbrew pozorom, oczywista. Poglądy kard. Wyszyńskiego na komunizm ewaluowały wraz z biegiem lat i zmieniały się wraz z realiami politycznymi, w których przyszło mu działać. Prymas nie był dogmatykiem, jeśli chodzi o podejście do spraw społecznych, umiał dostrzec pewne pozytywne zjawiska (szczególnie w sferze społecznej) w Polsce rządzonej przez komunistów. Myślę, że to kwestia szczególnie interesująca w kontekście zbliżającej się beatyfikacji (12 września 2021 r.), gdyż pokazuje, że był on osobą o wyjątkowym, własnym, oryginalnym spojrzeniu. Dorobek intelektualny tego

eprasa.pl 45e9aec525

Prymas Polski ks. kard. Stefan Wyszyński błogosławi wiernych podczas Obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski, Częstochowa, 1966 r. FOT. NAC

wybitnego hierarchy powinien być dzisiaj wnikliwie studiowany i analizowany, bo ciągle możemy znajdować w nim nieoczywiste inspiracje.

W okresie PRL ksiądz, biskup, a później arcybiskup, kardynał i prymas Wyszyński dał się poznać jako wybitny znawca rzeczywistości politycznej i realiów systemowych nie tylko polskich, lecz także całego bloku wschodniego. Na kwestie polityczne patrzył dalekosiężnie i szeroko, analizując możliwe reperkusje konkretnych wydarzeń politycznych. Prymas – jak wielokrotnie podkreślał w swoich wypowiedziach publicznych i zapiskach dziennika – nie chciał być politykiem, ale do roli męża stanu popchnęła go sytuacja w powojennej Polsce.

PRZED OBJĘCIEM FUNKCJI PRYMASA

Niewątpliwie w okresie II RP ks. Wyszyński był nie tylko antykomunistą, lecz także świetnym znawcą doktryny marksistowskiej, a przy tym potrafił oceniać tę ideologię w naukowy sposób. Szczególnie istotne pod tym względem są jego artykuły publikowane w „Ateneum Kapłańskim" (broszury: „Przemiany moralno-religijne pod wpływem bezrobocia", Włocławek 1937; „Zasięg i charakter zainteresowań katolickiej myśli społecznej", Poznań 1937; „Katolicki program walki z komunizmem", Włocławek 1937; „Inteligencja w przedniej straży komunizmu", Katowice 1938). Przyszły prymas dał się w nich poznać jako zdecydowany krytyk ideologii komunistycznej, szczególnie w kwestii jej bezbożnictwa i błędnej antropologii. Był też niewątpliwie jednym z prekursorów krytycznego spojrzenia na Związek Sowiecki. Przykładem może być jego analiza zamieszczona w broszurze zatytułowanej „Inteligencja w przedniej straży komunizmu", w której podkreślał, że w systemie sowieckim „człowiek przestał być sobą: złożył ofiarę ze swego człowieczeństwa na rzecz ustroju. Kolektyw wyręcza go w tym, co stanowi o wartości człowieka, odbiera mu swobodę stanowienia o sobie, odzwyczaja go od decyzji. Rzeczy najważniejsze dla człowieka dzieją się nie w nim, lecz poza nim, bez jego udziału: jest on bezwolnym przedmiotem procesu »przebudowy« człowieka, w której nie bierze udziału, bo jest odeń całkowicie odsunięty".

Równie zdecydowane poglądy prezentował już po drugiej wojnie światowej. Z treści donosów agenturalnych z okresu, gdy pełnił funkcję ordynariusza lubelskiego (w latach 1946–1948), wynikało, że jest „nieprzejednanym przeciwnikiem Polski Ludowej".

PIERWSZE LATA POSŁUGI PRYMASOWSKIEJ

Ksiądz Wyszyński już jako prymas na kartach dziennika opisał, jak ewaluowały jego poglądy na komunizm. W notatce z grudnia 1951 r. zapisał: „W przemówieniach do młodzieży stawiam sobie zawsze jako zadanie – pozytywnie nauczać i ujawniać piękno nauki Chrystusowej. Przekonałem się bowiem, że zbędną rzeczą jest zwalczać materializm – krytykować »rzeczywistość«. Przed wojną walczyłem z doktryną komunistyczną, wychodząc z założeń światopoglądowych. Dziś uważam to za zbędne: komunizm dziś zwalcza sam siebie, w oczach tłumów, widmem nieładu gospodarczego i wzrastającego niedostatku".

W związku z takim podejściem podjął decyzję, że należy doprowadzić do wypracowania swego rodzaju modus vivendi z władzami komunistycznymi. Kierował się przekonaniem, że ustępować można w sprawach drugorzędnych, a należy trzymać się priorytetów. Wśród nich na pierwszy plan wysuwały się możliwość nieskrępowanej działalności duszpasterskiej Kościoła oraz ścisła łączność ze Stolicą Apostolską. Równocześnie kard. Wyszyński nie zgadzał się na wykorzystywanie Kościoła przez władze do legitymizowania systemu i starał się unikać sytuacji, które mogły być w ten sposób odbierane przez polskie społeczeństwo.

Elementem jego strategii było zawarcie w kwietniu 1950 r. „porozumienia" z władzami. Kościół wówczas m.in. zdystansował się od walki zbrojnej antykomunistycznego podziemia czy wyraził poparcie dla kolektywizacji rolnictwa. W zamian otrzymał zadeklarowanie przez władze Polski „ludowej" poszanowania dla łączności Kościoła katolickiego ze Stolicą Apostolską oraz zgodę na nauczanie religii w szkołach. Cena była wysoka, ale w przekonaniu prymasa warto było ją zapłacić. Już sam ten krok pokazuje, że abp Wyszyński nie rozumował kategoriami antykomunistycznymi, ale kierował się chęcią zapewnienia możliwości działania w interesie Kościoła w realiach antyreligijnej krucjaty prowadzonej przez władze. Przesłanką do zawarcia porozumienia z władzami były również złudzenia prymasa związane z osobą Bolesława Bieruta (ocenianego przez niego jako polskiego patriotę) i przekonanie, że możliwy jest system komunistyczny w Polsce bez komponentu antyreligijnego. O tym, że nie było to możliwe, zaświadczyły jasno kolejne wydarzenia, takie jak aresztowanie i proces bp. Czesława Kaczmarka, proces kurii krakowskiej i wreszcie wydanie w lutym 1953 r. dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych, który w zasadzie uzależniał każdą nominację od zgody komunistów. Protest prymasa w tej sprawie oraz brak zgody na potępienie skazanego ordynariusza kieleckiego doprowadziły ostatecznie do aresztowania go przez funkcjonariuszy aparatu represji w nocy z 25 na 26 września 1953 r.

Hierarcha nie rozpamiętywał jednak powodów internowania i nie karmił się ideologicznie motywowaną niechęcią do swoich prześladowców. Po chrześcijańsku wybaczał im i modlił się za swoich oprawców – w tym za Bieruta. Ponadto niezwykle aktywnie intelektualnie

eprasa.pl 45e9aec525

spędził okres swojej izolacji, przygotowując uroczystości ślubowania narodu na Jasnej Górze w 1953 r. i program „Wielkiej Nowenny", który stał się w istocie programem wielkiego religijnego uaktywnienia polskiego narodu realizowanego w latach 1957–1966.

LATA 1956–1970

W 1956 r. prymas wykazał się wielkim zmysłem politycznym i pokazał, że nie patrzy na świat za pomocą kalk ideologicznych. Zgodził się na uwolnienie, ale na wyznaczonych przez siebie warunkach. Nie kierował się w swoich działaniach również wskazaniami praktycznego antykomunizmu, gdyż zawarł porozumienie z powracającym do władzy Władysławem Gomułką, rozumując, że jego rządy to poszerzenie podmiotowości społecznej i większe uniezależnienie Polski od sowieckiego patrona.

Warto podkreślić, że kard. Wyszyński uzyskał ustępstwa w kluczowych dla działania Kościoła kwestiach, takich jak odwołanie dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych z 1953 r., powrót aresztowanych i izolowanych hierarchów kościelnych na swoje stanowiska czy powrót religii do szkół. Ceną za nie było zachęcenie przez prymasa i episkopat do wzięcia udziału w wyborach w 1957 r.

Zasadnicza dla zrozumienia stosunku prymasa do komunizmu po odwilży w 1956 r. jest notatka sporządzona po audiencji u Piusa XII w czerwcu 1957 r. Kardynał Wyszyński w swojej refleksji wskazywał, że większym dla Kościoła problemem niż komunizm jest indyferentyzm i nihilizm społeczny. Prymas wobec tego zamiast otwartego zwalczania władz wolał realizować program „Wielkiej Nowenny", czyli pogłębienia religijności polskiego społeczeństwa, który w swej istocie miał antykomunistyczny charakter. Jego efektem było wygranie z władzami PRL rywalizacji o „duszę" Polaków.

Nie oznacza to jednak, że prymas nie potrafił się w czasie swoich rozmów z Gomułką wznosić ponad negatywną ocenę jego działalności i szukać pewnych wspólnych płaszczyzn, wierząc, że mimo wszystko I sekretarzowi zależy na dobru Polski, choć opacznie je rozumie. Kierował się pod tym względem dobrą wolą i chęcią wspólnego działania na rzecz ojczyzny. Z tego względu był w stanie pójść na ustępstwa nawet w sprawach wewnętrznych Kościoła. Przykładem tego typu podejścia są rozmowy z pierwszym sekretarzem KC PZPR na temat możliwości wysłania do Rzymu bp. Czesława Kaczmarka.

Co do wydarzeń Marca '68 prymas uważał, że zostały one sprowokowane walką o władzę różnych koterii w łonie PZPR i z tego powodu nie należy angażować się w ten konflikt. W przemówieniu do biskupów podkreślał: „Musimy mieć dużo spokoju, by utrzymać się w równowadze. Nie możemy działać pod wpływem gorączkowych sugestii, nie możemy opowiadać się za tą czy inną frakcją. Spieszyć się z jakimś znakiem zaufania wobec X+Y nieznanych byłoby rzeczą ryzykowną. Episkopat musi być wolny w podejmowaniu decyzji od subiektywizmu i namiętności doradców". Równocześnie w imieniu episkopatu złożył protest dotyczący użycia siły wobec protestujących studentów. Analogicznie zareagował na rewoltę grudniową na Wybrzeżu w 1970 r. Wzywał do spokoju społecznego, a równocześnie interweniował u władz, by zaprzestały brutalnych interwencji i represji.

Kardynał Wyszyński wskazywał, że większym dla Kościoła problemem niż komunizm jest indyferentyzm i nihilizm społeczny

LATA 1970–1981

Prymas swojego podejścia do władz nie zmienił również w dekadzie lat 70., tym bardziej że na początku rządów Edwarda Gierka pojawiła się szansa na normalizację relacji państwo – Kościół. Kardynał Wyszyński od samego początku nakazywał jednak zachować umiar i ostrożność oraz nie nastawiać się zbyt optymistycznie co do zakresu zmian w polityce elit partyjnych. Prymas widział nieusuwalne wady systemu PRL-owskiego. Zdawał sobie sprawę z elastyczności komunistów i kolejnych zmian w ich polityce zmierzających do utrzymania władzy.

Kardynał Wyszyński kierował swoją uwagę na troskę o szeroko rozumiane dobro wspólne, o czym jasno mówił w czasie cyklu „Kazań Świętokrzyskich" wygłoszonych w latach 1974–1976. Jego zdystansowanego stanowiska do spraw politycznych nie zmieniło powstanie organizacji opozycyjnych w 1976 r. W czasie posiedzenia Rady Głównej Episkopatu z 26 kwietnia wspomnianego roku jasno sprecyzował podejście Kościoła do polityki: „Nasze działanie musi być przemyślane, dojrzałe i spokojne. Nie możemy ad pari ustawiać się z taką czy inną instytucją świecką, czy ośrodkiem politycznym. Inaczej mogą to czynić świeccy, a inaczej biskupi. Nie możemy ulegać naciskom ludzi skłóconych i dążących do wykazania swoich racji". Linię postępowania Kościoła wobec opozycji dobrze oddaje wypowiedź prymasa z 26 lutego 1980 r.: „Należy ich otoczyć jakąś opieką, nie angażując się w ich kontestacje".

Na wydarzenia Sierpnia '80 kard. Wyszyński zareagował, zalecając strajkującym umiar i rozsądek, równocześnie popierając jednak ich główny postulat, czyli powołanie niezależnych związków zawodowych. Prymas był także przekonany, że powstające związki nie powinny zajmować się problematyką polityczną, a skupić się na polepszaniu losu robotników. Pisał o tym wprost w dzienniku w lutym 1981 r.: „Popierając Solidarność – należy bronić ją przed rozszerzeniem zadań społ[eczno]-gosp[odarczych] na tereny polityczne". Z tego względu był sceptycznie nastawiony do działalności środowiska KOR w ramach niezależnego ruchu społecznego, uważając, że jest ono zbyt radykalne i nieodpowiedzialne.

Trudno więc nazwać prymasa antykomunistą, gdyż byłoby to bardzo daleko idące uproszczenie sytuujące go w prostej dychotomii: komunizm – antykomunizm. Prymas wymyka się tym prostym kategoryzacjom dlatego, że stworzył własny, oryginalny system myślenia i działania w realiach komunistycznego państwa. Za antykomunistę możemy uważać go, tylko jeśli chodzi o efekty, które przyniosły jego rządy w polskim Kościele w latach 1948–1981. Jeśli natomiast chcemy szukać określenia oddającego oryginalny i autonomiczny stosunek kard. Wyszyńskiego do systemu politycznego PRL, to trzeba stwierdzić, że był on antykomunistą niekonwencjonalnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym BBH IPN.

eprasa.pl 45e9aec525

Europa w poszukiwaniu przywództwa w Karpaczu

– To obecność i łatwość w dostępie do prezesów i właścicieli największych polskich i zagranicznych przedsiębiorstw od lat tworzy niespotykaną atmosferę Forum Ekonomicznego – mówi Zygmunt Berdychowski, założyciel Fundacji „Instytut Studiów Wschodnich", która już 7 września rusza z 30. jubileuszową edycją Forum Ekonomicznego w Karpaczu

Zygmunt Berdychowski

Czym Forum Ekonomiczne w Karpaczu nas zaskoczy w tym roku?

To będzie jubileuszowe XXX Forum Ekonomiczne. Pierwsze po epidemii koronawirusa wydarzenie konferencyjno-kongresowe o tej skali. W Karpaczu tradycyjnie zbudujemy miasteczko kongresowe. Spodziewamy się ponad 4 tys. uczestników, odbędzie się ponad 350 paneli i wiele imprez towarzyszących. Atrakcją dla gości będzie też sam pobyt w urokliwym Karpaczu.

Kogo ciekawego i ważnego zaprosiliście?

Co roku gościmy najważniejszych przedstawicieli polityki i biznesu. Podobnie jak w latach ubiegłych, teraz też na Forum Ekonomiczne w Karpaczu przyjadą przedstawiciele polskiego rządu. Będą m.in.: wicepremier Piotr Gliński, wicepremier Jacek Sasin, ministrowie: Zbigniew Rau, Michał Kurtyka, Marlena Maląg czy Konrad Szymański. Nie zabraknie prezesów czołowych polskich firm, takich jak: PKO BP, Luxmed, Pekao SA, Orlen czy Murapol. Swoją obecnością zaszczycą nas także goście z zagranicy, m.in.: Michael Kretschmer – premier Saksonii, Vladimir Rakhmanin – zastępca dyrektora generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa, Hannes Swoboda – prezes Międzynarodowego Instytutu Pokoju czy Christian Hauglie-Hanssen – prezes Norweskiej Agencji Kosmicznej.

Pod jakim hasłem odbędzie się tegoroczne forum?

Konferencja odbędzie się pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa".

Dlaczego właśnie pod takim?

To zachęta do ugruntowania wizji gospodarczej i wskazywanie przykładów pozytywnych relacji między państwami. W najbliższym czasie Stary Kontynent czeka seria wyborów: w Niemczech, we Francji i być może we Włoszech. Ponadto pandemia koronawirusa obnażyła słabości instytucji europejskich. Państwa zaczęły ze sobą rywalizować o zakup środków ochrony zdrowia, szczepionek czy respiratorów. Zamknięto granice, ograniczono swobodę przepływu obywateli i towarów. To wszystko pokazało, że w Europie brakuje silnego przywództwa gotowego na zmiany.

Od 2007 r. integralną częścią Forum Ekonomicznego jest Forum Regionów. Czego tam możemy się spodziewać?

Forum Regionów od lat cieszy się dużym powodzeniem wśród uczestników Forum Ekonomicznego. W tegorocznej edycji zaplanowaliśmy 17 paneli dyskusyjnych poruszających szerokie spektrum samorządowych zagadnień – od polityki spójności w Unii Europejskiej i jej wpływu na przyszłość regionów do polityki fiskalnej samorządów. Przewidzieliśmy dyskusje na temat strategii rozwoju miast i gmin oraz miejsca kultury w rozwoju regionalnym. Wśród gości forum wymienić można marszałków województw: Elżbietę Annę Polak i Cezarego Przybylskiego czy wojewodów: Łukasza Kmitę i Jarosława Obremskiego. Jak co roku w panelach zasiądą także prezydenci i burmistrzowie polskich miast.

Czy forum ma też ofertę dla młodych liderów?

Forum od początku swojego istnienia dąży do włączania osób młodych do dyskusji o przyszłości Europy i świata, a także w procesy decyzyjne kształtujące naszą rzeczywistość. W tym roku odbędzie się XVI edycja Forum Ekonomicznego Młodych Liderów. Program obfitujący w sesje warsztatowe, panele dyskusyjne czy debaty oksfordzkie wzbogaci młodych uczestników o wiedzę, pewność siebie oraz inspirację do działania.

A co dla relaksu po debatach?

Oprócz bogatego programu merytorycznego uczestnicy Forum Ekonomicznego w Karpaczu mogą liczyć na szeroki wachlarz imprez kulturalnych. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się koncerty prezentujące różne gatunki muzyczne. W gronie zespołów, które w ubiegłych latach uświetniły uroczyste gale forum, znalazły się m.in.: Sinfonietta Cracovia, Orkiestra Tomka Szymusia, Orkiestra Akademii Beethovenowskiej czy Orkiestra Kameralna Miasta Tychy AUKSO. Wszystkie te wydarzenia relacjonuje kilkuset dziennikarzy z kilkudziesięciu państw. Nic dziwnego, że forum jest najczęściej opisywanym kongresem gospodarczym w Polsce.

Czym dziś jest Forum Ekonomiczne w Karpaczu? To już 30. edycja.

Największa i najważniejsza międzynarodowa konferencja polityczno-gospodarcza w Europie Środkowo-Wschodniej. Przez 30 lat ważną platformą wymiany poglądów i kształtowania opinii liderów oraz jednym z najistotniejszych miejsc spotkań elit polityczno-biznesowych. O sile marki Forum Ekonomicznego świadczą jej liczni goście oraz największe wśród polskich kongresów gospodarczych zainteresowanie mediów. To obecność i łatwość w dostępie do prezesów i właścicieli największych polskich oraz zagranicznych przedsiębiorstw tworzy niespotykaną atmosferę forum.

Impreza co roku się rozrasta. Jak nad tym zapanować logistycznie?

Przygotowania do Forum Ekonomicznego to miesiące pracy, setki wysłanych zaproszeń, odbytych rozmów i wykonanych telefonów. Nad organizacją wydarzenia czuwa sztab doświadczonych pracowników Fundacji „Instytut Studiów Wschodnich", którzy perfekcyjnie dbają o jakość każdego szczegółu.

Rozmawiała Magdalena Gryn

eprasa.pl 45e9aec525

Aranżer z dyplomem KGB

Sławomir Cenckiewicz

Współautor „prowokacji marszałkowej" Aleksander Lichocki jest postacią wręcz podręcznikową dla opisu polskiego postkomunizmu. Ma bowiem wszystkie cechy, które powinny go trwale wyeliminować z życia publicznego i sektora państwowego, ale w warunkach III RP stały się one atutem wyznaczającym jego zakulisową pozycję

Żołnierz LWP legitymujący się chłoporobotniczym pochodzeniem i zaangażowany marksista-partyjniak, oficer Wojskowej Służby Wewnętrznej i kursant KGB, lew salonowy III RP i dobry znajomy dziennikarzy śledczych, znawca kulis życia politycznego i niewyjaśnionych nigdy śledztw, ukryty narrator artykułów śledczych i specjalista od państwowych nieruchomości, kolega biskupów i dysponent wiedzy hakowej… Wreszcie admirator Bronisława Komorowskiego nienawidzący Antoniego Macierewicza. Kim jest człowiek, który jako jedyny poniósł karę za prowokację, która dzięki sfabrykowanym dowodom miała zneutralizować siły antyrosyjskie w Polsce i zmienić układ sił w polskiej polityce?

ZIELONY CZEKISTA

W grudniu 1961 r. 18-letni Aleksander Lichocki (rocznik 1943) ze wsi Boby Stare koło Urzędowa w powiecie kraśnickim postanowił wstąpić do wojska i zgłosić się do Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Po ukończeniu szkoły i dwuletnim pobycie w Giżycku, gdzie

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. MARCIN OBARA/PAP

w 4. Ośrodku Przeciwdziałania Radioelektronicznego ppor. Lichocki dowodził stacją zagłuszającą, postanowił zostać wojskowym czekistą. Wiosną 1966 r. na ręce marszałka Mariana Spychalskiego skierował prośbę o przyjęcie do Wojskowej Służby Wewnętrznej ze względu na „zamiłowania i zainteresowania". Następnie uczył się operacyjnego fachu w Ośrodku Szkolenia WSW w Mińsku Mazowieckim i w wieku zaledwie 23 lat został żołnierzem kontrwywiadu wojskowego PRL. Służył później w WSW w Lublinie, Białymstoku i Warszawie, dochodząc do coraz to nowych stanowisk kierowniczych w pionie kontrwywiadu, by od 1984 r. na stałe zakotwiczyć się w Szefostwie WSW.

W Zarządzie III Szefostwa WSW (działalność kontrwywiadowcza, ważniejsze rozpracowania operacyjne i analiza), a później w Zarządzie I (ochrona kontrwywiadowcza Instytucji Centralnych MON i jednostek wojskowych centralnego podporządkowania) doszedł do najwyższych stanowisk – zastępcy szefa lub szefa zarządu w stopniu pułkownika (awans w 1986 r.). W tym czasie Lichocki został magistrem historii – ukończył studia na Wojskowej Akademii Politycznej, zaliczył 10-miesięczny kurs KGB w Moskwie w 1981 r. i pobyt w Syrii, gdzie w 1984 r. służył formalnie jako doradca przy XXII zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego Sił Zbrojnych ONZ.

Mało kto wie, że od sierpnia 1990 r. do października 1991 r. Lichocki był skierowany do służby w Zarządzie II (pion wywiadu) Sztabu Generalnego WP (formalna nazwa od lipca 1990 r. brzmiała Zarząd II Wywiadu i Kontrwywiadu Sztabu Generalnego WP), skąd odszedł w stan spoczynku. Formalnie odprawiał go do cywila 16 października 1991 r. szef świeżo powołanej służby specjalnej – kontradmirał Czesław Wawrzyniak z Wojskowych Służb Informacyjnych.

OPERATOR

Aleksander Lichocki służył w specsłużbach blisko ćwierć wieku, z czego kilkanaście lat na różnych kierowniczych stanowiskach w kontrwywiadzie. Bez wątpienia dobrze opanował operacyjne rzemiosło, o czym świadczą zachowane w IPN sprawy operacyjno-agenturalne, które prowadził na przestrzeni lat, oraz liczne opinie służbowe. Są wśród nich sprawy zwykłych żołnierzy, wysokich rangą dowódców, a nawet profesorów-medyków wojskowych… Przewijają się w nich operacyjny zmysł i pomysłowość Lichockiego, jego śmiałość w podejmowaniu decyzji, inwencja, inteligencja, umiejętne prowadzenie źródeł osobowych, własna inicjatywa i aktywność w PZPR (w latach 1963–1990). A do tego „dobrze współdziała z dowództwem, aparatem partyjnym i politycznym oraz organami SB" i jest absolwentem „rocznego kursu [KGB] kadry kierowniczej w Związku Radzieckim".

Nie przypadkiem zaliczono Lichockiego do Funduszu Przyspieszonego Rozwoju (FPR), czyli tzw. złotego funduszu przeznaczonego dla perspektywicznych oficerów LWP (po zagubieniu tajnego dokumentu został czasowo skreślony z FPR w 1975 r.). Był ulubieńcem gen. Edmunda Buły (który koordynował proces niszczenia archiwów WSW, a jednocześnie wytransferował kartotekę operacyjną do Moskwy). Zapewne to właśnie ostatni szef WSW przedstawił Lichockiego do odznaczenia Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, który przyznał mu w maju 1990 r. prezydent Wojciech Jaruzelski.

Z tak sporym bagażem doświadczeń opuszczał płk Lichocki armię i wchodził w rzeczywistość okrągłostołowej Polski. Uznać jednak, że żegnał się wówczas z wojskiem całkowicie, byłoby grubą przesadą. Pozostał w wojsku jedną nogą – chociażby poprzez służących w siłach powietrznych synów oficerów (Robert i Ernest Lichoccy ukończyli Wyższą Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie) oraz niezliczone kontakty, znajomości, koneksje i układy, dzięki którym aż do czasów „afery marszałkowej" żył z wojska.

PIECZENIARZ

Aleksander Lichocki był przez lata typowym postkomunistycznym pieczeniarzem funkcjonującym w prywatnych biznesach zależnych od państwa, swoich znajomości, wpływów w świecie urzędniczym i ekskluzywnej (hakowej) wiedzy wyniesionej z czasów pracy w WSW. Znał dobrze niezwykle wpływowego wśród postkomunistów byłego funkcjonariusza bezpieki, dyplomatę PRL, etatowego pracownika KC PZPR i doradcę premiera Leszka Millera – Jana Bisztygę. Funkcjonował również w otoczeniu ostatniego szefa kadr SB, a później dyrektora Departamentu Kadr Komendy Głównej Policji i zastępcy komendanta Policji Romana Kurnika, dzięki któremu miał się związać z dobrze prosperującą (także dzięki umowom z państwowymi spółkami) firmą S.A.Z. Biuro Podróży First Class. Znajomość z Kurnikiem i jego środowiskiem (tzw. grupą generalską) dała Lichockiemu wgląd w kulisy zabójstwa gen. Marka Papały w 1998 r., a to z kolei otworzyło spore możliwości nawiązywania kontaktów z dziennikarzami śledczymi, a z czasem umożliwiło obecność w środowisku dziennikarskim i znajomość rynku medialnego w Polsce. Lichocki znał księży i utrzymywał kontakty z kilkoma biskupami (także z tymi z agenturalną przeszłością). Co ciekawe, już w czasie „afery marszałkowej" przyznał, że

eprasa.pl 45e9aec525

Pułkownik Lichocki zarejestrowany przez kamery w Marriotcie

FOT. ARCHIWUM SĄDU REJONOWEGO W WARSZAWIE

w latach 2000–2004 doradzał spółce Prokor, która po przyjęciu Polski do NATO otrzymywała państwowe kontrakty m.in. na rozbudowę lotnisk i baz materiałowych dla wojska.

Jednak najlepszym przykładem wpływów Lichockiego jest jego tajemnicza rola przy kolejnych prezesach Agencji Mienia Wojskowego, gdzie w latach 2001–2006 pracował w zespole doradców prezesa AMW oraz jako pełnomocnik do spraw zapewnienia ochrony informacji niejawnych w Biurze AMW i oddziałach terenowych. Pozycję tę stracił dopiero 30 września 2006 r. (paradoksalnie w ostatnim dniu istnienia WSI), kiedy to kolejny prezes AMW (z nadania PiS) postanowił rozwiązać umowę z wpływowym doradcą po kursie KGB w Moskwie. Utrata etatu i wpływów w Agencji, która dysponowała w całym kraju gigantycznym majątkiem wojskowym – nieruchomościami i terenami po likwidowanych jednostkach wojskowych sukcesywnie upłynnianym chociażby deweloperom – mogła się stać jednym z motywów podjęcia przez niego prowokacyjnych działań wobec ekipy Antoniego Macierewicza w MON.

„GENERAŁ"

W niektórych dziennikarskich opowieściach płk Aleksander Lichocki jawi się niczym wszechwiedzące źródło wiedzy gotowe od drugiej połowy lat 90. podzielić się niemal z każdym dziennikarzem unikatowymi informacjami. Wiedział sporo o Oleksym, Ałganowie, Rosjanach w Polsce, KGB, ks. Popiełuszce, Macierewiczu, biskupach, gangsterach i mafii paliwowej… Nie było ważnego tematu, o którym Lichocki nie mógłby powiedzieć czegoś odkrywczego, czegoś załatwić, dzięki czemu zdobywał sobie zaufanie rozmówców. Wojciech Sumliński, który ostatecznie stał się ofiarą wieloletnich intryg i gier Lichockiego, pisał, że ten były oficer WSW był w stanie uzależniać swoją wiedzą, osobowością i podejściem do rozmówcy. Może dlatego niektórzy – jak chociażby wspomniany już Sumliński – tak zaufali jego możliwościom i wpływom, że z czasem uznali Lichockiego za generała, któremu awans miał zapewnić Bronisław Komorowski w czasie rządów Akcji Wyborczej Solidarność.

Ta swoiście pojęta idealizacja Lichockiego i podatność na każdą jego kłamliwą opowieść znieczuli po latach Sumlińskiego na tyle, że nie tylko stanie się on narzędziem prowokacji duetu Lichocki-Tobiasz, lecz także skutecznie uodporni się na przestrogi kolegów ostrzegających go przed zastawioną pułapką. W aktach sądowych sprawy marszałkowej znajdujemy przynajmniej trzy świadectwa osób ostrzegających Sumlińskiego przed prowokacją ze strony Lichockiego. Uwikłany w grę płk. Leszka Tobiasza członek Komisji Weryfikacyjnej Leszek Pietrzak odmawiał wejścia w relację z Lichockim, namawiając do tego samego Sumlińskiego i tłumacząc mu, że Lichocki nie jest żadnym generałem. Podobnie Przemysław Wojciechowski ostrzegał kolegę przed prowokacją Lichockiego, perswadując mu, że człowiek, który wręcz obsesyjnie rozpuszcza na mieście „informacje" o Macierewiczu jako agencie rosyjskim szkolonym przez KGB pod Kownem, który w dodatku nagrywa swoje rozmowy z dziennikarzami, musi prowadzić jakąś brudną grę. Jarosław Jakimczyk zeznał z kolei w prokuraturze, że Lichocki uchodził w niektórych kręgach dziennikarskich (w domyśle: u Sumlińskiego) za guru w obszarze mafii paliwowej, wciskając politykom i dziennikarzom każdą zmyśloną bujdę jako prawdę objawioną.

„PRZYJACIEL"

Były poseł, minister sprawiedliwości i prokurator generalny Stanisław Iwanicki zeznał, że z płk. Aleksandrem Lichockim poznał się w 2005 lub 2006 r. dzięki Wojciechowi Sumlińskiemu, który miał przedstawić pułkownika WSW jako swojego „przyjaciela" i speca od „czarnego PR". Lichocki rzeczywiście musiał być bliski Sumlińskiemu, skoro Iwanicki spotykał go wśród imieninowych gości tego dziennikarza. Podczas śledztwa i procesu dotyczącego prowokacji Tobiasza i Lichockiego Sumliński starał się zaprzeczać tej zażyłości, przyznał, że utrzymywał z Lichockim kontakt „dziennikarski" od końca lat 90. W każdym razie Iwanicki, Lichocki i Sumliński spotykali się na pogadankach, ale z czasem Iwanicki spotykał się z Lichockim już sam, jeszcze innym razem w obecności gen. Józefa Buczyńskiego, którego osoba również przewija się w „aferze marszałkowej". Lichocki – jak zeznał Iwanicki – był dla niego interesującym rozmówcą w sprawach kościelnych, m.in. w sprawie abp. Wielgusa i sposobu ewidencjonowania w służbach specjalnych PRL informacji na temat współpracujących z bezpieką księży.

Wszystko to byłoby mało interesujące, gdyby nie fakt, że stopniowe – dzięki pośrednictwu Sumlińskiego – wchodzenie Lichockiego w kolejne relacje towa-

eprasa.pl 45e9aec525

rzyskie było przemyślaną grą dobrze ukazującą sposób działania prowokatorów. Już w czasie realizacji „prowokacji marszałkowej", na przełomie lat 2007 i 2008 Lichocki „wywołał" spotkanie z Iwanickim, by zainteresować go artykułem Anny Marszałek-Rochowicz o rzekomych patologiach towarzyszących weryfikacji żołnierzy WSI. Chodziło prawdopodobnie o tekst „Nocne gry i zabawy polityków PiS" („Dziennik", 19 listopada 2007 r.), w którym Marszałek-Rochowicz pisała, że weryfikatorzy skopiowali archiwa WSI i przez następne lata czeka Polskę „nieustanny wysyp hakowych informacji". W tym samym numerze „Dziennika" znalazła się informacja o możliwości zakupu aneksu do raportu weryfikacji żołnierzy WSI przez „każdego" na „czarnym rynku" („Aneks do raportu o WSI na sprzedaż"). Był to faktyczny – publiczny i medialny – początek afery marszałkowej, czyli wielkiej prowokacji przeciwko likwidatorom WSI, opozycji, a przede wszystkim Antoniemu Macierewiczowi. Dodajmy, że niemal równolegle do „sensacyjnych" artykułów „Dziennika" od kilku tygodni trwały spotkania marszałka Bronisława Komorowskiego i innych polityków Platformy Obywatelskiej z płk. Leszkiem Tobiaszem i płk. Aleksandrem Lichockim. Natomiast już po „ustaleniach" „Dziennika", bo 27 listopada 2007 r., p.o. szef ABW Krzysztof Bondaryk złożył w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie fałszywe zawiadomienie na temat rzekomych nieprawidłowości w pracach Komisji Weryfikacyjnej.

„DZIENNIK" TUBĄ PROWOKATORÓW

W każdym razie – jak wiemy z akt śledztwa – z inspiracji Tobiasza Lichocki zwrócił się wówczas do Iwanickiego o umożliwienie kontaktu z redaktor Anną Marszałek-Rochowicz. W ten sposób na początku 2008 r. doszło do pierwszego spotkania Lichockiego z dziennikarką „Dziennika" w jednej z warszawskich galerii. Jakby na marginesie powyższych informacji Iwanicki przyznał w sądzie, że w tym samym czasie również Marszałek-Rochowicz zabiegała u niego o kontakt z Lichockim.

Anna Marszałek-Rochowicz broniła w sądzie swojej postawy i całej serii tekstów publikowanych w „Dzienniku", których treść nie miała wcale opierać się na rewelacjach płk. Lichockiego, ale na innych źródłach dziennikarskich. Jej zeznania wyglądają jednak na daleko niespójne. Przyznała, że z płk. Lichockim skojarzył ją Stanisław Iwanicki, który od razu powiedział, że ma znajomego wojskowego o „ogromnej wiedzy", kogoś w rodzaju „konsultanta czy doradcy w kręgach kościelnych", który „dysponuje aneksem do raportu WSI". Dziennikarka przystała na propozycję spotkania z Lichockim, ale – jak zeznała – nie zrobił na niej wrażenia człowieka dysponującego dokumentami, lecz „co najwyżej strzępami informacji zasłyszanymi od kogoś w zakresie weryfikacji". Lichocki miał tłumaczyć Marszałek-Rochowicz, że Macierewicz jest agentem Moskwy, chwalić się lekturą aneksu i znajomościami w Komisji Weryfikacyjnej oraz wiedzą na temat handlu aneksem do raportu z weryfikacji WSI przez Agorę, gdzie zresztą miała pracować osoba powiązana z Lichockim. Podczas rozmowy padały kwoty – 200–250 tys. zł – których Lichocki domagał się w zamian za przekazane informacje i materiały (w ciągu tygodnia miał przynieść aneks).

Dziennikarka przyznała, że początkowo redakcja „Dziennika" była skłonna wydać nie więcej niż 10 tys. zł (w innym zeznaniu jest mowa o 20 tys. zł), ale po naradzie w redakcji uznano, że sprawa wygląda na prowokację, a rozmówca jest „konfabulantem". W dalszych zeznaniach Marszałek-Rochowicz przyznała jednak, że spotykała się z Lichockim wiele razy (w okresie od lutego do kwietnia 2008 r.), zanim w kwietniu opublikowała artykuł pod znamiennym tytułem „Wtyki w komisji weryfikującej agentów? Tak handlowano aneksem Macierewicza" („Dziennik", 28 kwietnia 2008 r.) oraz w tym samym numerze komentarz „Kto gra aneksem Macierewicza". W obu tekstach (w treści zbieżnych z wynurzeniami byłego oficera WSW i Tobiasza relacjonującego politykom PO rzekomą korupcję towarzyszącą weryfikacji WSI) dziennikarka opisywała wprost Lichockiego jako oferenta handlującego „aneksem Macierewicza". Zanim „Dziennik" opisał rolę Lichockiego, w spotkaniach z nim uczestniczyć mieli także Paweł Reszka i Michał Majewski, którzy również opublikowali kilka tekstów ośmieszających proces likwidacji i weryfikacji WSI. Lichocki opisał obu dziennikarzy w zeznaniach jako świetnie poinformowanych (w rozmowie z nim mieli twierdzić, że CBŚ Policji nagrało spotkania Tobiasza z Pietrzakiem).

„SYMPATIA DO PANA KOMOROWSKIEGO"

W sensacyjnej atmosferze regularnie podgrzewanej przez „Dziennik", a później także przez inne media, 13 maja 2008 r. ABW wkroczyła do mieszkań płk. Aleksandra Lichockiego, Wojciecha Sumlińskiego, Piotra Bączka i Leszka Pietrzaka. Prezydent Lech Kaczyński był w tym czasie z wizytą w Izraelu i uznał akcję ABW i prokuratury „za inspirowaną politycznie".

Lichocki w śledztwie zaczął się od razu ze wszystkiego wykręcać, twierdząc, że informacje, które artykułował w rozmowach, w tym te dotyczące rzekomego handlu aneksem przez Agorę (za 1 mln zł), pochodziły „z miasta". Mówił, że nigdy nie czytał i nie widział aneksu, że nie zna Bączka, Woyciechowskiego i Cenckiewicza („mogło być tak, że skłamałem Tobiaszowi, że znam jakiegoś Cenckiewicza, żeby wytworzyć fikcję, że coś tam mogę, i zobaczyć, czy Tobiasz puści to dalej i czy wróci do mnie"), że blefował i kłamał w rozmowach z Tobiaszem i Sumlińskim, którego jednak konsekwentnie obciążał złożeniem oferty weryfikacji Tobiasza w zamian za materialną korzyść. Snuł przy tej okazji przeróżne opowieści na temat samego Sumlińskiego, podkreślając, że pochodzą one od niego samego bądź z jego wieloletniej obserwacji i zażyłości, którą po ośmiu–dziewięciu latach definiował jako „dobre koleżeństwo". Tłumaczył je zresztą dostarczaniem i wymianą informacji, doradztwem i naprowadzeniami dziennikarskimi.

Wydaje się, że najciekawszy wątek zeznań Lichockiego dotyczy Komorowskiego. 14 listopada 2008 r. Lichocki zrelacjonował prokuratorowi, że jego spotkanie w „cztery oczy" ze świeżo wybranym marszałkiem Sejmu wcale nie dotyczyło aneksu, ale informacji na temat bliskiego współpracownika marszałka – Waldemara Strzałkowskiego, którego – co brzmi dość zabawnie – uważał za przyjaciela Macierewicza. Według Lichockiego to sam Komorowski zagadał go pod koniec rozmowy o aneks, co stoi w sprzeczności z zeznaniami złożonymi w prokuraturze przez Komorowskiego. Marszałek Sejmu „stwierdził, że ja jestem latającym po Warszawie", i spytał, „co z tym aneksem, co o mnie piszą". Powiedział, że „chciałby się

eprasa.pl 45e9aec525

dowiedzieć, co o nim piszą. Obiecałem, że się zorientuję, ale nie było mowy, że dostarczę aneks" – zeznał pułkownik WSW. I dalej: „Poszedłem do marszałka z informacjami o Strzałkowskim, bo go szanuję jeszcze z czasów, gdy był wiceministrem obrony. Po tym spotkaniu gen. Buczyński powiedział mi, że się dobrze zaprezentowałem u marszałka i że jakbym coś wiedział na temat tego, co uzgodniliśmy z marszałkiem (nie wspominał o aneksie), to żebym dzwonił do biura poselskiego Komorowskiego". Komorowski przedstawił to zupełnie inaczej (zeznanie z 21 stycznia 2009 r.): „Temat Strzałkowskiego pojawił się pod koniec naszej rozmowy. Rozmowa zaczęła się od aneksu".

Innym razem (14 maja 2008 r.) Lichocki pokusił się o swoją ocenę Komorowskiego: „Ja odczuwam bardzo dużą sympatię do pana Komorowskiego z czasów, gdy był wiceministrem obrony, a ja pracowałem w WSW. Pana Komorowskiego oceniam bardzo pozytywnie. Nie mam do niego żalu o zwolnienie z WSW, bo uważam, że on się do tego nie przyczynił".

BLAMAŻ PROWOKACJI

W dniu zatrzymania prokuratura postawiła Aleksandrowi Lichockiemu zarzut, że wspólnie z Wojciechem Sumlińskim, „powołując się na wpływy w Komisji Weryfikacyjnej WSI, podjął się pośrednictwa w załatwieniu pozytywnej weryfikacji oficera WSI płk. Leszka Tobiasza w zamian za udzielenie korzyści majątkowej w kwocie 200 tys. zł". Taka kwalifikacja utrzymała się zarówno w późniejszym akcie oskarżenia, jak i w wyroku sądu z 16 grudnia 2015 r., który skazał Lichockiego na karę czterech lat więzienia, uznając, że początkowo działał on najpewniej na własną rękę (motywowany chęcią zdobycia pieniędzy na opiekę medyczną śmiertelnie chorej żony), zaś od stycznia 2007 r. „w prowokacji przygotowanej przez Leszka Tobiasza".

Jest oczywiste, że Lichocki nie dysponował jakimikolwiek możliwościami „załatwienia pozytywnej weryfikacji oficera WSI płk. Leszka Tobiasza". W istocie skazany został za to, że powoływał się na wpływy w Komisji Weryfikacyjnej, których faktycznie nie miał. Jednak z akt śledztwa wynika, że mimo braku możliwości Lichocki oferował różnym osobom nie tylko pozytywną weryfikację, lecz także usunięcie z treści raportu z weryfikacji WSI nazwisk współpracowników

СВИДЕТЕЛЬСТВО

Certyfikat KGB Aleksandra Lichockiego FOT. IPN

WSI oraz zakup całości tzw. aneksu do raportu z weryfikacji WSI.

Wszystko to było możliwe dzięki wsparciu politycznemu polityków PO z ówczesnym marszałkiem Sejmu Bronisławem Komorowskim na czele. Jedynie z ostrożności procesowej nie zamierzam tu opisywać inspiracyjnej roli polityków, urzędników gabinetu Donalda Tuska i ludzi służb specjalnych w kreowaniu medialnego wizerunku całego procesu likwidacji i weryfikacji WSI. Najtrafniej ujął tę postawę Lech Kaczyński, zauważając, że przez „gwałtowny zwrot Platformy Obywatelskiej" ludzie WSI „stali się w pewnym sensie częścią układu władzy" (Ł. Warzecha, „Lech Kaczyński. Ostatni wywiad", Warszawa 2010, s. 146).

Jedno nie ulega wątpliwości: rząd Tuska dysponował wszystkimi narzędziami, by niemal u zarania „afery marszałkowej" uznać ją za całkowicie dętą, ale dopiero zaangażowanie polityków Platformy, uruchomienie służb specjalnych i mediów uczyniło z niej faktyczną prowokację polityczną wymierzoną w PiS. Wystarczy wspomnieć, że przynajmniej od marca 2008 r. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów znała rzeczywisty skład Komisji Weryfikacyjnej WSI, przez co od razu można było założyć, że opowieści Tobiasza i Lichockiego o skorumpowanych członkach komisji (w której w ogóle nie zasiadali) są ordynarną konfabulacją. Sfabrykowane dowody o rzekomej korupcji i handlu aneksem przez ludzi Macierewicza nigdy nie zostały w istocie zakwestionowane przez śledczych z ABW i prokuratury. Zresztą ABW myliła się nawet w najdrobniejszych kwestiach, żeby posłużyć się tu jedynie „ustaleniem" (zaangażowanej w sprawę kpt. Marzeny Przybysz), że Pietrzak pełnił funkcję naczelnika Biura Edukacji Publicznej w lubelskim IPN, podczas gdy nigdy nie pracował w tym pionie IPN i nie pełnił żadnych funkcji kierowniczych w instytucie.

Nawet Agora zwracała śledczym uwagę, że wikłają się w prowokację. W piśmie z 13 czerwca 2008 r. do Prokuratury Krajowej władze Agory protestowały przeciwko próbie „wpisywania" spółki w „sprawę o przestępczym charakterze", kategorycznie zaprzeczając, aby kiedykolwiek Agora „planowała nabycie aneksu do raportu o WSI" lub w ogóle była nim kiedy bądź zainteresowana. Całość działań prokuratury Agora uznała za „pomówienie i bezprawne godzenie w dobra osobiste" spółki, takie jak „wiarygodność, renoma, dobra sława". „Protestujemy przeciwko takiemu instrumentalnemu wykorzystywaniu nazwy naszej spółki i narażaniu na szwank jej dobrego imienia" – głosili przedstawiciele spółki.

„Afera marszałkowa" spełniła swoją rolę w jednym aspekcie: zahamowała i zakończyła proces likwidacji (a w zasadzie weryfikacji) WSI na skutek postawy i działań rządu Tuska. Doszło do rozbicia i paraliżu prac Komisji Weryfikacyjnej WSI, przejęcia przez rząd całości dokumentacji Komisji Weryfikacyjnej WSI, ponownego utajniania materiałów historycznych o ludziach wojska w zbiorze zastrzeżonym IPN, uruchomienia niezgodnego z prawem procesu przywracania żołnierzy WSI do służby, działań operacyjno-śledczych w stosunku do likwidatorów WSI, stworzenia negatywnego klimatu medialno-społecznego wokół likwidacji WSI, w tym personalnych ataków na prezydenta RP, wprowadzenia do prac i konsultacji sejmowych ludzi WSI… Wszystko to wpisywało się w klimat resetu z Rosją.

W tym sensie Aleksander Lichocki, choć był winien – ale nie on jeden – udziału w prowokacji przygotowanej przez Leszka Tobiasza, stał się kozłem ofiarnym systemu Platformy. Podobno wyszedł już z więzienia. Jego syn – komandor porucznik dr Ernest Lichocki – odszedł z wojska jesienią 2010 r. Był i jest cenionym wykładowcą wojskowych uczelni, gdzie często w trybie niejawnym zajmował się symulacjami wojen i gier wojennych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W cieniu Bieszczadów

W powszechnej świadomości areną powojennego konfliktu między polską władzą komunistyczną a ukraińskim podziemiem były Bieszczady. To tam działały najgłośniejsze sotnie UPA, to tam zginął Świerczewski. To głównie Bieszczady kojarzą się z akcją „Wisła".

Tymczasem nie mniej dramatyczne wydarzenia rozegrały się na Pogórzu Przemyskim. Właśnie temu terytorium swoją nową książkę poświęcił Stanisław Kryciński. Podróżnik, popularyzator historii, niezrównany gawędziarz. Miłośnik i znawca południowo-wschodniej Polski. Autor serii ciekawych książek o Łemkowszczyźnie.

Kryciński w nowej książce pisze m.in. o słynnej obronie Birczy i zbrodniach popełnionych przez obie strony konfliktu. Gdy czyta się te fragmenty książki, czytelnika ogarnia groza. Wielonarodowy, wielowyznaniowy świat, który istniał na Pogórzu od wieków, został unicestwiony.

„Pod koniec XIX stulecia – pisze autor – rodzące się nacjonalizmy, polski i ukraiński, uznały San, pomiędzy Sanokiem a Przemyślem, za granicę etniczną. Prymitywne ideologie potrzebują prostych rozwiązań. To rozgraniczenie przyniosło tragiczne skutki w latach 1944–1947. Jeżeli nie mieszkało się po »właściwej« stronie Sanu, narażało się, w lepszym wypadku na wygnanie za San, a w gorszym na śmierć".

W tym przypadku – dodajmy – nacjonalizmom w sukurs przyszedł bolszewizm, który ostatecznie przemeblował Europę Środkowo-Wschodnią według kryteriów etnicznych.

W książce „Pogórze Przemyskie. W krwawym zakolu Sanu" przedstawione zostały również sprawy mniej znane. Jak historia wsi Jawornik Ruski, w której w 1815 r. urodził się Mychajło Werbycki. Autor melodii do ukraińskiego hymnu „Szcze ne wmerła Ukrajina". Sam kilka lat temu byłem w Jaworniku i oglądałem to, co zostało (a raczej nie zostało) z miejsca urodzenia Werbyckiego.

Książka Krycińskiego została opatrzona dużą liczbą map, zdjęć i rysunków przedstawiających miejscowe cerkwie. Jej największą zaletą jest jednak obiektywizm. A więc – Drogi Czytelniku – zapakuj „W krwawym zakolu Sanu" do plecaka i wybierz się na Pogórze Przemyskie. Śladami tragicznej, a jednocześnie fascynującej historii. ©℗

★★★★★★

STANISŁAW KRYCIŃSKI
„POGÓRZE PRZEMYSKIE. W KRWAWYM ZAKOLU SANU"
LIBRA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Minaret w Kamieńcu Podolskim

Kiedy w 1672 r. wybuchła wojna polsko-turecka, Rzeczpospolita okazała się całkowicie nieprzygotowana na konflikt. Potężna armia padyszacha ruszyła na Podole, a głównym celem ataku był Kamieniec Podolski, który dotychczas nigdy wcześniej nie został zdobyty. Legenda głosi, że kiedy pod murami twierdzy stanęła po raz pierwszy armia turecka, sułtan zdziwiony zapytał, kto zbudował taką twierdzę. Usłyszawszy, że Allach, zniechęcony powiedział: „To niech Allach sam ją sobie zdobywa" i nakazał odwrót.

Jednak tym razem Rzeczpospolita Obojga Narodów była zupełnie bezsilna. Ćwierć wieku ciężkich wojen wyczerpało siły państwa, a politycy polscy nie potrafili dojść do porozumienia z Kozakami. Hetman Doroszenko oficjalnie poddał się sułtanowi i na Kamieniec ruszył razem z Turkami i Tatarami. Twierdza była mocno zaniedbana, murów i bastionów obronnych nie remontowano od wielu lat, a jej załoga wyjątkowo szczupła. Dlatego nie jest prawdą opis Henryka Sienkiewicza czy sceny z filmu Jerzego Hoffmana, że walki pod Kamieńcem były wyjątkowo zajadłe. Obrona trwała bowiem zaledwie 10 dni, gdyż armia sułtana dysponowała potężną artylerią, która czyniła spustoszenia, a saperzy muzułmańscy kopali pod ziemią korytarze i zakładali miny.

Kamieniec skapitulował i niebawem wraz z całym Podolem przeszedł pod władzę Turcji. Katedrę katolicką zamieniono w meczet i zbudowano przy niej minaret. Gdy ponad ćwierć wieku później Rzeczpospolita odzyskała Podole z Kamieńcem (klucze do miasta i zamku przekazano polskim wysłannikom 12 września 1699 r.), to zgodnie z traktatem pokojowym zachowano minaret, chociaż katedra powróciła do roli świątyni chrześcijańskiej. W kościele Dominikanów zachował się także minbar (turecka kazalnica) przetransportowany do miasta z Konstantynopola i pozostawiony z tych samych powodów co minaret. To chyba jedyny przypadek na ziemiach Rzeczypospolitej, gdy świątyni katolickiej towarzyszy wyposażenie charakterystyczne dla świata islamu. Nie zmienia to jednak faktu, że na szczycie minaretu umieszczono sprowadzoną z Gdańska miedzianą figurę Matki Boskiej i mimo zmian politycznych i światopoglądowych pozostało tak do dzisiaj.

Natomiast co do samego oblężenia Kamieńca, a szczególnie prawdy i legendy na temat „małego rycerza" i jego śmierci, to powrócę do tematu w jednym z kolejnych felietonów. Podobnie jak do spraw uczuciowych Wołodyjowskiego, które wyglądały zupełnie inaczej niż przedstawił to Henryk Sienkiewicz, a powtórzył Jerzy Hoffman. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Z Sohrabem Ahmarim, irańsko-amerykańskim felietonistą, autorem książek non-fiction i redaktorem naczelnym „New York Post"
rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. GAGE SKIDMORE/SURPRISE

Granice dają wolność

PIOTR WŁOCZYK: Niedawno w „New York Post" ukazał się bardzo ciekawy felieton pańskiego autorstwa, w którym opisuje pan klimat wśród liberalnych elit w Nowym Jorku. Co pan słyszy od tych ludzi?

SOHRAB AHMARI: Mieszkam w Nowym Jorku i znam wielu przedstawicieli liberalnych elit tej metropolii, którzy mają dzieci w wieku szkolnym. Podejrzewam, że dla dużej części z nich jestem jedynym konserwatystą, którego znają. Coraz częściej podchodzą do mnie podczas imprez, przysiadają się na ławeczce na placu zabaw, gdy jesteśmy z dziećmi, i niemal szepcząc, mówią: „W naszych szkołach dzieją się wariactwa". Pamiętajmy przy tym, że elita wysyła swoje dzieci do prywatnych szkół, za które rodzice muszą płacić nawet 50 tys. dol. rocznie.

Co to za „wariactwa"?

Okazuje się, że nawet ludzie, którzy są twardym elektoratem demokratów i nienawidzą prawicy, rozumieją, że ich dzieciom sączy się do głów coraz bardziej nieprawdopodobne rzeczy. Dziś to już nie tylko wypaczona wizja tolerancji i ludzkiej natury, lecz także sprawy rasowe, które uderzają w nich samych. Biali mają się wstydzić swojego koloru skóry. Ta indoktrynacja dotyczy nie tylko dzieci, lecz także rodziców. W najbardziej elitarnych szkołach również rodzice zapraszani są do szkół na „pogadanki". Siedząc w kółeczkach, dyskutują przy takich okazjach o „białych przywilejach" i „męskich przywilejach". Najwięksi zwolennicy rewolucji społecznej przyklaskują temu, ale już ludzie o odrobinę mniej radykalnych poglądach zaczynają się drapać po głowie i zastanawiać, do czego to tak właściwie prowadzi... Na razie to dowód anegdotyczny, bo nasilenie walki rasowej jest względnie świeżą rzeczą, ale mam wrażenie, że to coraz większy problem po liberalnej stronie amerykańskiej sceny politycznej.

Bez wątpienia szkoły to dziś jedna z najważniejszych, jeżeli nie najważniejsza, aren starcia cywilizacyjnego.

Tak, ale rodzice, którzy szeptem zwierzają mi się ze swoich obaw, najpewniej nie zrobią niczego, by to zmienić. Za bardzo boją się kierownictwa szkoły, od którego zależy przyszłość ich pociech. Jednak już ludzie mniej zamożni, mieszkający poza wielkimi miastami, chcą działać. Widać, że skrzykują się, żeby mieć większość w ciałach kontrolujących szkoły i w ten sposób próbować powstrzymać to szaleństwo.

A czy liberalne elity z wielkich miast uderza też, że do szkół, a nawet przedszkoli, przychodzą drag queen?

To już kompletnie inna sprawa, bo dla liberalnych elit tematyka LGBT ma status parareligijny. Jeżeli już ktoś narzeka na nachalną promocję tej ideologii, to robi to tak cicho, że nic nie słychać [śmiech]. Dla tego segmentu amerykańskiego społeczeństwa tęczowa flaga jest już właściwie ważniejsza od amerykańskiej

eprasa.pl 45e9aec525

flagi. Ta ostatnia to dla nich coraz częściej symbol opresji. Jak widać, jesteśmy w środku gwałtownej rewolucji kulturowej. Pytanie tylko, czy to wszystko jest wypaczeniem oryginalnego liberalizmu, czy tak wygląda po prostu naturalna kontynuacja tego prądu myślowego?

Jakiej odpowiedzi pan udziela?

Na amerykańskiej prawicy generalnie mówi się, że to wynaturzenie XVIII--wiecznego liberalizmu, ale ja jestem tu po stronie polskiego filozofa prof. Ryszarda Legutki, który twierdzi, że walka z Kościołem, z naturą kobiety i mężczyzny stworzonych na podobieństwo Boga to właśnie konsekwencja liberalizmu. Jeżeli dziś wynosimy na piedestał ludzką autonomię, to nie wystarczy samo ogłoszenie, że mężczyzna uważa się za kobietę. To zdecydowanie za mało. Chodzi o to, żeby wszyscy dokoła to uznali i „świętowali". I dlatego ta rewolucja jest tak agresywna i zmierza do przymuszania ludzi do uległości wobec mainstreamu.

Liberalizm miał stworzyć komfortowe warunki neutralności, by wszystkim się żyło dobrze. Tak to wygląda w teorii.

Problem w tym, że żądanie neutralności pojawiało się, gdy liberalizm był słaby. Kiedy jednak liberalne elity osiągają – tak jak dziś na Zachodzie – dominację w sferze gospodarczej i politycznej, neutralność to zdecydowanie za mało. Te elity nie znoszą sprzeciwu i wykorzystują swoją potęgę, by przymuszać innych do zaakceptowania ich wizji świata. Cenzura w mediach społecznościowych to dopiero początek. Wiele wskazuje na to, że niepokorni przedstawiciele prawicy będą wkrótce odcinani od usług finansowych świadczonych przez największe korporacje. Już słyszymy o takich planach. Oczywiście będzie to opakowane jako element „walki z mową nienawiści".

Brzmi pan bardzo pesymistycznie.

Prawicy grozi kompletna marginalizacja, jeżeli nie będziemy bili na alarm. Mam dwoje małych dzieci, sam jako dziecko przybyłem tu z Iranu i nie mam innej ojczyzny niż Ameryka. Będę o nią walczył i zrobię wszystko, by USA nie zamieniły się w piekło na ziemi. Czeka nas ostra walka liberalnych elit ze wszystkimi, którzy uznają prawo naturalne. Nie tylko z nami, chrześcijanami, lecz także z muzułmanami czy żydami.

Walka z wyznawcami judaizmu jest chyba jednak o tyle trudna, że druga strona zawsze może wysunąć oskarżenie o antysemityzm, co na amerykańskiej lewicy jest równoznaczne ze śmiercią cywilną...

Dla chcącego nic trudnego. Liberałowie mimo wszystko będą wywierali presję na wierzących żydów. Widzimy to już w całej „okazałości" w Wielkiej Brytanii, gdzie władze biorą na celownik nie tylko szkoły katolickie, lecz także muzułmańskie i żydowskie za sprzeciw wobec nauczania nowej biologii i seksualizacji dzieci. W tej wojnie cywilizacyjnej nie ma immunitetu.

Czy ta wojna jest w ogóle do wygrania dla prawicy, skoro niczym nieograniczona wolność tak dobrze się „sprzedaje" w najmłodszym pokoleniu?

Myślę, że jest pewna szansa. W Ameryce triumfy święci słowo „wokeness" [postawa społeczna charakteryzująca się wyczuleniem na lewicowo pojmowane kwestie równości i rasizmu – przyp. red.]. Prawicowcy mówią, że to lewactwo, marksizm, ale przecież największe korporacje ochoczo wspierają „wokeness" wielkimi sumami. Dlaczego? Bo w niczym nie zagraża ich interesom finansowym, a wręcz jest to im na rękę. W ten sposób w kraju rządzonym przez rewolucjonistów spod znaku „wokeness" biedni wciąż są biedni, a jedyną realną zmianą jest to, że wśród najwyższej kadry nie ma już tylu białych twarzy, bo wprowadza się parytety. Mam wrażenie, że to jest szansa dla tradycjonalistów.

Tylko że w USA republikanie wspierają wielki biznes. Z drugiej jednak strony w Polsce czy na Węgrzech prawica jest bardzo prosocjalna.

I moim zdaniem amerykańska prawica również powinna pójść w tę stronę. Demokraci są sojusznikami korporacyjnych gigantów, którzy chcą wywrócić USA do góry nogami. Czas, by republikanie zmienili swoją strategię.

Na temat rewolucji, która walczy z tradycją, napisał pan właśnie książkę. Wygląda na to, że swój udział miał tu... św. Maksymilian Kolbe.

Tak. Nazwałem swojego syna na cześć św. Maksymiliana Kolbego. Kilka lat temu nawróciłem się na katolicyzm. Chociaż pochodzę z Iranu, to byłem ateistą. W procesie nawracania dużo czytałem o waszym świętym. Tak bardzo przemówiła do mnie jego historia, że uznałem, iż będzie to najlepszy patron dla mojego dziecka.

Boję się, że dorastając, mój Max będzie – mimo moich starań – nasiąkał bardzo złym przekazem z zewnątrz. Chyba nie muszę nawet wymieniać wszystkich tych zagrożeń. Boję się, że w końcu przestanie przez to rozumieć poświęcenie św. Maksymiliana Kolbego. Jak to się stało, że ktoś był gotów oddać życie dla drugiego, nieznanego człowieka? I dlatego napisałem tę książkę. Nie chcę, żeby ta wielka ofiara stała się nieczytelna dla mojego syna. W mojej książce piszę o tradycji przekazywanej kolejnym pokoleniom. Nie tylko zresztą chrześcijańskiej, lecz także żydowskiej, a nawet konfucjańskiej.

Nie za duży ten rozstrzał?

To może się wydawać bardzo rozstrzelone, ale widać tu jednak wspólny mianownik – każda wielka tradycja pokazuje, że nasze życie ma pewne naturalne granice. I paradoksalnie to właśnie te granice sprawiają, że jesteśmy wolni. Dzięki nim możemy korzystać z pełni człowieczeństwa. Tymczasem usunięcie limitów sprawia, że nie zyskujemy na wolności, a tracimy sens człowieczeństwa.

Kwintesencją jest oczywiście ideologia gender i „wyzwolenie" z płci.

To ciekawe, że nowy porządek, który wykuwa się w świecie zachodnim, zachowuje jednak pewne pozory. Ostatnio moją uwagę zwrócił tekst w „New York Timesie" o nowym głównym kapelanie na Uniwersytecie Harvarda, który jest... ateistą.

[Śmiech] Jak sensownie skomentować taką informację? Tylko pozornie jednak nie widać tu sensu. W rzeczywistości mamy bowiem do czynienia z bardzo przebiegłą strategią. Lata temu komuniści wypowiedzieli otwartą wojnę religii. To otwarte starcie zraziło do nich wiele osób. Nowi rewolucjoniści postępują już dużo bardziej subtelnie. To genialne w swojej prostocie i tym bardziej niebezpieczne dla ludzi, którzy chcą uratować naturalny porządek świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Sohrab Ahmari** – jest amerykańskim publicystą konserwatywnym pochodzenia irańskiego, publikuje m.in. w dzienniku „New York Post" i magazynie „Catholic Herald". W USA ukazała się w tym roku jego najnowsza książka pt. „The Unbroken Thread: Discovering the Wisdom of Tradition in an Age of Chaos" („Niezerwana nić. O odkrywaniu mądrości tradycji w czasach chaosu").*

eprasa.pl 45e9aec525

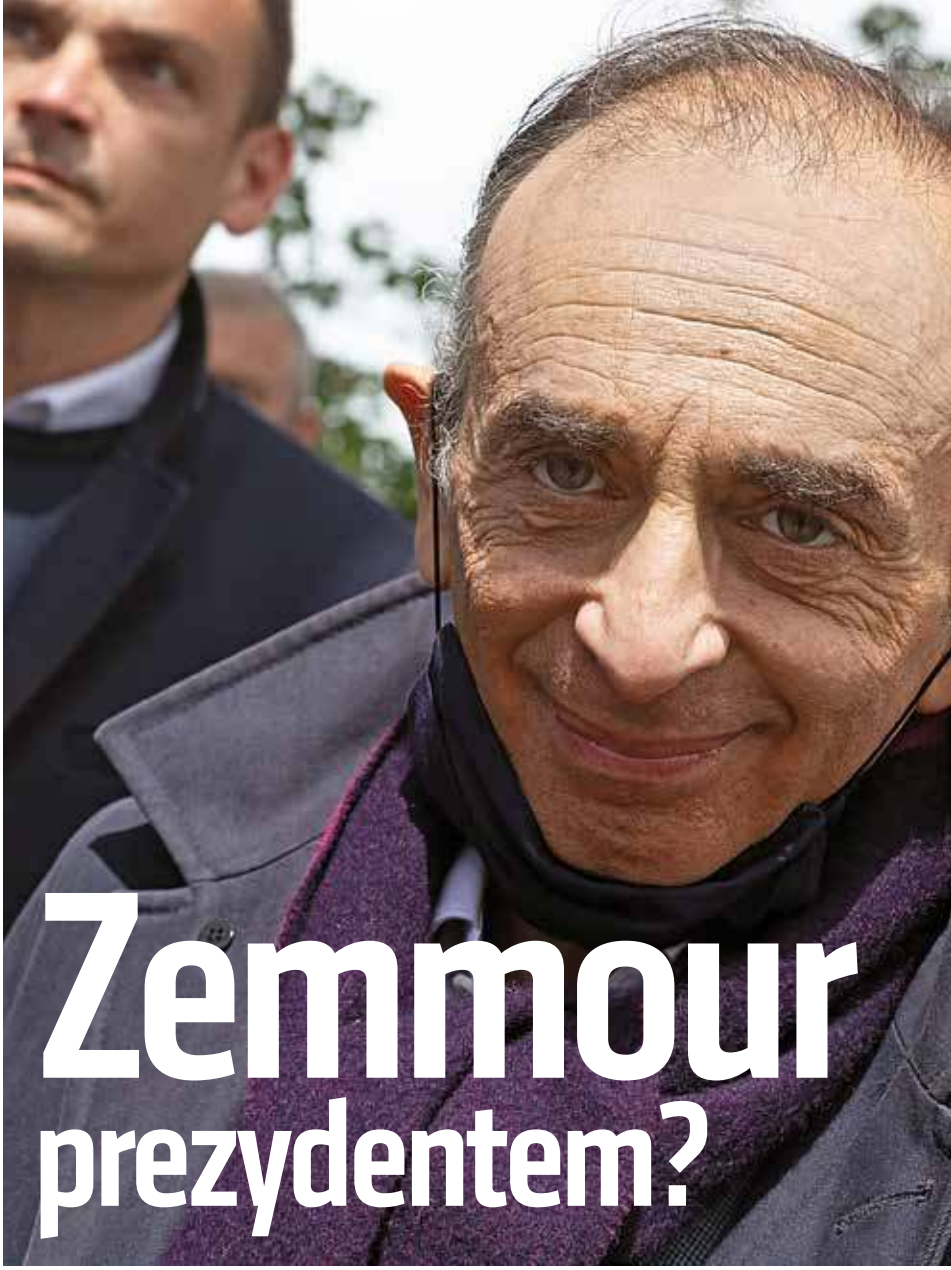

Zemmour prezydentem?

Olivier Bault

Czy Francja doczeka się swojego Trumpa? Francuski publicysta Éric Zemmour może wystartować w wyborach prezydenckich. To poważny kłopot dla Marine Le Pen

Wiele dzieli byłego amerykańskiego prezydenta od popularnego francuskiego publicysty Érica Zemmoura, którego kandydatura w wyborach prezydenckich wydaje się coraz bardziej prawdopodobna (zwłaszcza po dotkliwej czerwcowej porażce partii Marine Le Pen w wyborach samorządowych). Obaj mają też jednak coś wspólnego. Poza tym, że podobnie jak Trump Francuz przystąpiłby do wyścigu o prezydenturę spoza świata polityki (ale raczej bez poparcia jednej z głównych partii – w przeciwieństwie do Amerykanina), ma też jasne, politycznie niepoprawne postulaty na temat imigracji, które są zbieżne z postulatami większości społeczeństwa. Poza tym obaj mają raczej konserwatywne poglądy, nie boją się mówić krytycznie o islamizacji Zachodu, o ideologii gender i wzbudzają entuzjazm wśród swoich zwolenników, w których dominującą grupą są tzw. zwykli ludzie, przeważnie biali.

Obaj stali się popularni dzięki telewizji: Donald Trump jako animator reality show, Éric Zemmour jako dziennikarz i publicysta.

Zemmour, podobnie jak Trump, otwarcie krytykuje globalizację i jest zwolennikiem obrony interesów narodowych i reindustrializacji kraju, jednak w odróżnieniu od Amerykanina Francuz nie jest orędownikiem nieskrępowanego liberalizmu ekonomicznego. Éric Zemmour jest też przeciwieństwem Donalda Trumpa, jeśli chodzi o styl i formę publicznych wystąpień. To błyskotliwy intelektualista i człowiek o wielkiej kulturze.

ZMARTWIENIE LE PEN

Od wielu miesięcy Éric Zemmour daje do zrozumienia, że nie wyklucza startu w wyborach, lecz decyzji jeszcze nie ogłosił. Głośno mówiło się o tym w czerwcu – jeszcze przed porażką Le Pen w wyborach samorządowych, kiedy to jej partia straciła prawie jedną trzecią radnych w stosunku do ostatnich wyborów regionalnych w 2015 r. W badaniu opinii publicznej sondażowni Ifop aż 18 proc. wyborców byłoby gotowych zagłosować na Zemmoura, jeśli będzie kandydował: 5 proc. twierdziło, że zagłosuje na niego na pewno, a 13 proc., że prawdopodobnie tak zrobi. To za mało, aby wygrać wybory prezydenckie, ale wcale nie tak mało, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że kontrowersyjny dziennikarz nie stoi na czele żadnej partii politycznej i nie ogłosił nawet swojej kandydatury! Przy tym od wielu miesięcy dwaj do niedawna murowani faworyci – prezydent Emmanuel Macron oraz liderka Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen – oscylują cały czas w granicach 24–28 proc. poparcia w większości badań opinii publicznej.

Najwięcej powodów do zmartwień z powodu ewentualnej kandydatury Zemmoura mają oczywiście Marine Le Pen oraz centroprawica, gdyż to w ich elektoracie znajdują się zwolennicy publicysty. „To dla nas raczej zagrożenie niż rozwiązanie" – martwił się Damien Abad, przewodniczący grupy Republikanie (LR) w Zgromadzeniu Narodowym, w lipcowej rozmowie z „Le Figaro".

Dla LR zagrożenie polega na tym, że tama – zwana przez jej promotorów „frontem republikańskim" – oddzielająca partię Le Pen od innych partii mogłaby zacząć pękać i część polityków LR mogłaby poprzeć Zemmoura, jeśli centroprawica wybierze kandydata o poglądach zbyt podobnych do wizji Macrona. Takich potencjalnych kandydatów-postępowców jest w LR co najmniej kilku. Z kolei, jeśli kandydatem LR będzie konserwatysta

eprasa.pl 45e9aec525

Éric Zemmour na razie nie ogłosił nawet oficjalnie startu, a już sondaże dają mu wysokie wskazania

FOT. GEORGES GONON-GUILLERMAS/HANS LUCAS AGENCY/FORUM

z prawego skrzydła partii, jak np. były szef LR Laurent Wauquiez, świeżo wzmocniony triumfem własnej listy w czerwcowych wyborach do regionu Auvergne-Rhône-Alpes, wtedy kandydatura Zemmoura może spowodować rozdrobnienie konserwatywnego elektoratu.

Jeszcze przed czerwcowymi wyborami samorządowymi obecny p.o. przewodniczący RN (na czas kandydowania Marine Le Pen w wyborach prezydenckich) Jordan Bardella twierdził, także w „Le Figaro", że „jedynym, który cieszy się z ewentualnej kandydatury Érica Zemmoura w wyborach prezydenckich, jest Emmanuel Macron". I przekonywał, że „Marine Le Pen jest jedyną osobą, która jest w stanie pokonać Emmanuela Macrona".

Sęk w tym, że nie wszyscy po prawej stronie podzielają zdanie Bardelli. Dla wielu prawicowych komentatorów obecność Le Pen w drugiej turze jest najlepszą gwarancją wygranej Macrona i dlatego też ten ostatni robi wiele, aby do takiej sytuacji doprowadzić. Jak pokazały niedawne wybory samorządowe, wysiłki Le Pen, aby wygładzić wizerunek swojej partii i przeciwdziałać polityce „diabolizacji", której RN, a wcześniej Front Narodowy (FN), jest przedmiotem ze strony francuskiego salonu, nie skutkują napływem oczekiwanych rzeszy centroprawicowych wyborców. Jednocześnie zachowanie Le Pen coraz bardziej demotywuje tradycyjny elektorat Frontu Narodowego. W kręgach konserwatywnych zarzuca się jej, że oczyszcza partię z liderów, którzy są zbyt konserwatywni, zbyt katoliccy lub zbyt skoncentrowani na obronie tożsamości narodu francuskiego. Według francuskiego konserwatywnego tygodnika „Valeurs Actuelles" po zeszłorocznej czystce – w wyniku której konserwatywny katolik Nicolas Bay, będący członkiem komitetu wykonawczego RN, został usunięty z komisji odpowiedzialnej za nominowanie kandydatów RN do wyborów – obecnie trwa nowa czystka zapoczątkowana po czerwcowej porażce, której ofiarą padają konserwatyści i stara gwardia partii. Inni sami odchodzą. Tak się stało parę miesięcy temu z bardzo medialnym Francuzem egipskiego pochodzenia koptyjskiego Jeanem Messihą zniechęconym zbyt poprawnym dyskursem Marine Le Pen na temat islamu.

W przeciwieństwie do Érica Zemmoura i Jeana Messiha Marine Le Pen nie pojawiła się na policyjnej demonstracji 19 maja, kiedy – po kolejnych brutalnych atakach na ich kolegów i koleżanki – policjanci domagali się większej surowości wobec napastników atakujących funkcjonariuszy organów ścigania. I choć skrytykowała podjętą na początku roku przez rząd Jeana Castexa bezprecedensową decyzję o rozwiązaniu ruchu młodych patriotów Génération Identitaire za głośne sprzeciwianie się nielegalnej imigracji, to jednak zabroniła czołowym członkom partii brania udziału w demonstracji przeciwko tej decyzji rządowej w obawie przed atakami mediów i polityków głównego nurtu.

Poza tym, podobnie jak inni deputowani RN, liderka ugrupowania nie wzięła udziału w głosowaniu przeciwko ustawie bioetycznej pod koniec czerwca, mimo że ustawa ta wprowadza medycznie wspomaganą prokreację dla lesbijek i samotnych kobiet oraz mocno liberalizuje badania na ludzkich embrionach, realizując tym samym postulaty najbardziej radykalnej postępowej lewicy. Marine Le Pen i jej partia bardzo krytycznie odnoszą się do tej ustawy, ale ich absencja w Zgromadzeniu Narodowym sprawia, że są mało wiarygodni – także wtedy, gdy bezstają wyborców, którzy nie pofatygowali się, by pójść do urn w wyborach regionalnych i departamentalnych. I choć w wyborach prezydenckich w 2017 r. Marine Le Pen obiecywała, że uchyli

REKLAMA

ZAPRASZAMY DO PIWNICZNEJ!

FESTIWAL BIEGOWY

10-12 WRZEŚNIA
PIWNICZNA-ZDRÓJ

3 DNI • PONAD 20 BIEGÓW • PONAD 300 km TRAS
PULA NAGRÓD 450 000 PLN • LOSOWANIE AUTA

WWW.FESTIWALBIEGOW.PL

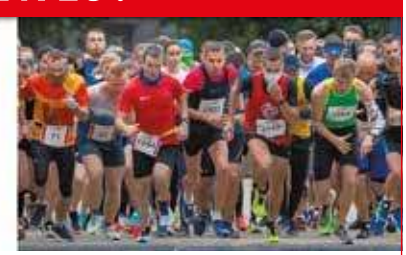

PARTNERZY

Miasto i Gmina Piwniczna-Zdrój
Nowy Sącz
Gmina Rytro
newac
Koral
Muszynianka
POWER CANVAS

eprasa.pl 45e9aec525

ustawę, która wprowadziła we Francji „homomałżeństwa", RN wycofał się już z tej obietnicy. Małżeństwa osób tej samej płci nie są już problemem dla partii Le Pen i można się domyślać, że to samo prawdopodobnie stanie się wkrótce z medycznie wspomaganą prokreacją dla lesbijek. Jednym słowem – RN sprawia wrażenie, że podąża tą samą drogą, którą poszła wcześniej centroprawica.

LEKCEWAŻENI I UPOKARZANI

Po klęsce RN w wyborach regionalnych Jean-Marie Le Pen, historyczny lider Frontu Narodowego i ojciec obecnej przewodniczącej, doradził partii, by „odkryła na nowo swoją męskość". Podczas gdy wiele z diagnoz postawionych przez Front Narodowy w latach 80., zwłaszcza w dziedzinie imigracji i islamizacji, znajduje obecnie potwierdzenie w rzeczywistości, Jean-Marie Le Pen wzywa do powrotu do „pozycji, które uczyniły Front Narodowy silnym i dały mu nadzieję na rozwój".

Francuz Jean-Yves Le Gallou – dawny członek Frontu Narodowego i znany komentator prawicowych mediów alternatywnych, założyciel konserwatywnego think tanku Polemia i organizator corocznej nagrody Bobards d'Or, która zainspirowała Donalda Trumpa do stworzenia konkursu Fake News Awards (szyderczej ceremonii przyznawania nagród dla dziennikarzy i mediów mainstreamowych, będących autorami największych kłamstw i manipulacji minionego roku) – w artykule opublikowanym pod koniec czerwca wymieniał, kto jest potencjalnym wyborcą Érica Zemmoura. Według niego to wyborcy centroprawicowej partii LR, którzy masowo głosowali na François Fillona w prawyborach poprzedzających ostatnie wybory prezydenckie, a później na Laurenta Wauquieza w wewnątrzpartyjnych wyborach na lidera partii, wyborcy partii Marine Le Pen przywiązani do tożsamości narodowej Francji, którzy czują się teraz lekceważeni i upokarzani przez obecnych przywódców RN, oraz coraz liczniejsze rzesze tych, którzy przestali głosować w wyborach i czekają na prawdziwą alternatywę spoza układu politycznego, którego RN stał się w ich oczach częścią.

Osoby bliskie Zemmourowi zapewniają, że kandydatura publicysty jest pewna „na 100 proc." i że publicysta tylko czeka na odpowiedni moment, aby ją ogłosić. Prawdopodobnie wstrzymuje się z tym, aby móc dłużej korzystać ze swojego statusu popularnego wśród „zwykłego ludu", lecz znienawidzonego przez większość dziennikarzy komentatora telewizji CNews i dziennika „Le Figaro".

Zemmour rok temu został ukarany przez sąd grzywną 10 tys. euro m.in. za słowa o emigrantach kolonizujących Francję

BESTSELLERY I ROZGŁOS

Tymczasem, pomimo braku oficjalnej decyzji, pojawiają się już oddolne inicjatywy poparcia dla jego kandydatury, takie jak Génération Z (Pokolenie Z) czy Les amis d'Éric Zemmour (Przyjaciele Érica Zemmoura). Kolektywy te organizują spotkania i prężnie działają w mediach społecznościowych na rzecz wyboru Zemmoura na prezydenta. Les amis d'Éric Zemmour zostało oficjalne zatwierdzone 30 czerwca jako stowarzyszenie mające na celu finansowanie działalności politycznej i może odtąd zbierać fundusze na kampanię wyborczą. Dzień wcześniej wydawnictwo Albin Michel ogłosiło, że nie wyda kolejnej książki popularnego publicysty, gdyż ma on zamiar „przystąpić do wyborów prezydenckich i uczynić swoją książkę kluczowym elementem własnej kandydatury". Każda kolejna książka Zemmoura to bestseller, a ta pod tytułem „Le suicide français" („Samobójstwo Francji") wydana w 2014 r. przekroczyła nawet próg pół miliona sprzedanych egzemplarzy.

Tuż po drugiej turze wyborów samorządowych, która odbyła się 27 czerwca, w ok. tysiącu miast na bezużytecznych już plakatach wyborczych pojawiły się nadklejone plakaty z wizerunkiem Zemmoura, na których widniał napis: „Zemmour na prezydenta". Była to inicjatywa kolektywu Génération Z. Jego lider, określający siebie jako prawicowy katolik, chwalił się akcją 500 działaczy, którym udało się rozwiesić 10 tys. takich plakatów w całej Francji.

Dodatkowego rozgłosu przysparzają Zemmourowi kolejne procesy sądowe wytaczane mu przez różnej maści lewicowe organizacje z powodu jego krytycznych słów na temat islamu i imigracji. Najbliższa rozprawa ma odbyć się 8 września i dotyczy słów wypowiedzianych w publicystycznym programie, który współprowadzi w telewizji CNews. Został oskarżony o rasizm, ponieważ powiedział, że skoro wśród „nieletnich" imigrantów podróżujących bez opieki są gwałciciele, mordercy i terroryści, to dla bezpieczeństwa Francuzów nie powinno przyjmować się ani jednego takiego imigranta.

Rok temu Zemmour został ukarany przez sąd grzywną 10 tys. euro za słowa wypowiedziane w 2019 r. podczas konferencji pozapartyjnych środowisk prawicowych, mówiące o islamskiej konkwiście Francji, o imigrantach-kolonizatorach, o sojuszu totalitaryzmu islamskiego z totalitaryzmem zachodniej ideologii postępu, które chcą razem zniszczyć Francję i Francuzów, zanim skoczą sobie do gardła na wzór totalitaryzmów nazistowskiego i sowieckiego po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Po tej wypowiedzi został wyrzucony z kilku redakcji, z którymi współpracował. Związek dziennikarzy „Le Figaro" również wnioskował, ale bezskutecznie, o zerwanie z nim współpracy. Zemmour stracił miejsce m.in. w cotygodniowej audycji w rozgłośni RTL, znalazł za to zatrudnienie w programie publicystycznym telewizji CNews należącej do miliardera Vincenta Bolloré, na którego poparcie może liczyć. Od tego momentu program ten bije kolejne rekordy oglądalności.

Urodzony w 1958 r. we Francji w rodzinie żydowskiej, która opuściła Algierię w czasie toczącej się tam wojny o niepodległość, Zemmour sam o sobie mówi, że jest Żydem berberskiego pochodzenia, ale przede wszystkim Francuzem, a Francji „błogosławi" za to, że skolonizowała jego północnoafrykańskich przodków. Istnieje jednak we Francji bariera, która może być poważną przeszkodą na jego drodze do prezydentury. Marine Le Pen coś o tym wie, gdyż przed każdymi wyborami prezydenckimi boryka się z tym samym problemem: aby stanąć do wyborów prezydenckich we Francji, należy zebrać minimum 500 podpisów merów, posłów, senatorów, europosłów lub radnych zasiadających w radach regionów lub departamentów. Ponadto Zemmourowi może być łatwiej zbierać te podpisy niż Le Pen, gdyż jego kandydatura prawdopodobnie przekreśliłaby szanse tej ostatniej, aby dostać się do drugiej tury wyborów. Można założyć się, że wielu polityków francuskiego salonu nie będzie chciało przegapić takiej okazji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

FOT. ADOBE STOCK

PAŃSTWOWE OGRANICZENIE NA GRANIE

Chiny wzięły się do rozwiązania problemu gier on-line wciągających dzieci i młodzież. Nowy państwowy regulamin ograniczył ilość czasu, jaką osoby poniżej 18. roku życia mogą spędzać na takiej rozrywce. Młodzież będzie mogła grać jedynie w piątki, weekendy i święta – i to wyłącznie przez godzinę na dobę: od godz. 20 do 21. Cała odpowiedzialność spocznie na firmach dostarczających gry on-line. To one nie będą mogły świadczyć usług poza wyznaczonym przez państwo czasem i będą musiały wdrożyć mechanizmy, które mają weryfikować prawdziwe dane użytkowników.

GRZYWNA ZA NIETESTOWANE DZIECKO

W niemieckiej Turyngii rok szkolny zaczyna się z pewną nowością dla rodziców uczniów. I nie jest to tylko 14-dniowy okres buforowy, podczas którego dzieci będą testowane (chyba że przechorowały COVID bądź są zaszczepione). Minister edukacji Turyngii poinformował właśnie rodziców, że niewykonanie testu dziecka będzie kwalifikowane jako „wykroczenie administracyjne". Wiązać będzie się to więc z karą grzywny w kwocie od 60 do 250 euro. Kara ma być progresywna – ci, którzy wciąż będą odmawiać testowania, będą płacić coraz więcej.

ZASTRASZONY CZERWONY KRZYŻ

Po kilkunastu dniach z holenderskiego miasta Groningen Czerwony Krzyż musiał wycofać mobilny punkt szczepień. Pracownicy spotykali się z obraźliwymi słowami, byli zastraszani i filmowani. Przychodnia publiczna GGD Groningen, która współorganizowała punkt, potwierdziła, że wielokrotnie zgłaszała policji ataki antyszczepionkowców. Mobilny punkt przeniesiono do pobliskiego Zoutkamp.

RZĄD UŚPIŁ ALPAKĘ

Trzy lata w sądach walczyła z rządem właścicielka alpaki z Wielkiej Brytanii. Chodziło o nakaz uśpienia zwierzęcia, z którym wystąpił tamtejszy resort środowiska. U alpaki o imieniu Geronimo wykryto gruźlicę bydlęcą. Właścicielka dowodziła, że wcześniejsze testy w Nowej Zelandii (skąd sprowadziła zwierzę) choroby nie stwierdzały. Wskazywała też, że zwierzę zostało odizolowane od stada, więc nie będzie rozprzestrzeniać choroby. Rząd ostatecznie wygrał jednak batalię sądową i weterynarze alpakę uśpili.

ZAPŁACĄ ZA PORNO

43-letni David Werking rozwiódł się z żoną i na jakiś czas zamieszkał w domu rodziców w zachodnim Michigan. Gdy go opuścił, rodzice wyrzucili należącą do niego kolekcję filmów porno i takich gazet. Werking podał rodziców do sądu. I wygrał proces. Sąd nakazał rodzicom zwrócić równowartość bezeceństw, których pozbyli się z własnego domu. Wyceniono je na ponad 30 tys. dol. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ochrona bijącego serca

Adwokaci zabijania nienarodzonych dzieci są przerażeni. Mimo starań potężnego przemysłu aborcyjnego nie udało im się skłonić sądów do zablokowania teksańskiej „ustawy o biciu serca". Nowe prawo zabrania aborcji po wykryciu u dziecka bicia serca, czyli zazwyczaj od szóstego tygodnia ciąży. Ustawa przewiduje odstępstwa od zakazu, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu matki. Według zwolenników możliwości wyboru morderstwa dziecka po wejściu w życie nowej ustawy nielegalnych stanie się ok. 85 proc. dotychczas przeprowadzanych zabiegów.

Obrońcom życia udało się wygrać w prawnej batalii, bo ustawodawcy egzekucję nowego prawa powierzyli nie stanowym urzędnikom, lecz obywatelom. Każdy Teksańczyk może od 1 września złożyć pozew cywilny przeciw osobom i instytucjom mordującym nienarodzone dzieci, u których wykryto bicie serca. Jeśli wygrają, to pozwany będzie musiał zapłacić składającemu pozew 10 tys. dol. Pozywać można nie tylko lekarzy-morderców, lecz także osoby, które pomagały w nielegalnej aborcji, np. podwożąc kobietę do kliniki aborcyjnej.

Politykom w Teksasie udało się tym samym doprowadzić do najpoważniejszego ograniczenia aborcji od kilku dekad. Nowe prawo jest sprzeczne z wymową słynnego wyroku z 1973 r. w sprawie Roe vs. Wade, w którym Sąd Najwyższy zakazał ograniczania prawa do aborcji przed momentem, gdy dziecko jest w stanie przeżyć samodzielnie poza organizmem matki. Niewykluczone jednak, że nowe prawo w Teksasie to zapowiedź zmian w całej Ameryce. Zapewne już w przyszłym roku Sąd Najwyższy wyda wyrok w sprawie stanowej ustawy w Missisipi, zakazującej aborcji po 15. tygodniu ciąży. Już wkrótce w USA chronione może być wreszcie życie, a nie prawo do jego odbierania. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Z Łukaszem Komudą, ekspertem rynku pracy Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, redaktorem portalu Rynekpracy.org i współautorem podcastu „Ekonomia i cała reszta”
rozmawia Tomasz Cukiernik

Ile naprawdę zarabiają Polacy

TOMASZ CUKIERNIK: Zdaniem wiceministra finansów Piotra Patkowskiego wystarczy zarabiać 4 tys. zł brutto, by zaliczać się do klasy średniej. Co pan na to?

ŁUKASZ KOMUDA: Podział na klasy to jest zawsze temat, który potrafi zelektryzować Polaków, bo – jak pokazują np. badania CBOS sprzed roku – prawie 80 proc. rodaków uważa się za klasę średnią. Z drugiej strony mamy wyobrażenia pochodzące z amerykańskich filmów i seriali, czyli że klasa średnia powinna mieć dom, dwa samochody, oszczędności itd.

Nauki społeczne podchodzą do tematu podziału klasowego na dwa sposoby. Jeden sposób to są pewne desygnaty klasowe, np. wykształcenie czy zawód. Natomiast ekonomiści mają do tego podejście bardzo matematyczne. Istnieje pojęcie ważonego dochodu rozporządzalnego netto gospodarstwa domowego (Equivalised Household Disposable Income – EHDI). Gospodarstwo domowe zalicza się do klasy średniej, jeżeli ten dochód będzie pomiędzy dwie trzecie a dwukrotnością średniego EHDI dla całej populacji. Liczył to Polski Instytut Ekonomiczny i wyszło im, że klasa średnia mieści się przy zarobkach pomiędzy 1,5 tys. zł a 4,5 tys. zł na rękę (dla gospodarstwa jednoosobowego). Pod uwagę trzeba brać to, że 40 proc. Polaków mieszka na wsi, że wykształcenie wyższe zdobyło niecałe 26 proc. spośród ponad 30 mln Polaków w wieku 15 lat i więcej. Wedle tych wyliczeń kwota 4 tys. zł brutto (ok. 2,9 tys. zł na rękę) wypada w środek wspomnianego przedziału dla jednoosobowego gospodarstwa domowego.

Można się tym irytować i domagać się znaczącego podwyższenia tych kwot granicznych dla klasy średniej, ale wtedy będziemy mieli klasę niższą, która będzie liczyła 70–80 proc. społeczeństwa. Tymczasem taki podział klasowy ma ten walor, że blisko połowa populacji trafia do klasy średniej – nie tylko w Polsce, lecz także w większości krajów, które zanalizujemy w taki właśnie sposób. Możemy się na to burzyć, ale bardziej powinniśmy się burzyć, że mamy niskie dochody jako Polacy, a nie na to, że ekonomiści coś wymyślili i te wskaźniki nam nie pasują.

Ile tak naprawdę zarabiają Polacy?

Jedno badanie jest punktem odniesienia dla ekonomistów, którzy analizują kwestie wynagrodzeń w Polsce. Co dwa lata ukazuje się publikacja zatytułowana „Struktura wynagrodzeń według zawodów w październiku… [danego roku]”. Tam pojawia się termin „dominanta”, czyli najczęściej występujące wynagrodzenie. W 2018 r. to wynagrodzenie wynosiło 1725 zł na rękę (2380 zł brutto), co wtedy było bardzo blisko płacy minimalnej, która wynosiła 2,1 tys. zł brutto. Większość ekspertów rynku pracy uważa, że jest to bardzo zafałszowana statystyka. Dominanta mało mówi, bo mamy zjawisko płacenia części wynagrodzeń pod stołem. Szacuje się, że takich ludzi jest w Polsce nawet 1,4 mln. Dlatego ciężko odgadnąć, gdzie byłaby ta prawdziwa dominanta – 100, a może 200 zł więcej. Natomiast mediana (połowa zarabia powyżej i połowa poniżej) i średnia są bardziej odporne na tego typu deformacje – a raczej mamy do czynienia ze zjawiskami, które zaniżają oficjalne statystyki, ale nie mniej takich, które mogą je zaniżać. Mediana w październiku 2018 r. wynosiła prawie 4,1 tys. zł brutto, czyli 2920 zł netto, a średnia ok. 3553 zł na rękę. Dwie trzecie osób zarabiały mniej niż średnia krajowa.

Według GUS przeciętne wynagrodzenie w I kwartale 2021 r. wyniosło miesięcznie 5682 zł brutto, czyli 4094 zł na rękę. Z kolei z Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń przeprowadzonego przez Sedlak & Sedlak wynika, że mediana płac całkowitych w 2020 r. wyniosła 5,1 tys. zł brutto, czyli 3684 zł netto. Ilu Polaków ma zarobki tego rzędu?

Ja bym się zgodził z kalkulacjami GUS i uważam, iż bliskie rzeczywistości są szacunki, że jedna trzecia Polaków zarabia średnią lub więcej. Mediana Sedlak & Sedlak też wydaje się bliska prawdy. Myślę, że dominanta będzie występowała w okolicach 70–80 proc. mediany, zapewne gdzieś pomiędzy 2,5 tys. zł a 3 tys. zł na rękę.

Do średniej nie wlicza się wszystkich wynagrodzeń, np. w małych firmach, gdzie zarabia się mniej, co obniżyłoby średnią.

Tak, ale z drugiej strony w mikrofirmach właśnie najczęściej część wynagrodzeń jest płacona pod stołem, co by podwyższyło tę średnią. Trudno określić, które z tych zjawisk miałoby wpływ na tę faktyczną medianę i średnią. Dlatego uważam, że to, co wylicza GUS w „Strukturze wynagrodzeń…”, nie jest bardzo odległe od rzeczywistości.

Z powodu lockdownu mamy rosnącą szarą strefę. Według różnych obliczeń obecnie sięga ona ok. 20 proc. PKB. Czy to powoduje, że zarobki są rzeczywiście wyższe niż oficjalne?

Mamy dwie części szarej strefy – ludzie pracujący w ogóle bez umów, w tym co najmniej 300 tys. zarejestrowanych bezrobotnych, może nawet pół miliona. I zjawisko drugie – płacenie pod stołem części wynagrodzenia. To są łącznie miliony ludzi. PIE oszacował, że wynagrodzenia pod stołem są warte 6 proc. wynagrodzeń ogółem, co

eprasa.pl 45e9aec525

wynika z kalkulacji, ile wydajemy na życie. Szara strefa ma wpływ, ale bardzo trudno to zbadać. Nie są nam w stanie pomóc ani dane urzędów skarbowych, ani dane ZUS, a ludzie nawet w ankietach anonimowych nie mają odwagi, aby chwalić się realnymi dochodami, gdy ich część lub całość pochodzi z szarej strefy. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na patologie z tym związane: opóźnianie płatności, a nawet niepłacenie za pracę na czarno. Ostatnie wynagrodzenie przed rozstaniem pracodawcy i pracownika w szarej strefie często w ogóle nie zostaje wypłacone. Każdy Ukrainiec, z którym rozmawiałem, mówił, że to jest absolutnie normalne w Polsce. Ale nawet jeśli dotyczy to Polaków i pozbawieni należnego wynagrodzenia mają jakieś podstawy do tego, by zgłosić sprawę do sądu, to dwa lata lub więcej oczekiwania na rozstrzygnięcie oraz koszty wynajęcia prawnika (nierzadko wyższe niż niewypłacona pensja) skutecznie zniechęcają oszukanych, którzy zazwyczaj nie mają cierpliwości i środków, by walczyć o swoje. To jest pole do nadużyć dla nieuczciwych pracodawców.

Jaki wpływ na dochody Polaków ma urzędowy wzrost płacy minimalnej, która zwiększyła się z 1286 zł w 2015 r. do 2062 zł netto w tym roku?

Mamy dwie grupy pracowników. Pierwsza to ci, którzy zarabiają płacę minimalną albo minimalną i jakąś kwotę pod stołem. Dla większości z nich podwyżka minimalnej sprawia, że ich wynagrodzenie rośnie albo zmienia swoją strukturę, czyli to, co było płacone pod stołem, teraz w większej części jest płacone legalnie. Zazwyczaj możemy więc mówić o korzyści – z wyjątkiem może podgrupy, dla której pracodawca utrzyma swoje koszty pracy na niezmienionym poziomie i koszty składek i podatków w całości przerzuci na pracownika, co będzie oznaczało, że zaprzestanie wypłacania wynagrodzenia pod stołem, a to odbije się na spadku dochodów na rękę. Druga grupa pracowników, to ci, którzy w strukturze organizacyjnej firmy są nad tymi z pierwszej grupy. Brygadzista też musi dostać podwyżkę, choć zarabia więcej niż minimalną – bo inaczej różnica pomiędzy płacami byłaby coraz mniejsza i nie opłacałoby się być brygadzistą, który ma dodatkowe obowiązki i odpowiedzialność. To jest jakby echo podwyżki wynagrodzenia minimalnego: podbija ona zarobki także lepiej zarabiających, bo inaczej struktura wynagrodzeń w firmach byłaby coraz bardziej spłaszczona. W efekcie zmiana płacy minimalnej wpływa niemal z dnia na dzień na wynagrodzenia co najmniej 15 proc. polskich pracowników. Jest jednak także negatywne zjawisko – część pracowników jest przesuwana do szarej strefy, a pewien niewielki procent miejsc pracy jest w ogóle likwidowany.

Jaki wpływ na pensje Polaków będzie miał Polski Ład – z jednej strony podniesienie kwoty wolnej do 30 tys. zł i progu podatkowego do 120 tys. zł, a z drugiej – dziewięcioprocentowa składka zdrowotna, której nie będzie można już odliczyć od podatku, co oznacza w rzeczywistości nowy podatek w tej wysokości?

Autorzy Polskiego Ładu pokazali odpowiednie tabelki. Do kwoty 5,5 tys. zł brutto pracownicy zyskują. Między 5,5 tys. zł a 11 tys. nie ma żadnej zmiany, a od ok. 13 tys. zł brutto zaczynają tracić. Te ostatnie kwoty zarabia mniej niż 10 proc. Polaków. Jeśli chodzi o samozatrudnienie, to materia jest bardziej skomplikowana. Ten punkt, do którego JDG zyskują, wynosi 6 tys. zł brutto, a strata zaczyna się od 7,5 tys. zł brutto. Na Polskim Ładzie, w takim kształcie, jaki był ogłoszony, zyskałoby więc ok. dwóch trzecich pracujących, a straciłoby co najwyżej 20 proc. Reszta ani nie zyska, ani nie straci.

Czy z uwagi na inflację, która już teraz sięga 5 proc., możemy mówić o zmniejszeniu tempa wzrostu realnych płac Polaków, a może nawet o ich spadku?

Na portalu Rynekpracy.org przygotowałem analizę na temat tego, jak zmieniają się wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw w relacji do inflacji, czyli jak wygląda realny wzrost wynagrodzenia. W ciągu ostatnich kilkunastu lat ten wzrost cały czas istniał. Nawet w II kwartale 2020 r., kiedy był lockdown, realny wzrost wynagrodzeń występował, a teraz wzrost średniego realnego wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw (40 proc. pracowników w Polsce) wynosi ponad 3 proc. Pomijając inflację, mówimy tu o wzrostach płac na poziomie rzędu 10 proc., licząc lipiec 2021 r. do lipca rok wcześniej, czerwiec do czerwca itd. W gospodarce narodowej wygląda to podobnie. Dochody Polaków z pracy rosną szybciej niż inflacja, przy czym mówimy tu o wartościach średnich. A jak to mówią: ja i Dominika Kulczyk mamy średnio po 5 mld zł na głowę. Średnia potrafi zamydlić nam obraz, bo faktyczny poziom i zmiany wynagrodzeń bardzo zależą od konkretnej branży, regionu, a nawet od tego, czy dotyczy dużego miasta czy małego. Tam, gdzie jest więcej miejsc pracy ogółem i więcej wolnych miejsc pracy w szczególności, tam występuje silniejsza presja płacowa i pracownicy albo zyskują podwyżki, albo – co się niestety częściej zdarza – zmieniają pracę, żeby zwiększyć swoje wynagrodzenie. W Polsce rotacja jest najczęstszą metodą podwyższania wynagrodzenia, bo ponad połowa pracowników w naszym kraju nie mogła się w ostatnich latach cieszyć nawet symbolicznymi podwyżkami.

Jak wyglądają zarobki Polaków na tle innych państw Unii? Czy nadal w relacji do nich będziemy nadrabiać zaległości, czy utkniemy w miejscu?

Okres pandemiczny utrudnia jakiekolwiek prognozowanie. Nawet nie wiemy, kiedy ta pandemia się skończy i kiedy wrócimy do jakiejś względnej normalności. Wiele zależy od tego, jakie będą zastosowane obostrzenia, regulacje ograniczające działalność gospodarczą i co się będzie działo na rynku pracy, choć polska gospodarka relatywnie dobrze poradziła sobie z lockdownem. Jeśli chodzi o wolne miejsca pracy, to dwie trzecie strat z tym związanych już odrobiliśmy, a liczba ogłoszeń o pracę jest już wyższa niż w 2019 r., co pokazuje, że występuje dalej głód pracowników. W 2020 r. Polacy zarabiali 43 proc. średniej Unii Europejskiej. Teraz każdy kolejny procent będzie nam trudniej uzyskać w zbliżaniu się do średniej unijnej, bo żeby ta średnia szybciej rosła, musimy mieć nowocześniejszą gospodarkę, która kreuje większą wartość dodaną. Nie możemy być tylko montownią i call center Europy. Musimy mieć silniej rozwinięte bardziej innowacyjne branże, bo tam jest większa wartość dodana, a to z kolei jest częściowo kwota, którą można przeznaczyć na wyższe wynagrodzenia. To jest wyzwanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukasz Komuda *– ekonomista, ekspert rynku pracy i redaktor portalu Rynekpracy.org w Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych.*

eprasa.pl 45e9aec525

Zdrowie z aplikacji

Jacek Przybylski

Pandemia COVID-19 znacząco zwiększyła popyt nie tylko na proste smartwatche z pulsometrem. Wartość globalnego rynku elektroniki związanej ze zdrowiem i fitnessem w ciągu najbliższych trzech lat ma przekroczyć 600 mld dol.

Polski start-up opracował urządzenie, które umożliwia zrobienie spirometrii w dowolnym miejscu i czasie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gdy rok temu minister zdrowia ogłosił, że lekarze będą przekazywać osobom zarażonym koronawirusem pulsoksymetry, pozwalające kontrolować w domu stan zdrowia chorych, w sklepach i aptekach zapasy tych urządzeń wyprzedały się w ciągu kilku dni. Tymczasem pulsoksymetry od kilku lat montowane są w niektórych inteligentnych opaskach, smartwatchach czy smartfonach. Najtańsze tego typu gadżety można kupić już za mniej więcej 70 zł. Można je też tak ustawić, że automatycznie będą co jakiś czas sprawdzać zawartość tlenu we krwi, a gdy ta spadnie poniżej 95 proc., to same zaalarmują użytkownika. Inteligentne zegarki i telefony od lat uzbrojone są również w optyczny czujnik tętna czy funkcję monitorowania poziomu stresu.

Smartwatche i smartfony w dzień nieustannie mierzą również liczbę kroków, spalonych kalorii czy pokonany przez użytkownika dystans. W nocy z kolei monitorują sen, wyliczając czas trwania snu głębokiego, płytkiego czy fazy REM i udzielając podpowiedzi dotyczących sposobu na uniknięcie bezsenności czy poprawę jakości snu. Bardziej zaawansowane smartwatche potrafią już także wykrywać np. groźny dla zdrowia bezdech senny, który może powodować niedotlenienie, udar, nadciśnienie i choroby serca.

EKG Z ZEGARKA I ZDALNA SPIROMETRIA

Funkcje te cieszą się taką popularnością, że producenci uzbrajają swoje urządzenia w coraz to nowsze czujniki. Już w 2018 r. firma Omron wypuściła na rynek zegarek monitorujący ciśnienie krwi. Wybrane smartwatche takich firm jak Apple, Samsung, Huawei czy Xiaomi również wyposażone są w sensory pozwalające nie tylko na wykonanie pomiaru ciśnienia krwi, lecz także nawet prostego elektrokardiogramu. Zrobienie takiego EKG zajmuje ok. 30 sekund, a dane są automatycznie przechowywane w smartfonowej aplikacji i w razie potrzeby mogą być natychmiast przesłane swojemu kardiologowi. Szybki jest również pomiar ciśnienia, choć początkowo smartfonowy test może trwać ok. 10 minut, bo niektóre modele wymagają odpowiedniej kalibracji, czyli zestawienia danych zebranych przez smartwatch z pomiarami dokonanymi ręcznie tradycyjnym ciśnieniomierzem (wynik wpisuje się na ekranie zegarka).

Kolejne modele inteligentnych zegarków, takie jak np. Apple Watch Series 6 , oferują również funkcję wykrywania upadków i automatycznego wysyłania wiadomości alarmowej do rodziny i przyjaciół, co może być przydatne zarówno w przypadku aktywnych fizycznie młodych osób, jak i osób starszych. Producenci wypuszczają więc na rynek urządzenia przeznaczone specjalnie dla biegaczy, kolarzy itp. lub np. dla osób cierpiących na problemy z sercem czy układem oddechowym.

Z kolei najnowszy inteligentny zegarek Samsunga – Galaxy Watch 4 – potrafi zrobić nie tylko proste EKG, lecz także zmierzyć ilości tkanki tłuszczowej w organizmie, oszacować wagę mięśni szkieletowych, obliczyć zawartość wody w organizmie i wyliczyć BMI. Popyt na to urządzenie był tak duży, że zamówione w przedsprzedaży egzemplarze dotrą z opóźnieniem. Samsung nie docenił bowiem zapotrzebowania i nie był w stanie w krótkim terminie wyprodukować wystarczającej liczby sztuk. Również w Polsce zainteresowanie smartwatchem było tak duże, że producent skrócił do zaledwie tygodnia czas trwania akcji promocyjnej, bo i tak popyt znacząco przewyższył podaż.

Oczywiście producenci podkreślają, że ich gadżety nie są typowymi urządzeniami medycznymi. Podawane przez nich wyniki nie są precyzyjne, a wskazania powinno się traktować jedynie jako ogólną wskazówkę do określania

eprasa.pl 45e9aec525

kondycji fizycznej. Nie wolno więc na ich podstawie modyfikować np. dawki przyjmowanych leków. Inteligentne zegarki z funkcją EKG mogą jednak w porę ostrzec nie tylko przed zbyt niskim lub zbyt wysokim ciśnieniem, lecz także np. przed potencjalnie śmiertelnym migotaniem przedsionków czy zaburzeniami rytmu serca, które mogą prowadzić do groźnych w skutkach udarów. Według badań firmy Apple przeprowadzonych na grupie 600 użytkowników zegarek serii 6 skutecznie wskazał 98,3 proc. przypadków migotania przedsionków. Jego skuteczność w wykrywaniu patologicznej zmienności rytmu zatokowego wynosiła zaś 99,66 proc. W razie niepokojącego komunikatu warto więc zgłosić się do lekarza, który może potwierdzić odczyt lub uspokoić użytkownika. Nie można się też dać zwariować. Amerykańskie media donosiły niedawno o pewnej użytkowniczce, która z powodu niepokojących komunikatów ze smartwatcha w ciągu roku ponad sto razy zgłaszała się na profesjonalne EKG.

Jednocześnie producenci sprzętu wciąż planują wdrażanie w segmencie konsumenckich rozwiązań znanych z urządzeń medycznych. Z najnowszych informacji wynika, że Apple jest już coraz bliżej wprowadzenia do swoich kolejnych smartwatchy możliwości bezinwazyjnego określania poziomu glukozy we krwi, a także pomiaru stężenia alkoholu. Istnieje już jednak wiele urządzeń, które umożliwiają szybki pomiar poziomu glukozy i automatyczne zachowywanie danych w aplikacji mobilnej oraz w chmurze. Diabetycy mogą więc łatwo śledzić swoje samopoczucie, opisywać zjedzone danego dnia posiłki, a także wgrywać ich zdjęcia.

Z kolei dla astmatyków cierpiących na problemy z dusznością już w 2015 r. polski start-up zaprezentował moduł MySpiroo (obecnie nazywający się AioCare), który po połączeniu ze smartfonem daje możliwość zrobienia spirometrii w dowolnym miejscu i czasie. Urządzenie kosztuje 850 zł. Po pobraniu darmowej aplikacji można regularnie w domu wykonywać badanie objętości i pojemności płuc. – Podczas pandemii zdecydowanie zwiększył się popyt na nasze urządzenie, ale też na nowe technologie. Mentalnie przeskoczyliśmy pięć lat. Nasz system spirometryczny jest już dostępny w wielu krajach europejskich, ale planujemy też wejście na rynek australijski i na Bliski Wschód. Staramy się też poszerzyć działalność o nowe usługi, np. o możliwość jednorazowej domowej spirometrii. Za 129 zł dostarczamy urządzenie do paczkomatu i ze zdalną pomocą technika wykonujemy badanie, którego wynik jest tak dokładny, jak ten, który uzyskuje się podczas badania w szpitalu – mówi „Do Rzeczy" kardiolog dr n. med. Łukasz Kołtowski, współzałożyciel i współtwórca mobilnego spirometru, podkreślając, że wielu pacjentów dziękowało mu za możliwość przeprowadzania badania podczas pandemii.

INTELIGENTNE UBRANIA I SŁUCHAWKI

Nieco dokładniejsze od smartwatchy, które proste EKG mogą robić tylko na podstawie czujnika na nadgarstku, są inteligentne koszulki. Te specjalnych czujników mogą mieć więcej, mają więc szansę, być bardziej precyzyjne niż zegarki. Dane na smartfon przesyłają zaś przy użyciu technologii Bluetooth. Jedna z takich koszulek – opracowana przez naukowców z amerykańskiego Uniwersytetu Rice'a – jest wyposażona nie tylko w elektrody monitorujące pracę serca, lecz także w antenę, która w razie nagłej potrzeby pomoże ustalić, gdzie dokładnie znajduje się osoba potrzebująca szybkiej pomocy lekarza. T-shirty typu smart mogą również monitorować temperaturę ciała, a także zbierać dane istotne dla diabetyków lub alergików.

Dla tych, którzy od inteligentnych ubrań wolą jednak eleganckie koszule, inżynierowie z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego stworzyli inteligentny plaster z cienkiego polimeru, który po naklejeniu na szyję lub klatkę piersiową może błyskawicznie ostrzec przed zbliżającym się zawałem lub udarem. Prace nad komercjalizacją wynalazku zapewne trochę jeszcze potrwają, ale niewielki plasterek ratujący życie „sercowców" uważany jest za przełom w kardiologii.

Już teraz pomocne w codziennym życiu chorych na cukrzycę mogą być naszpikowane czujnikami temperatury skarpetki Siren Care, które mają jedno zadanie: zapobiegać zapaleniom i obrzękom stóp, które w przypadku diabetyków mogą prowadzić nawet do amputacji. Akumulator w skarpetkach – według producenta – wystarcza na pół roku pracy.

Wielki komercyjny sukces odnieśli również twórcy skarpety dla niemowląt, która pozwala rodzicom obserwować na ekranach smartfonów i tabletów na bieżąco aktualizowane informacje o tętnie dziecka, poziomie natlenienia krwi oraz o tym, czy maluch wystarczająco dobrze śpi. Owlet Smart Sock współpracuje z aplikacją, która ostrzega, gdy któryś ze wskaźników jest poniżej lub powyżej normy. Na rynku jest już dostępna trzecia generacja inteligentnej skarpety dla dzieci do 18. miesiąca życia (za 399 dol., czyli równowartość 1521 zł), a niedawno producent wprowadził do sprzedaży skarpetę dla dzieci w wieku od zera do lat pięciu (za 479 dol., czyli równowartość 1,9 tys. zł). Na rynku wiele jest również inteligentnych skarpet oraz butów, które mają ułatwiać treningi biegaczom.

Z kolei duńska firma Jabra opracowała model Enhance Plus, który – według zapewnień producenta – osobom, które cierpią na lekkie bądź średnie zaburzenia słuchu, może zastąpić aparat słuchowy. Słuchawki eliminują szumy, jednocześnie wzmacniając wypowiadane przez innych słowa. Model ten z powodzeniem można również wykorzystywać do słuchania muzyki czy prowadzenia rozmów telefonicznych. Premiera urządzenia zapowiedziana jest jeszcze na ten rok, choć początkowo słuchawki Enhance Plus będą dostępne tylko na rynkach amerykańskim i japońskim, w przyszłym roku firma może jednak rozszerzyć sprzedaż na nowe rynki.

– Jesteśmy jedyną firmą na świecie, która ma w swoim portfolio zarówno rozwiązania medyczne, jak i biznesowe oraz konsumenckie. Czujniki biometryczne mierzące puls użytkowników wprowadziliśmy już w słuchawce Jabra Pulse niemal dekadę temu i to rozwiązanie wciąż świetnie się sprzedaje. Za pomocą naszej aplikacji można też przeprowadzić prosty test słuchu, dzięki któremu słuchawki automatycznie dostosują poziom dźwięku do naszych potrzeb – mówi „Do Rzeczy" Marcin Krych, sales manager firmy Jabra na Polskę i kraje bałtyckie.

Doktor Peter Zimetbaum, profesor medycyny na Uniwersytecie Harvarda, przekonuje, że wykorzystywanie technologii cyfrowych do osobistych zastosowań zdrowotnych wkrótce stanie się wszechobecne, a swoje zdrowie za pomocą aplikacji nieustannie monitorować będą setki milionów osób. Zdaniem analityków Grand View Research Inc. globalny rynek inteligentnych urządzeń oferujących funkcje medyczne do 2024 r. osiągnie wartość aż 612 mld dol.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45e9aec525

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Za hiperinflację i waloryzację!

Niedawno w „Rzeczpospolitej" natrafiłem na artykuł, który – nie ma co ukrywać – zaprezentowanym w nim, jakże nowatorskim podejściem do problemu rozhuśtanej u nas przez Radę Polityki Pieniężnej (RPP) i Narodowy Bank Polski (NBP) inflacji zrobił na mnie piorunujące wrażenie.

Otóż jego autor, z wykształcenia – a jakże! – ekonomista, postuluje, aby w obecnej sytuacji nie podnosić stóp procentowych do realnie dodatnich poziomów, lecz… korzystając z zasobów kasy państwa, czyli pieniędzy podatników, waloryzować wartość oszczędności tym, którzy wskutek obecnej polityki monetarnej RPP i NBP tracą, trzymając swe pieniądze w bankach na faktycznie ujemnie oprocentowanych kontach i lokatach. A jest co waloryzować, ponieważ – jak skrzętnie policzył autor ekonomista – „według oficjalnych danych na kontach bankowych obywateli i firm zgromadzonych zostało ok. 1,5 bln zł. Inflacja wynosi co najmniej 5 proc. w skali rocznej. Oznacza to, że w ciągu roku unicestwione – powtarzam: unicestwione – zostaje co najmniej 75 mld zł. One znikają bezpowrotnie".

Autor ów – przypomnę – ekonomista, pisze wprost, nie pozostawiając pola dla niedomówień: „Dziś rząd, który nie w słowach, ale w czynach chce odzyskać wiarygodność, poparcie obywateli i przedsiębiorców, powinien przedstawić i dopilnować przegłosowania w parlamencie ustawy o waloryzacji oszczędności i depozytów ulokowanych w bankach. Ustawa ta powinna stanowić, że w oparciu o wskaźnik inflacji ogłoszony przez GUS na koniec roku kalendarzowego (mam nadzieję, że wyliczony według metody akceptowanej przez środowisko ekonomistów i statystyków) zostaną zwaloryzowane fundusze ulokowane w bankach przez stosowny okres czasu".

Autor ekonomista co prawda dopuszcza możliwość podniesienia stóp procentowych do poziomów realnie dodatnich, a nawet uważa tę operację już dziś za spóźnioną, wszelako zwolennikom tego rozwiązania zwraca uwagę, że „dodatnia stopa procentowa niesie ze sobą w czasie kryzysu nie zawsze pozytywne zjawiska", wskazując przy tym na podrażanie kosztu kredytów i tym samym zniechęcanie do ich zaciągania oraz na zwiększanie kosztu obsługi długu przez państwo.

A zatem: wyższe, realnie dodatnie stopy procentowe, czyli niższa inflacja – nie!, a waloryzacja i wysoka inflacja (hiperinflacja?) – tak! To wprost cudowna recepta. Naprawdę, gdyby nie znaleziony przeze mnie w „Rz" tekst autora ekonomisty, nigdy bym się o tym nie dowiedział, bo przecież nie ma szans, żebym sam wpadł na podobny koncept! A jak wiadomo, dla polskich podatników, którzy i tak co roku zrzucają się na warte grube dziesiątki miliardów złotych świadczenia dla współobywateli, w tym na 45 mld zł na zasiłki „500+" – dodatkowe 75 mld zł rocznie na waloryzowanie oszczędności współobywateli to bułka z masłem, nieprawdaż? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Australijskie memento

Daję miesiąc–dwa gwarancji na stacjonarną naukę – oznajmił minister zdrowia Adam Niedzielski. Łaskawca. Z tym że jakiekolwiek „gwarancje" dawane przez władzę należy traktować w tych samych kategoriach, w jakich książę Gorczakow traktował niezdementowane wiadomości.

Dzisiaj można odnieść wrażenie, że grupa covidowych sadystów z panem ministrem na czele, a w składzie z ludźmi takimi jak Andrzej Horban, Krzysztof Simon (który cieszył się z wyrzucenia Jana Pospieszalskiego z TVP), Włodzimierz Gut, Wojciech Szczeklik i inni, z utęsknieniem wyczekuje momentu, gdy nareszcie liczba zakażeń zacznie się piąć ostro w górę. Tak, aby móc odzyskać swoją celebrycką pozycję i znów ludzi straszyć, grozić im i potępiać tych, którzy psychozie nie ulegną. Dla tej ekipy koniec epidemii będzie prawdziwym dopustem bożym, dlatego będą dążyć na wszelkie sposoby do tego, by przekonać nas, że ona wciąż trwa. Podobnie zresztą – co oczywiste – jak koncerny farmaceutyczne, które od ubiegłego roku mają swoje żniwa stulecia.

Memento powinna być dla nas sytuacja w Australii – kraju, który zaczyna przypominać antyutopie Orwella czy Huxleya

Niemal od początku epidemii piszę o tym, że ani obecny polski rząd, ani większość rządów na świecie nie przedstawiły koncepcji punktu końcowego. Nie zdefiniowały momentu, gdy będzie można uznać, że mamy po prostu kolejną chorobę, z której istnieniem trzeba się pogodzić i tyle. Pora wracać do normalności. Nie tej w cudzysłowie.

Na razie mamy więc perspektywę kolejnych restrykcji, dyskryminacji sanitarnej, szantażu pracodawców wobec pracowników, wmuszania szczepionki dzieciom. Strefa Schengen faktycznie przestała istnieć, a podróżowanie w niczym nie przypomina stanu sprzed 2020 r. Maseczki, noszone przez oficjeli przy kamerach, a zdejmowane poza nimi, są czystym cyrkiem.

Memento powinna być dla nas sytuacja w Australii – kraju, który zaczyna miejscami przypominać antyutopie Orwella czy Huxleya. Gdzie wolność stała się już iluzją, a poziom covidowego zamordyzmu przekracza wszystko, co znamy z Polski, i gdzie rząd już zapowiedział, że takie podejście będzie trwało latami. Złośliwi mówią, że angielska kolonia karna wraca do korzeni. Można się śmiać, ale i nam grozi, że po kolejnych kilkunastu miesiącach takiej tresury zaczniemy zapominać, czym jest normalne życie. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Biurokracja w Polsce – rosnący problem przedsiębiorców

Sylwia Krych

Biurokracja związana z prowadzeniem działalności gospodarczej w Polsce to zmora wszystkich przedsiębiorców. Jako dyrektor finansowy spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, która rozpoczęła działalności w roku 2018, na własnym przykładzie przekonałam się, jak z kwartału na kwartał liczba obowiązków sprawozdawczych rosła w zastraszającym tempie. Wysyłając początkowo sprawozdana roczne DG-1 tzw. meldunek o działalności gospodarczej, w następnym kwartale dochodziły do każdego z nich kolejne sprawozdania doszczegóławiające. W chwili obecnej posiadamy m.in. miesięczne sprawozdania DG-1, P-02, dalej DNU-K, DNU-R, F-01, GP, G-01, G-05, G-06, P-01, P-02, PNT-01, PNT-02, RF-01, SP, SP-Z, SU-2, Z-02, Z-06, Z-06b, Z-10 – jednym słowem: cały alfabet. To, co było zadziwiające, to fakt, że dane, które były przedmiotem pierwszego raportu, często powielały się w kolejnych bardzo podobnych sprawozdaniach, chociażby liczba zatrudnionych i wartość średniego wynagrodzenia brutto ze stosunku pracy, z podaniem formy zatrudnienia, w podziale na pełne i częściowe etaty, które to dane będące przedmiotem sprawozdania Z-06 kolejno raportujemy dalej w kwartalnym sprawozdaniu F0-1 i jeszcze raz w kwartalnych sprawozdania Z-02, tj. sprawozdaniu o kosztach pracy. Jakby było tego mało – całość tych informacji jest przecież co miesiąc wykazywana w raportach do ZUS, który posiada komplet informacji dotyczących pełnej liczby osób zatrudnionych w danej firmie oraz wartość średnich wynagrodzeń brutto. Od razu nasuwa się wniosek, dlaczego wymagane od przedsiębiorców dane statystyczne w zakresie formy zatrudnienia nie mogą być pobierane z systemu informacyjnego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, oszczędzając tym samym czas i pieniądze przedsiębiorców, którym i tak nie jest łatwo w gąszczu zmieniających się przepisów podatkowych.

Kuriozalna jest ostatnio wprowadzona obowiązkowa rejestracja w Urzędzie Skarbowym każdego pieca zasilanego olejem opałowym i podaniu liczby zużywanego oleju, a także prognozy jego zużycia w kolejnych miesiącach, które to dane po niewielkiej modyfikacji JPK VAT-7 przesyłane są również do tego samego urzędu.

Ponad wskazane powyżej raporty mamy jeszcze wiele informacji w przekazywanych deklaracjach Intrastat do urzędów celnych po to, by po raz kolejny powielić je w raportach GUS w postaci informacji o rodzaju importu wzdłuż i wszerz w podziale na kraje, waluty i rodzaje usług i wywożonych towarów.

Pozostaje tylko zastanowić się, dlaczego nie został do tej pory wdrożony system typu CRM, który „zaciągałby" dane pomiędzy urzędami – czyli ZUS, GUS, urzędy celne i urzędy skarbowe, PFRON oraz Narodowy Bank Polski. Do NBP też przesyłamy sprawozdania, z ujętymi nieco inaczej tymi samymi danymi, które kilka dni wcześniej zostały wysłane do GUS.

Brak wypełnienia obowiązku sprawozdawczego skutkuje nałożeniem na osobę odpowiedzialną za ich terminowe sporządzenie kary porządkowej, zgodnie z obowiązującą taksą.

W gąszczu obowiązków sprawozdawczych, pilnowaniu terminów wysyłania do różnych urzędów w zasadzie wciąż tych samych danych należałoby jeszcze mieć chwilę na zarządzanie przedsiębiorstwem. Wytrwają tylko ci najbardziej cierpliwi, chyba że ktoś z rządzących pochyli się nad napisaniem rozporządzenia, a dalej programów informatycznych, które zintegrują dane ze wszystkich jednostek państwowych, w których one już dawno są dostępne. Wdrażając rozwiązania informatyczne, scalające i zmniejszające liczbę obowiązków sprawozdawczych, zaoszczędzony czas każdy z przedsiębiorców przeznaczy na pomnażanie swoich przychodów, a tym samym na koniec dnia wpłaci do urzędu skarbowego wyższy podatek – a to chyba cenniejsze niż wpływ mnóstwa powielanych już informacji. Warto też zastanowić się nad liczbą urzędników odbierających, wpisujących, analizujących i w zasadzie powielających te same wciąż dane. Biurokracja, liczba etatów w administracji publicznej rośnie w zasadzie z miesiąca na miesiąc, ale to już temat na kolejny artykuł.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 45e9aec525

TEST „DO RZECZY": PROJEKTOR EPSON EF-12

Ostry obraz z głębokimi czerniami, fantastyczny design oraz dobrze brzmiący głośnik stereo firmy Yamaha – to największe zalety miniprojektora laserowego firmy Epson.

Testowany model jest na tyle niewielki i lekki, że można go zabrać ze sobą wszędzie. Jego wymiary wynoszą 13,5 x 17,5 x 17,5 cm. Urządzenie waży zaledwie 2,1 kg. Klasyczne, eleganckie i proste wzornictwo sprawia, że w domu czy w biurze bez trudu znajdzie się na niego miejsce. To bowiem jeden z najładniejszych projektorów dostępnych obecnie na rynku.

Na obudowie nie ma zbyt wielu przycisków ani portów czy też złącz. Do wyboru jest jedno wyjście audio, dwa HDMI, jedno USB 2.0, jedno mini USB oraz wejście zasilania – miniprojektor niestety nie ma wbudowanej baterii, aby móc cieszyć się filmami pod namiotem.

Projektor EF-12 wyświetla obraz w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080 pikseli) w formacie 16:9. Przekątna obrazu może wynosić od 30 do 150 cali. Wyświetlany obraz jest wystarczająco jasny i ostry, a czerń bardzo głęboka. Nieco gorzej jest z kolorami, którym brakuje realizmu. Do wyboru jest kilka różnych trybów wyświetlanego obrazu: od dynamicznego poprzez kinowy do naturalnego. Projektor nie oferuje trybu sportowego, ale bez trudu można dzięki niemu oglądać nawet najbardziej dynamiczne dyscypliny.

Plusem jest również prostota obsługi. Laserowy miniprojektor Epsona automatycznie i szybko dostosowuje rzucany obraz do powierzchni projekcyjnej: ekranu, ściany czy sufitu. Również podłączenie do wi-fi odbywa się szybko i bez wysiłku ze strony użytkownika. Potem zaś wystarczy odpalić aplikację na Android TV, aby oglądać filmy i seriale w tak popularnych serwisach jak HBO Go czy Netflix, lub podpiąć projektor do dekodera za pomocą kabla HDMI.

Nowy model projektora Epsona nie oferuje jednak możliwości bezprzewodowego przesyłania treści w wykorzystaniem systemu Miracast. Lepiej więc nie nastawiać się na bezprzewodowe strumieniowanie ze smartfona filmów czy ważnych prezentacji.

Na pochwałę zasługuje za to niski poziom emitowanego hałasu (27 dB) i zaskakująco dobry głośnik stereo firmy Yamaha. Brzmienie jest czyste i wystarczająco głośne, aby wypełnić duży salon. Plusem jest również deklarowana przez producenta długowieczność sprzętu. Producent zapewnia, że dzięki zastosowaniu technologii laserowej projektor powinien świecić nawet 20 tys. godzin, czyli w mieszkaniu statystycznemu Kowalskiemu powinien bez kłopotów pracować przez 10 lat.

Minusy? Zapaleni gracze mogą narzekać na zauważalne lagi. Poza tym w czasach, gdy rozdzielczość 4K powoli staje się standardem, a na ekrany telewizorów coraz śmielej wchodzi rozdzielczość 8K, oferowana przez projektor jakość Full HD wielkiego wrażenia nie robi. Stosunek ceny do jakości sprawia jednak, że testowany model z pewnością warto przetestować przed ostateczną decyzją o wyborze laserowego projektora. Za EF-12 trzeba zapłacić ok. 4,2 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

MINIATUROWA MASZYNKA DO GOLENIA

Urządzenie o nazwie Erazor wyglądem przypomina tradycyjne golarki elektryczne. Ten model waży jednak zaledwie 68 g i spokojnie może zmieścić się w kieszeni spodni (jego wymiary to bowiem 5,58 x 3,38 cm). Producent chwali się, że do cięcia Erazor używa niezwykle wytrzymałych ceramicznych ostrzy z tlenku cyrkonu, które obracają się z prędkością 6,6 tys. obrotów na minutę. Urządzenie oferowane jest na jednym z portali crowdfundingowych za równowartość ok. 200 zł. Pierwsze wysyłki kupionych urządzeń przewidziane są na listopad.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JEEP NA DWÓCH KOŁACH

Z badań wynika, że podczas pandemii w UE mocno wzrosło zainteresowanie jednośladami. Producenci wykorzystują ten nagły skok popytu i wprowadzają coraz to nowsze modele e-rowerów. Jednym z nich jest Jeep JE-C28L, czyli rower elektryczny wyposażony w silnik elektryczny o mocy 250 W, który rozpędzi jednoślad Jeepa do 25 km/h. Akumulator o pojemności 10 Ah pozwala na przejechanie 55 km na jednym ładowaniu. Ładowanie baterii trwa zaś od 4 do 6 godzin. Cena: 3999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 45e9aec525

Już 13 września w „Do Rzeczy” dodatek

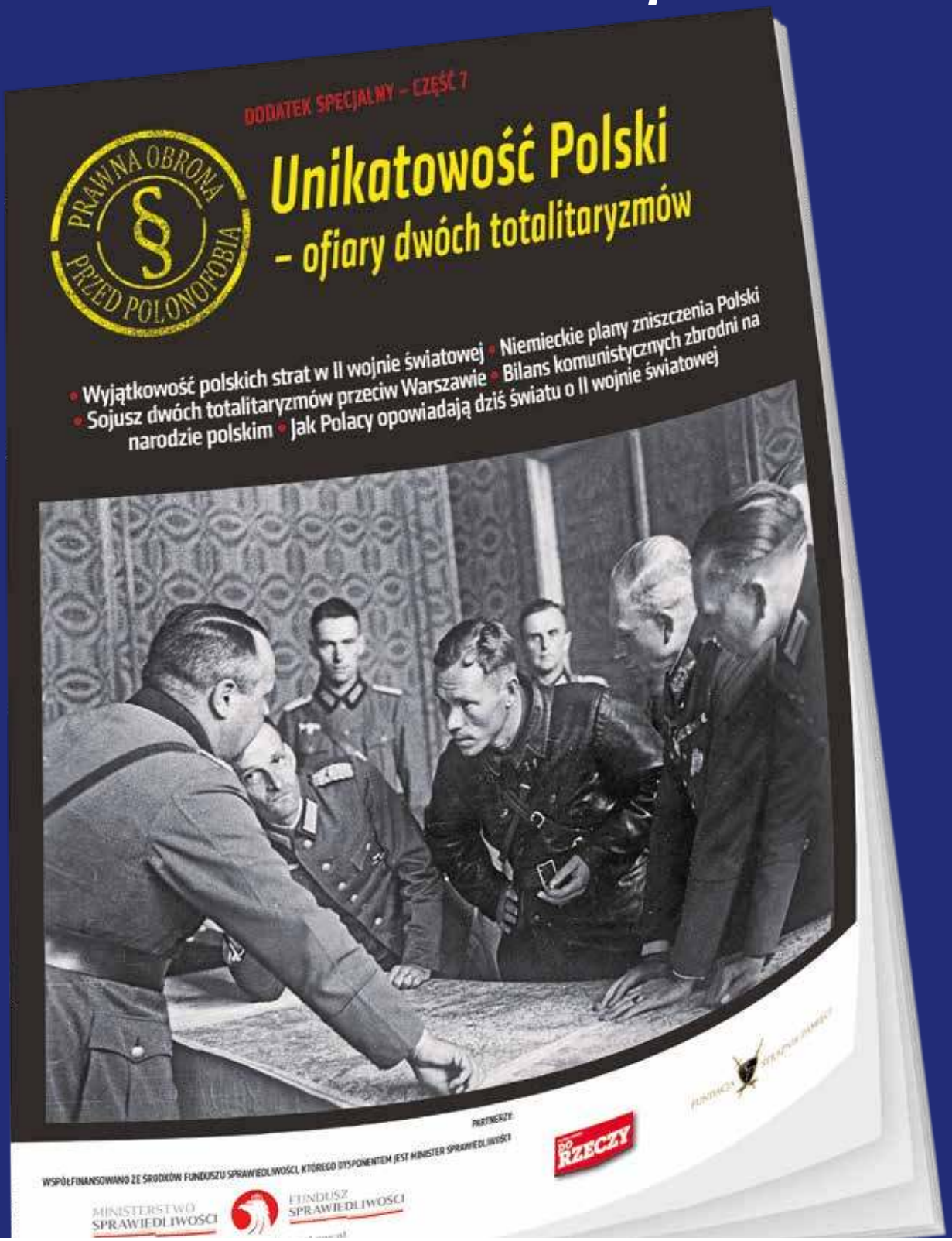

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 45e9aec525

Z dr. Wojciechem Skorupą, pulmonologiem z Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Te leki pozwalają oddychać i żyć

KATARZYNA PINKOSZ: Dwadzieścia lat. Tyle średnio żyła osoba chora na mukowiscydozę dwie, trzy dekady temu. Dziś w wielu krajach staje się ona chorobą przewlekłą m.in. dzięki pierwszym lekom przyczynowym. W Polsce nie są one refundowane. Jak te leki zmieniają życie chorych?

DR WOJCIECH SKORUPA: Przyczyną mukowiscydozy jest mutacja w genie CFTR, co powoduje, że w błonach komórkowych brakuje prawidłowo funkcjonującego białka CFTR będącego kanałem chlorkowym odpowiadającym za przenoszenie jonów chlorkowych m.in. w nabłonku oskrzeli. W efekcie dochodzi do zagęszczenia wydzieliny oskrzelowej i upośledzenia oczyszczania śluzowo-rzęskowego. Gęsty śluz zalega w drogach oddechowych. Następstwem tego są przewlekłe zakażenia bakteryjne czy też grzybicze. Ten proces prowadzi do postępującego uszkodzenia płuc. Właśnie niewydolność oddychania jest najczęstszą przyczyną zgonów chorych na mukowiscydozę. Mówiąc wprost: jest to śmierć przez uduszenie. Oczywiście u części chorych można dokonać zabiegu przeszczepienia płuc, ale jest to ostateczność mająca swoje ograniczenia. Podobny mechanizm – z tym że bez udziału drobnoustrojów – prowadzi do upośledzenia zewnątrzwydzielniczej funkcji trzustki i zaburzeń wchłaniania składników odżywczych, w tym witamin rozpuszczalnych w tłuszczach.

Dzięki leczeniu, które stosujemy (antybiotyki, leki upłynniające wydzielinę oskrzelową, suplementacja enzymów trzustkowych i witamin), staramy się przedłużyć życie chorych. Przełomem są jednak leki przyczynowe, modulatory i korektory CFTR: pomagają one wytworzyć białko CFTR, przetransportować je do błony komórkowej, wbudować je w nią oraz uaktywnić. Dzięki temu wydzielina zaczyna mieć skład zbliżony do prawidłowego, jest usuwana, nie zalega w oskrzelach. Zmniejsza się liczba zaostrzeń infekcyjnych, poprawiają się wskaźniki spirometryczne, chorzy przybierają na wadze: to pokazują badania. A efekty u chorych? Pierwszy z moich pacjentów: od września 2020 r. do stycznia 2021 r. był cztery razy hospitalizowany z powodu zaostrzeń infekcyjnych, musiał być leczony antybiotykami dożylnie, w domu wymagał tlenoterapii. Od lutego (od kiedy przyjmuje leki przyczynowe) nie był ani razu w szpitalu, nie jest potrzebna tlenoterapia. Normalnie funkcjonuje, pracuje.

> **Niewydolność oddychania jest najczęstszą przyczyną zgonów chorych na mukowiscydozę. Mówiąc wprost: to śmierć przez uduszenie**

Pobyt w szpitalu to też ogromne koszty: leków, pracy personelu. Można powiedzieć, że te leki są wręcz rewolucją?

Zdecydowanie. Widzę to, lecząc pacjentów od 1993 r. Udowadniają to też obserwacje z krajów, w których leki przyczynowe są powszechnie stosowane. W USA znacząco zmniejszyła się liczba wykonywanych przeszczepów płuc u chorych na mukowiscydozę. Podobnie jest w Niemczech, Wielkiej Brytanii: zmniejsza się też liczba zaostrzeń infekcji, hospitalizacji, poprawiają się wskaźniki czynnościowe układu oddechowego.

Leki przyczynowe w Polsce nie są refundowane. Jak wielu ma pan pacjentów, którzy je przyjmują? I w jaki sposób udaje im się je zdobywać?

Mam czterech takich pacjentów; dwóm udaje się na razie zbierać pieniądze na leczenie, dla kolejnych dwóch udało mi się uzyskać leki w ramach tzw. RDTL, czyli Ratunkowego Dostępu do Technologii Medycznych. Niestety, po negatywnej ocenie Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT) droga dostępu przez RDTL została zamknięta.

Tymczasem wróćmy do efektów: drugi z moich pacjentów – przed włączeniem leczenia miał FEV1 (parametr spirometryczny służący do monitorowania czynności płuc u chorych na mukowiscydozę) 32 proc. wartości należnej. Od września 2020 r. do kwietnia 2021 r. był pięć razy hospitalizowany z powodu zaostrzeń choroby. W maju zaczął przyjmować leczenie przyczynowe; od tego czasu nie był w szpitalu, przytył, ma FEV1 53 proc., normalnie funkcjonuje. Kolejna moja pacjentka: wymagała tlenoterapii, była kwalifikowana do przeszczepienia płuc, od końca sierpnia do kwietnia cztery razy musiała być hospitalizowana. Po włączeniu leczenia czuje się dobrze, nie była ani razu w szpitalu. Przeszczep płuc został odłożony. Czy można mieć wątpliwości co do efektów?

Kto powinien być objęty leczeniem przyczynowym?

Wszyscy, którzy mają mutacje w genie CFTR, na które te leki działają. Oczywiście rozumiem, że te leki są kosztowne, to wysiłek dla budżetu, jednak sytuacja byłaby inna, gdyby one nie działały. Są skuteczne. Rozumiem sytuację płatnika, natomiast nie mogę być obojętny wobec oczekiwań pacjentów, wiedząc, że są skuteczne leki, a moi chorzy mogą umierać z braku dostępności do nich. Negatywna opinia AOTMiT nie blokuje pozytywnej decyzji ministra. Czekamy na nią. Jeśli jako państwo nie stać nas na to, żeby dać leczenie wszystkim chorym, to dajmy je przynajmniej tym, którzy mają już tak złe parametry, że nie mogą dłużej czekać. Ja jako lekarz muszę jednak powiedzieć, że te leki powinni przyjmować wszyscy pacjenci, którzy kwalifikują się do leczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Wojciech Skorupa *– pulmonolog, od wielu lat leczy dorosłych chorych na mukowiscydozę w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc, jest sekretarzem Zarządu Polskiego Towarzystwa Mukowiscydozy.*

eprasa.pl 45e9aec525

Monika Luty (25 lat): Te leki to „dziewiąty cud" medycyny

Rok temu żegnałam się z życiem. Po dwóch miesiącach tlenoterapii przez 24 godziny na dobę znalazłam się w szpitalu. Nie wiedziałam, czy z niego wyjdę. Ważyłam 35 kg (przy 169 cm wzrostu). Byłam skrajnie niedożywiona, planowano założyć mi dożywianie dojelitowe. To była wegetacja: leżałam, robiono mi kilka razy dziennie inhalacje, drenaż, sama nie byłam w stanie tego zrobić, noszono mnie do toalety, myto. Byłam kaleką. Pani doktor mówiła, że to stan krytyczny. Przeszczep płuc już nie wchodził w grę, byłam zbyt słaba. Bałam się nawet spać, żeby nie udusić się w czasie snu. Po wyjściu ze szpitala nadal musiałam być cały czas pod tlenem. Potrzebowałam całodobowej opieki. Wydolność płuc: 20 proc.

Od listopada biorę leki przyczynowe: dzięki zbiórkom i akcjom organizowanym przez przyjaciół. Już po tygodniu odczułam ulgę. Dziś... obchodzę 25. urodziny, a właściwie to w listopadzie powinnam obchodzić pierwsze. Mogę wszystko: normalnie jem, to wspaniale, mam apetyt, mogę jeść! Mogę uprawiać sport (przebiegnę już 2 km), ćwiczyć jogę, śpiewać, tańczyć. Mogę mieć plany: chciałabym skończyć studia, rozwijać się, pracować, nauczyć się tureckiego, arabskiego, bo uwielbiam podróże: dają mi siłę do życia. Czuję, że wszystko przede mną. Te leki są fenomenalne, to... dziewiąty cud medycyny.

Monika Luty przed terapią i po kilku miesiącach stosowania leków przyczynowych FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (X2)

Maciej Nowicki (informatyk, 27 lat, żona, roczny syn): Powiedzieć, że te leki to zmiana o 180 stopni, to za mało

We wrześniu 2020 r. miałem wydolność płuc na poziomie 30 proc., pozwalało mi to jeszcze funkcjonować, chodzić do pracy. Mój stan zaczął się gwałtownie pogarszać, co dwa–trzy tygodnie pojawiały się infekcje, które wymagały antybiotykoterapii dożylnej. Od września do grudnia 2020 r. cztery razy byłem w szpitalu. Kwalifikowano mnie do przeszczepienia płuc. Musiałem zrezygnować z pracy, a muszę przecież utrzymywać rodzinę. W styczniu 2021 r. wydolność spadła do 16 proc., byłem pod stałą tlenoterapią, dojście do łazienki bez tlenu było dla mnie wyzwaniem.

Pierwszą dawkę przyjąłem 1 lutego 2021 r.: już po pięciu dniach czułem znaczącą różnicę, wydzielina stała się płynna, odkrztuszałem ogromne jej ilości, mogłem swobodnie oddychać. To była ulga. Po miesiącu, za zgodą lekarza, zrezygnowałem z tlenoterapii, gdyż saturacja wynosiła powyżej 93 proc. W kwietniu wróciłem do pracy. Dziś chodzę z synem na spacery, jeżdżę na rowerze, przytyłem 7 kg (wcześniej ważyłem 50 kg przy wzroście 184 cm). Wydolność płuc z 16 wzrosła do 27 proc. Ani razu nie musiałem być leczony antybiotykami, nie byłem w szpitalu. Powiedzieć, że te leki to zmiana o 180 stopni, to za mało. Pierwszą dawkę leków kupili mi rodzice: w takim stanie, w jakim byłem, nie można było czekać, bo każda infekcja mogła okazać się ostatnią. Nie da się jednak co miesiąc zbierać kilkudziesięciu tysięcy złotych. Cieszę się efektami, ale z tyłu głowy jest pytanie: Co dalej? Bez pomocy państwa jestem skazany albo na powrót do tego, co było, albo na emigrację do kraju, w którym leki są refundowane.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 45e9aec525

Artur Cieślik – wiceprezes zarządu ds. strategii i regulacji

Kierunki rozwoju energetyki w Polsce

Za nami IV Forum Wizja Rozwoju – największa konferencja gospodarcza w północnej Polsce. W wydarzeniu wzięli udział eksperci ze środowiska akademickiego, przedstawiciele biznesu, politycy oraz naukowcy. Kluczowym elementem programu forum była energetyka, istotny czynnik naszego postępu gospodarczego.

Forum Wizja Rozwoju, organizowane w Gdyni, poświęcone sprawom związanym z gospodarką, jest obok Forum Ekonomicznego w Karpaczu i Kongresu 590 kolejnym tak ważnym wydarzeniem w naszym świecie gospodarczym. Podczas forum odbyło się kilkadziesiąt paneli tematycznych, w których wzięło udział kilkuset prelegentów. Przedstawiciele administracji rządowej, szefowie największych spółek skarbu państwa, prezesi instytutów badawczych, a także naukowcy dyskutowali na temat wyzwań polskiej gospodarki, omawiali perspektywy i kierunki rozwoju przemysłu. Ważnym zagadnieniem forum były energetyka i kierunki jej rozwoju w Polsce. Tematyka ta będzie miała znaczny wpływ na naszą przyszłość niemal w każdej dziedzinie życia.

POSZUKIWANIE ZIELONEJ ENERGII

Polskę czekają nowe wyzwania związane z nadchodzącą rewolucją w sektorze energetyki. Komisja Europejska przyjęła właśnie pakiet wniosków legislacyjnych służący osiągnięciu neutralności klimatycznej netto UE do roku 2050 oraz – jako krok pośredni – redukcję emisji gazów cieplarnianych (GHG) do 2030 r. o co najmniej 55 proc. w stosunku do roku 1990. I choć negocjacje przed zaakceptowaniem pakietu przez państwa UE (czyli Radę) oraz Parlament Europejski dopiero się zaczną, wiemy z całą pewnością, że Pakiet „Fit for 55" w znacznym stopniu zmieni rodzimą energetykę. Kluczowe znaczenie ma więc zaspokojenie dostaw i likwidacja deficytu zielonej energii. Droga od węgla do zeroemisyjnej gospodarki energetycznej wiedzie przez gaz.

– Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo rozpoznawalne w kraju przede wszystkim z wydobycia, dystrybucji i sprzedaży gazu ziemnego będzie „zazieleniać" to paliwo dla swych klientów. Chcemy być animatorem powstawania systemu nowych biometanowni i wprowadzania biometanu, a także domieszek wodoru, do gazowej sieci dystrybucyjnej. W ten sposób będziemy dostarczać bardziej ekologiczne paliwo nie tylko naszym klientom indywidualnym, lecz także przemysłowym – wyjaśniał Robert Perkowski, wiceprezes zarządu PGNiG SA ds. operacyjnych, nadzorujący m.in. politykę i programy poszukiwania i wydobycia gazu ziemnego i ropy naftowej, eksploatacji złóż tych węglowodorów, produkcji helu i skroplonego gazu ziemnego (LNG).

Zapotrzebowanie na energię, i to w różnej formie, rośnie, co podkreślał Robert Perkowski. Sprostać temu będzie musiało wiele firm.

eprasa.pl 45e9aec525

– Z punktu widzenia sieciowego najistotniejszą rzeczą jest dokapitalizowanie sieci tak, aby za moment nie stała się wąskim gardłem do przyłączania energetyki zielonej. Ta kwestia powinna być dzisiaj bardzo mocno rozważana przez operatorów. Z perspektywy sieciowej potrzebny jest więc nowy model funkcjonowania energetyki. Tego nie możemy zaniedbać i powinniśmy dążyć do tego, by ci, którzy produkują energię odnawialną, nie traktowali sieci jako wirtualnego magazynu – tłumaczył Waldemar Skomudek, wiceprezes zarządu ds. operatora Tauron Dystrybucja.

Jak podkreślał ekspert, nowe źródła energii będą powstawały, pozwalają na to środki finansowe. Potrzebny jest jednak nowy model regulacji, który da możliwość funkcjonowania w przyszłych latach.

Robert Perkowski
– wiceprezes zarządu ds. operacyjnych

NOWE TECHNOLOGIE DLA GOSPODARKI

Nowe rozwiązania w sektorze energetyki powoli eliminują wciąż funkcjonujące. Zasadna więc była dyskusja na temat, jaką rolę będzie w przyszłości odgrywał węgiel i do kiedy.

– W przyszłości węgiel nie będzie już podstawowym paliwem dla ciepłowni. Odzyskujemy ciepło od urządzeń kopalnianych, ale równocześnie tam, gdzie to ma sens, „zazieleniamy" to ciepło za pomocą biomasy lub odzyskujemy je w inny sposób – wyjaśniał Jacek Boroń, prezes zarządu Węglokoks Energia.

O inicjatywie 3W: Woda – Wodór – Węgiel, wspominał natomiast Radosław Kwiecień, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego. Według idei BGK trzy zasoby będą kształtować nowoczesną i zrównoważoną gospodarkę, wpłyną na rozwój innowacyjnych technologii wzmacniających konkurencyjność polskich przedsiębiorstw w efektywnym wykorzystaniu zasobów wodnych, wodoru jako nowoczesnego nośnika energii oraz alternatywnego wykorzystania węgla jako pierwiastka. Jednym z istotnych działań inicjatywy BGK ma być utworzenie Centrum 3W. Jego zadaniem będzie rozbudowa know-how, a w długiej perspektywie wzmacnianie konkurencyjności polskich przedsiębiorstw zajmujących się wykorzystaniem wodoru, wody i innowacyjnych technologii węglowych.

– Węgiel jest powszechny, występuje wszędzie, na każdym kontynencie. Musimy tylko zacząć wykorzystywać go w inny sposób. Nowe technologie będą wypierały te stosowane dzisiaj i zadecydują, w którą stronę pójdzie gospodarka, w jaki sposób będziemy wykorzystywali surowce energetyczne czy przesyłali prąd. Wierzę, że w ramach naszej inicjatywy 3W wielki przemysł i koncerny energetyczne będą wdrażały nowe technologie– tłumaczy Radosław Kwiecień.

Skala konsumpcji energii bardzo silnie wiąże się ze stopniem rozwoju społeczno-gospodarczego państwa. W systemie elektroenergetycznym nie może pojawić się luka, a zmiany muszą następować sukcesywnie.

– Wiele jednostek produkcyjnych musi zostać zastąpionych innymi, zasilanymi ekologicznymi paliwami. My, podążając ścieżką dekarbonizacji, będziemy zastępować węgiel gazem. Mamy w Polsce elektrownie węglowe, które wybudowano stosunkowo niedawno i których koszt budowy nie został jeszcze zamortyzowany. Proces budowy nowych jednostek jest czasochłonny i wymagający. Myślę, że istotne zmiany na drodze odchodzenia od węgla, nastąpią za mniej więcej 10 lat. Uważam też, że konwersja na gaz daje dodatkową możliwość, bo ten gaz nie będzie tym samym gazem ziemnym, jaki znamy dzisiaj. Będzie zawierał domieszkę biometanu czy wodoru – mówił Robert Perkowski z PGNiG.

Według scenariusza, który nakreślił Dominik Wadecki, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych Energa SA, kulminacja wyłączania elektrowni węglowych rozpocznie się w roku 2025, a zakończy w roku 2035, a po roku 2040 będą działały już najnowocześniejsze i najbardziej efektywne bloki dostarczające energię.

EUROPEJSKI RYNEK RÓWNYCH SZANS

Budowa wspólnego rynku energii jest jednym z priorytetów Unii Europejskiej. Celem integracji rynków ma być zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego i uzyskanie niższych, akceptowalnych dla odbiorców cen. Czy utworzenie unijnego rynku wewnętrznego w sektorze energii będzie dla Polski dużym wyzwaniem? Co w praktyce zmieni się wówczas dla krajowej energetyki i odbiorców? To zagadnienie, z którym zmierzyli się eksperci forum.

– Przy tworzeniu tego gigantycznego rynku ważne jest ustalenie takich zasad jego funkcjonowania, aby faktycznie wszyscy do tego rynku mieli równy dostęp – podkreślił Robert Perkowski z PGNiG.

Korzyści w europejskich rozwiązaniach widzi sektor finansowy.

– Dla instytucji finansowych globalne rynki i handel energią na tego typu rynkach to dobre rozwiązanie, ponieważ mityguje wiele niebezpieczeństw związanych z płynnością czy niestabilnością cen i możliwości wpływania na nie. Im ten rynek będzie bardziej płynny i będzie na nim więcej uczestników, tym ceny będą kształtowały się bardzo rynkowo. Tym samym instytucje finansowe czy fundusze będą otwarte na finansowanie inwestycji długoterminowo, w oparciu o ryzyka rynkowe, jeżeli rynek ten daje te mityganty – podsumował Radosław Kwiecień z Banku Gospodarstwa Krajowego.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 45e9aec525

Paweł Majewski
– prezes zarządu PGNiG S.A.

W Międzyzdrojach zakończyła się konferencja Gazterm. To najważniejsze w Polsce wydarzenie branży gazowniczej

eprasa.pl 45e9aec525

Jak podkreślali sami uczestnicy, był to czas ważnych decyzji, rozmów i mówienia o kluczowych dla branży gazowniczej wyzwaniach na najbliższe lata, które upłyną pod znakiem transformacji energetycznej.

HISTORYCZNY MOMENT

Pierwszego dnia tegorocznego Gaztermu została podpisana umowa dotycząca poszukiwania węglowodorów na Ukrainie. Mocno wybrzmiały kwestie konieczności współpracy regionu Trójmorza z Ukrainą w dziedzinie bezpieczeństwa energetycznego. Umowę zawarło Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo oraz spółka Energy Resources of Ukraine (ERU) Management Services. Tym samym PGNiG zakupiło pakiet kontrolny udziałów w ukraińskiej spółce Karpatgazvydobuvannya.

– Otwieramy nowy rozdział naszej współpracy z Ukrainą – powiedział Paweł Majewski, prezes PGNiG. – Dotychczas, od 2016 r., prowadziliśmy na tamtejszym rynku działalność handlową. Wyeksportowaliśmy na Ukrainę ponad 3 mld m sześc. gazu ziemnego. Teraz rozpoczynamy tam działalność poszukiwawczo-wydobywczą – wyjaśnił Paweł Majewski.

Spółka Karpatgazvydobuvannya posiada koncesję na poszukiwanie i wydobycie węglowodorów w zachodniej części obwodu lwowskiego, bezpośrednio przy granicy z Polską. Pierwszy odwiert poszukiwawczy jest zaplanowany na połowę przyszłego roku. Wstępne analizy wskazują na duże prawdopodobieństwo występowania na tym obszarze złóż wysokometanowego gazu ziemnego. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z założeniami, to PGNiG przewiduje, że rozpocznie wydobycie gazu na Ukrainie w 2023 r.

Sama umowa to nie tylko kwestia biznesu. – To ważny dzień nie tylko dla PGNiG i ERU, lecz także dla bezpieczeństwa gazowego tej części Europy – podkreślał podczas Gaztermu Paweł Majewski.

ZWIĘKSZYĆ BEZPIECZEŃSTWO

Kwestie bezpieczeństwa gazowego i konieczności zacieśnienia współpracy w regionie mocno wybrzmiały w Międzyzdrojach. Na ukończeniu jest budowa gazociągu Nord Stream 2, którego uruchomienie znacząco wpłynie na interesy gospodarcze i bezpieczeństwo Polski, Ukrainy i innych państw Europy Środkowej. „Paliwa gazowe w procesie transformacji energetycznej Polski i regionu Trójmorza" to główne hasło tegorocznego Gaztermu, ale spotkanie było jednocześnie szczytem gazowym Trójmorze-Ukraina. Uczestnicy konferencji zwracali uwagę na konieczność budowania niezależności energetycznej regionu Trójmorza i Ukrainy. Zdaniem ekspertów to szansa na stworzenie solidnej alternatywy dla rosyjsko-niemieckiego sojuszu gazowego. „Razem jesteśmy silni" – to hasło było wiele razy powtarzane podczas międzynarodowych dyskusji. – Rosja bez Ukrainy nie jest już imperium, ale Trójmorze z Ukrainą tworzy imperium – podkreślał Jakub Kumoch, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Prezydent Andrzej Duda napisał w liście do uczestników konferencji: „Polska wraz z sąsiadami, w tym przede wszystkim z Litwą, wykonała w ostatnich latach ciężką pracę, inwestując w infrastrukturę pozwalającą na dywersyfikację dostaw gazu. Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, rozbudowywana sieć gazociągów transgranicznych oraz budowany gazociąg Baltic Pipe, który umożliwi przesył błękitnego paliwa z szelfu norweskiego, mają wymierny wpływ nie tylko na zwiększenie bezpieczeństwa Polski, lecz także – co należy podkreślić – całego naszego regionu. W tym kontekście chciałbym wyrazić pełną solidarność z Ukrainą, która podziela polską optykę na kwestie bezpieczeństwa energetycznego".

Zdaniem Piotra Naimskiego, pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, to była szczególna edycja Gaztermu, ponieważ rola podmiotów gazowych w Europie zwiększa się, zwłaszcza w Polsce. Jednocześnie transformacja energetyczna jest czasem wielkich wyzwań. – Będziemy pracowali na to, by ten czas nie zmienił się w czas chaosu. Dziś podejmujemy decyzje, które będą skutkowały w perspektywie ponad 30 lat, a ich skutki odczują przede wszystkim nasze dzieci i wnuki. To wielka odpowiedzialność analityków, polityków i biznesu – mówił Piotr Naimski.

NIEUCHRONNE ZMIANY

Przemysław Wacławski, wiceprezes PGNiG ds. finansowych, zwrócił uwagę, że w polskich warunkach najszybszym i najbardziej efektywnym kosztowo sposobem redukcji emisji gazów cieplarnianych jest dla większości przedsiębiorstw zastąpienie węgla gazem ziemnym. – Takie argumenty wspólnie z Ministerstwem Klimatu i Środowiska będziemy starali się przedstawiać Komisji Europejskiej – mówił podczas panelu dotyczącego finansowania inwestycji gazowych w dobie transformacji energetycznej.

Eksperci zwracali uwagę, że zapotrzebowanie na gaz ziemny w Polsce wzrośnie w ciągu najbliższych dziesięciu, kilkunastu lat nawet o 50–60 proc. Branża gazowa musi mieć jednak świadomość, że po latach tłustych mogą nadejść chude.

– W długim okresie, ze względu na plan osiągnięcia przez UE neutralności klimatycznej do 2050 r., rola gazu ziemnego będzie ograniczana. Dlatego musimy pracować nad alternatywnymi technologiami, rozbudowywać kompetencje biometanowe, żeby gaz ziemny móc w jak największym stopniu zazieleniać, czyli uzupełnić gazami odnawialnymi – mówił Paweł Majewski. – Infrastrukturę, którą obecnie używamy do przesyłu gazu ziemnego, można z całą pewnością świetnie wykorzystać także do dystrybucji biometanu, a w przyszłości być może również do przesyłu wodoru – zaznaczył prezes PGNiG.

Stopniowe zastępowanie gazu ziemnego gazami odnawialnymi wydaje się dziś nieuchronne, wymaga jednak starannego przygotowania. – Aby umożliwić rozwój sektora biometanu, należy zapewnić odpowiednie ramy prawne do funkcjonowania całego systemu gazowniczego w warunkach zdecentralizowanej struktury wytwarzania i wielokierunkowego przepływu paliw gazowych – podkreślił na konferencji Artur Cieślik, wiceprezes PGNiG ds. strategii i regulacji.

WYŚCIG O PRZYSZŁOŚĆ

O wyzwaniach, które czekają branżę, mówił Robert Perkowski, prezes Izby Gospodarczej Gazownictwa, a zarazem wiceprezes PGNiG ds. operacyjnych. Już teraz eksperci współpracują z Ministerstwem Klimatu i Środowiska w kwestii niezbędnych rozwiązań legislacyjnych. – W największych przedsiębiorstwach, takich jak Grupa Kapitałowa PGNiG, pracuje po kilkadziesiąt tysięcy osób. Takie firmy to również budowane przez dziesięciolecia doświadczenie, kompetencje oraz infrastruktura. Zależy nam na znalezieniu takiej drogi do zeroemisyjności, by to, co było budowane przez lata, mogło być dalej wykorzystywane w nowych warunkach – zaznaczył Perkowski.

Już za rok kolejna, jubileuszowa edycja konferencji Gazterm.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 45e9aec525

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Chojnice – klęska i chwała

JACEK KOMUDA

Pomorskie Chojnice to miasteczko, w którym odbyła się jedna z największych przegranych bitew polskiego późnego średniowiecza. W 1454 r. w państwie zakonu krzyżackiego wybuchł bunt rycerstwa i mieszczan zrzeszonych w Związku Pruskim. Krzyżacka władza zdawała się upadać. Przy wielkim mistrzu Ludwigu von Erlichshausenie pozostały tylko Malbork, Sztum i kilka pomniejszych twierdz. Jednak w marcu udało się odbić Chojnice, miasto chroniące drogi z Nowej Marchii i Śląska, skąd mogły zostać sprowadzone posiłki i pomoc.

Bitwa pod Chojnicami FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. JTANSKI

Król Kazimierz, który dokonał inkorporacji Prus, zwołał pospolite ruszenie z Wielkopolski i Kujaw, po czym uderzył na wspomniane miasto, oblegane przez siły Związku Pruskiego. W tę samą stronę skierowało się także wojsko krzyżackie pod dowództwem Bernarda Szumborskiego. 18 września 1454 r. doszło do bitwy, która rozegrała się na południe od historycznej starówki i istniejącego dzisiaj parku Tysiąclecia w Chojnicach. Krzyżacy nie sformowali już sił zbrojnych ze swoich braci zakonnych, ich pocztów oraz podległego im rycerstwa, ale przeszli na zawodową armię najemników. Wojska Królestwa Polskiego składały się zaś ciągle z rycerzy powołanych do służby w ramach pospolitego ruszenia.

Szumborski, widząc przewagę Polaków, założył obóz z wozów po zachodniej stronie bagien pod miastem, chcąc sprowokować przeciwnika do ataku przez groblę, przebiegającą mniej więcej w miejscu, gdzie dziś znajduje się al. Brzozowa.

Po stronie polskiej nie było jednolitego dowództwa, a król niemający doświadczenia bojowego nie był w stanie utrzymać w ryzach rycerstwa. Przez groblę wyruszył do ataku najpierw oddział Wojciecha Kostki, a za nim – w bezwładzie – reszta pospolitego ruszenia. Wpadli oni na mniej liczną jazdę krzyżacką i rozbili ją; w starciu zginęli książę żagański Rudolf i hrabia Bernhard von Aschpan, a do niewoli dostał się sam Rudolf Szumborski! Teraz jednak szala zwycięstwa się przechyliła. Chorągwie jazdy rycerskiej dotarły bowiem do sformowanego na sposób husycki umocnionego taboru z wozów obsadzonego przez piechotę – kuszników i artylerię. Niewiele myśląc, rycerstwo zaszarżowało na ścianę z wozów, próbując złamać szyki. I – co było do przewidzenia – zatrzymało się w ogniu bełtów i bombard piechoty ukrytej za przeszkodami. Z tak bliskiej odległości ostrzał był morderczy, zmiótł rycerzy z siodeł i powalił wierzchowce. Kiedy rycerze nie mogli przełamać ściany połączonych łańcuchami wozów, z tyłu napierały na nich kolejne chorągwie, które nie wiedziały, co się dzieje. Doszło więc do makabrycznej rzezi, konie padały, przygniatając jeźdźców. Nikt nie dowodził – król został po drugiej stronie grobli i miał mały wpływ na bitwę.

I w tej właśnie chwili na pole walki zaczęła wracać pobita jazda krzyżackich najemników – uderzając ze skrzydeł na Polaków i zacieśniając pierścień okrążenia. Co więcej, dowódca załogi Chojnic Henryk Reuss von Plauen wypadł z miasta i zaatakował obóz polski na tyłach walczących. Wybuchła panika i Polacy rzucili się do ucieczki; część rycerstwa została przy tym wpędzona w bagna i utonęła.

Dzisiaj tylko z listy strat i zabitych możemy domyślać się rozmiaru porażki. Na polu bitwy zginął podkanclerzy Piotr ze Szczekocin, razem z nim przepadły lub wpadły w ręce wroga pieczęcie – majestatyczna i mała. Do niewoli dostali się wojewoda poznański Łukasz Górka, wojewoda brzesko-kujawski Mikołaj Szarlejski, a więc obaj głównodowodzący pospolitym ruszeniem, Wojciech Kostka z Postupic, starosta pomorski Jan z Jani, dowódcy zaciężnych Janusz Kołudzki i Piotr Schoff, a także dowódca chorągwi nadwornej króla Idzi Suchodolski. Poległ Jan Zawisza, syn sławnego Zawiszy z Garbowa. Król Kazimierz w ostatniej chwili uciekł, ale trudno wręcz wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby zginął albo został jeńcem Krzyżaków i ich najemników.

Klęska była kompletna, a wrogowie o włos od rewanżu za Grunwald. Dlaczego jednak nie słyszymy o niej tyle, ile o kampanii wrześniowej i późniejszych przegranych? Dlatego, że wojna trzynastoletnia była konfliktem Krzyżaków ze wschodzącym mocarstwem, które szybko otrząsnęło się z porażki. Królestwo powołało nowoczesną armię zaciężną, pobiło zakonników, odzyskało zamki, zmuszając w końcu wielkiego mistrza do zawarcia drugiego pokoju toruńskiego. Tylko dumne i potężne państwo mogło wyciągnąć z przegranej właściwe wnioski i przekuć ją w przyszłe zwycięstwo, zamiast szlochać i padać na kolana. I dlatego o Chojnicach mało kto dziś pamięta. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCA ROZMOWA Z WETERANEM KAMPANII 1939 R.

Wojciech Szatkowski – **Zdrada Goralenvolk**
Piotr Zychowicz – **Góralski legion Waffen-SS**
Tomasz Stańczyk – **Kręta droga Krzeptowskiego**
Marek Gałęzowski – **Niemieckie oblężenie Warszawy**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Józefa Poniatowskiego**
Jacek Bartosiak – **Wojna mocarstw w Kosmosie**
Martin Dugard – **Biały podbój czarnej Afryki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 45e9aec525

ROZGRZEWAJĄCE CURRY NA NIEPOGODĘ

Kiedy tylko nastaną jesienne chłody, w mojej kuchni pojawia się mnóstwo rozgrzewających potraw i aromatycznych przypraw. Cynamon, kardamon czy anyż kojarzymy z pysznymi korzennymi ciastami, ale ja lubię je również w wytrawnych daniach, takich jak proponowane dziś curry z batatów i ciecierzycy z masłem orzechowym. W przygotowaniu orientalnej mieszanki pomoże nam młynek do kawy lub moździerz. Nadmiar zmielonych ziół zamknijmy w słoiczku; na pewno je wykorzystamy! Połączenie słodkich ziemniaków z orzechami i sporą porcją pikantnych dodatków rozgrzeje największego zmarzlucha.
A kiedy już docenimy wyjątkowy smak curry z batatów, zachęcam do smakowitych eksperymentów. Marchew, fenkuł i kalafior to warzywa, z których również przygotujemy pyszne jesienne dania.

Składniki:

- 2 bataty (600–800 g)
- 1 cebula + 1 ząbek czosnku
- 1 puszka ciecierzycy w zalewie
- 1 puszka pomidorów
- ½ puszki mleka kokosowego + 1 szklanka wody
- 1 łyżka masła orzechowego (z orzeszków ziemnych)
- olej kokosowy do smażenia
- przyprawy: po ½ łyżeczki (mielonego) kuminu, kolendry, cynamonu, ostrej papryki, kurkumy i kardamonu, ¼ łyżeczki anyżu, sól i pieprz do smaku
- do podania: świeża kolendra, pestki granatu

Przygotowanie:

Cebulę i czosnek obieramy, drobno siekamy, wrzucamy na rozgrzany olej kokosowy i podsmażamy. Dodajemy obrane i pokrojone w dużą kostkę bataty oraz wszystkie przyprawy, dokładnie mieszamy i smażymy ok. 5 min (często mieszając). Następnie zalewamy bataty mlekiem kokosowym (oraz wodą – na początek połową szklanki), przykrywamy i dusimy, aż bataty zaczną mięknąć. Dodajemy wtedy wypłukaną pod bieżącą wodą ciecierzycę, pokrojone pomidory z puszki (wraz z sosem) oraz łyżkę masła orzechowego. Jeśli danie będzie za gęste, to dolewamy wody. Gotujemy ok. 10 min i doprawiamy do smaku solą i pieprzem. Przed podaniem posypujemy świeżymi ziołami i pestkami granatu. Można podawać z ryżem w oddzielnym naczyniu. ©℗

oprac. raw

Joanna Grabowska-Kowalska, blogerka kulinarna, www.kuchniajoanny.pl.

FOT. ARCHIWUM JOANNY GRABOWSKIEJ-KOWALSKIEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niedzielny obiad

Miejsce, do którego poszliśmy na niedzielny obiad w niewielkim rodzinnym gronie, leży w miłej części Starego Mokotowa. Wnętrze nowocześnie industrialne, karta dań graficznie wysmakowana, krzesła à la Bertoia, dzieło raczej polskiego majsterkowicza niż włoskiego designera. Dużo stołów na zewnątrz. Stoły pokryte ceratą, chic i eko, nie trzeba prać obrusów (precz z burżuazyjnym białym obrusem). Ogólny luz, nikt się nie stroi, dzieci biegają, gdzie chcą, niemowlęta pełzają po ziemi, psy piją wodę z misek. Atmosfera „nowojorska" jednym słowem. Przynajmniej tak, jak Nowy Jork wyobraża sobie Warszawa.

Jedzenie równie ambitne, co niesmaczne, za to drogie. Wegańskie, wegetariańskie, multi-kulti. Zupa zwana bulionem – rozcieńczony roztwór sosu sojowego z wrzuconymi tu i ówdzie fasolkami oraz kłączami czegoś zielonego. Pierogi zwane ruskimi nadziewane kleistą masą o smaku trudnym do zdefiniowania. „Żeberka wege" – kształt istotnie podobny do pierwowzoru, smak podobny do rozgotowanej ścierki. Makaron wong don czy jakoś tak – coś między zupką chińską a kimchi. W sumie zostawiamy na stole pięć niezjedzonych dań.

Nie jest to recenzja kulinarna, choć ma takie pozory. Mimo wszystko nie żałuję ani tego czasu w sumie przyjemnie spędzonego – na powietrzu, bez muzyki (wielki plus), wśród sympatycznych ludzi wokół – ani pieniędzy, które zapłaciliśmy za ten obiad.

FOT. ADOBE STOCK

Traktuję to jako doświadczenie kulturowe.

Bo widzę, że takich miejsc, przynajmniej w Warszawie, przybywa. Ich klientów – klasy tzw. kreatywnej (cokolwiek to znaczy) w grupie wiekowej 20–40 także. Nie lubią czy nie chcą gotować w domu, zwłaszcza w niedzielę, wypad do restauracji jest dla nich czymś całkowicie zwyczajnym. Są otrzaskani z kuchniami świata. Wolą spaghetti bolognese niż zrazy z kaszą, sushi to dla nich lunchowy banał. Naczytali się Ottolenghiego, Barona, Jamiego Olivera.

Jednak, jak widać, podłe jedzenie ze skomplikowanym, pretensjonalnym menu nie odstrasza ich. Ani to, że ktoś, kto to ugotował, kucharzem być nie może. Czy wystarczy w karcie przy każdym daniu wyliczyć jego wszystkie składniki (jakby przy kotlecie mielonym napisać: mięso wieprzowo-wołowe, jajko, bułka namoczona w mleku, bułka tarta, pieprz, sól, przyprawy)? Czy wystarczy ustawić leżaki, żeby restauracja zaczęła być dobra?

Po niedzielnej wizycie zaczynam uważać, że warszawskiej „klasie kreatywnej" to jednak wystarczy. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowa szkoła – druga próba

Rozpoczął się rok szkolny. Dzieciaki po półrocznej przerwie wejdą do klas. Będzie to drugi zaciąg szkolny w otoczce pandemii. Dobrze byłoby zobaczyć, czy wyciągnęliśmy jakieś wnioski. Po pierwsze – mamy już, fatalny, bilans zdalnej nauki. Mówimy tu o trojakiego rodzaju ofiarach, bo nie tylko o dzieciach, lecz także nauczycielach i rodzicach. Mamy kłopoty psychiczne, relacyjne z rówieśnikami, cierpi także soma (o dziwo bardziej u… nauczycieli i rodziców). W dodatku wyraźnie obniża się poziom nauczania i wiedzy uczniów. Za tym trendem w dół próbują nadążyć obniżające się kryteria egzaminacyjne, z maturą na czele. Mamy więc spory bagaż do takich decyzji na ten rok szkolny, aby uniknąć sytuacji ze zdalnym nauczaniem. To dobrze, że to widoczny priorytet.

Ale to wzmaga natężenie obaw, że jeśli to towarzystwo znajdzie się w jednym miejscu, to epidemia wybuchnie, zwłaszcza że dzieciaki mają być szczególnie wrednymi supernosicielami, którzy sami przejdą to lekko i bezobjawowo, ale położą nauczycielkę na rok przed emeryturą. W związku z tym trzeba się przyjrzeć kwestii szczepień, bo to ma być – podobno – jedyny puklerz, który nas ochroni. Jednak niepokojąca jest ostatnio odkrywana (przykład Izraela) słabość odporności poszczepiennej. W dodatku nie wszyscy nauczyciele się zaszczepili i rząd planuje dołączyć ich do grup z obowiązkiem szczepienia. Zobaczymy, czy rząd wprowadzi tu przymus, na razie wymusza, jak się da, bez ogłoszenia obowiązku. W szkołach mają się pojawić punkty szczepień, mimo że te poza szkołami świecą pustkami.

Ja jestem ciekaw tego boju. Moim zdaniem dojdzie do co najmniej presji na uczniów, by ci się szczepili. I może się to odbyć bez zgody rodziców. Choć – tu chlubnie – minister Czarnek zadeklarował, że nie będzie żadnego podziału wśród uczniów na tych zaszczepionych i niezaszczepionych. Zobaczymy, jak to będzie. Ja się obawiam jednak pewnego mechanizmu nacisku, nawet wewnętrznego. Jeżeli – i słusznie – zdalne nauczanie jest uznane za zło niekonieczne, to może dojść i tak do podziałów na młodzież w klasie zaszczepioną i niezaszczepioną. Ta pierwsza będzie obwiniać tę drugą za ewentualne zakażenia, skutkujące zamknięciem szkoły/klasy i odesłaniem wszystkich na nauczanie on-line.

Do tego zobaczymy, jak z rodzicami. Tu też mogą być pęknięcia, bo rodzice podchodzą do tego różnie. Na tyle różnie, że niektórzy zdecydowali się (oczywiście w służbie nauki) oddać swoje sześciomiesięczne dzieci do testów szczepionek na COVID. Tak, w Polsce. W swojej masie rodzice częściej dopuszczają zaszczepienie siebie niż dzieciaka, a i tak tych zaszczepionych dorosłych mamy tylko z połowę narodu. Wygląda na to, że władze chcą sobie akcją szczepienną w szkołach podreperować wypłaszczoną krzywą, nie zakażeń, bo ta poleciała na łeb, ale szczepień. Gdyby tak dodać do tego te miliony niezaszczepionych jeszcze dzieci, to statystyki szczepień podskoczyłyby do góry.

Mnie dość cieszy postawa ministra Czarnka, który jasno zadeklarował, że ani podziałów sanitaryzmu nie będzie, ani przymusu szczepień. Zobaczymy, jak to się uda, bo na dość logiczne argumenty ministra dotyczące wolności decyzji w sprawie szczepień oraz bezsensu kwarantanny dla ludzi zdrowych odpowiedzieli już krytycznie eksperci, z jastrzębiem prof. Simonem na czele. Jak bowiem można mieć inne zdanie niż fachowcy z Rady Medycznej, których decyzje są epidemiologicznymi dogmatami? To nic, że często nielogicznymi czy wyglądającymi na bezradne szamotanie się.

Kolejna batalia o zdrowie publiczne rozegra się teraz w klasach. Niestety, dzieci idą do szkoły wtedy, kiedy zaczyna się jesienna fala sezonowej grypy, a – jak dowiodły ostatnio badania – testy PCR używane do wykrywania COVID nie bardzo rozróżniają go od grypy. Możemy więc dostać kolejną falę fałszywie pozytywnych testów. Jeśli zamkną szkoły, to rodzice będą siedzieć z dzieciakami i zacznie się kolejny lockdown, bez potrzeby jego ogłaszania. ©℗

Wygląda na to, że władze chcą sobie akcją szczepienną w szkołach podreperować wypłaszczoną krzywą, nie zakażeń, bo ta poleciała na łeb, ale szczepień

eprasa.pl 45e9aec525

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ukryte czynniki

Królowa Elżbieta zamówiła 80 koszulek Cristiano Ronaldo z numerem 7 po tym, jak portugalski gwiazdor wrócił do Manchesteru United, czyli klubu, w którym zaczynał swą wielką karierę. Przy okazji Elżbieta poprosiła, by pierwszy podpisany przez piłkarza trykot trafił właśnie do niej. Zatem Ronaldo jest chyba jedyną osobą na świecie, którą królowa angielska poprosiła o autograf.

Tego lata na rynku piłkarskim miała miejsce prawdziwa orgia. Wydawano niebywałe sumy pieniędzy. Wspomniany Ronaldo kosztował akurat mało ze względu na swój wiek (ma 37 lat), ale np. taki Jack Grealish powędrował z Aston Villi do Manchesteru City za 100 mln funtów. Nieco mniej wydała londyńska Chelsea na potężnego napastnika Romelu Lukaku, którego odkupiła od Interu Mediolan. Real Madryt na nastolatka Camavingę wydał 30 mln euro, ale jeszcze bardziej szokuje oferta, która została odrzucona. Klub z Madrytu oferował 180 mln euro za francuskiego napastnika Mbappe. Ta fura pieniędzy została zignorowana przez Paris Saint Germain, klub należący do Katarczyków, których możliwości finansowe są – zdaje się – nieskończone.

Według dość zgodnych ocen było to najbardziej niesamowite okno transferowe w historii futbolu. Przynależność klubową zmieniły dwie największe gwiazdy ostatnich dekad (Ronaldo oraz Messi, który opuścił Barcelonę, z którą był związany od 13. roku życia). Wyjątkowej sztuki dokonał angielski Arsenal, który wydał ponad 130 mln funtów i nie kupił – zdaniem ekspertów – nikogo wartego tych pieniędzy.

To finansowe szaleństwo miało miejsce, chociaż ledwo parę miesięcy temu dziennikarze sportowi wieścili, że czeka nas ubogi sezon transferowy. Kluby piłkarskie miały zaciskać pasa z powodu pandemii. Brak widzów na trybunach miał owocować pustkami w kasie i bezruchem na rynku. Tymczasem… Tymczasem nawet na słabiutkiego walijskiego napastnika Dawida Jamesa, który ma dwie lewe nogi i jest surowy jak mięso na tatar, wydano 30 mln funtów.

Jako umiarkowanie spełniony dziennikarzyna i człek małostkowy uwielbiam wszelkie wpadki kolegów po piórze. A najbardziej lubię stanowcze eksperckie prognozy, które okazują się funta kłaków warte. Do wszelkich ekspertów stosunek mam nieufny, odkąd zauważyłem, że specjaliści od inwestowania, zamiast przepijać zyski na Bahamach, zajmują się zawodowo doradzaniem innym, gdzie mają lokować swoje pieniądze.

Owa orgia transferowa pokazuje zjawisko, które dotyczy oczywiście nie tylko piłki nożnej. Przewidzieć przyszłość – nawet tę bardzo bliską – jest niesamowicie trudno. Zazwyczaj wydaje się, że będzie ona jedynie prostym przedłużeniem tego, co tu i teraz. Ale zazwyczaj wcale tak nie jest. Rzeczywistość jest przebogata i z ciemnych zaułków nieoczekiwanie wypełzają czynniki, które wydawały się mało istotne. A które okazują się decydujące. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Z pamiętnika islamofobki

Małgośka – mówią mi – trzeba się przesunąć, musi starczyć miejsca dla wszystkich. To oczywiście frapująca koncepcja lewicy, w której myśl muzułmanie nie mogą zagościć w bratnich krajach Zatoki Perskiej, gdzie czuliby się jak w domu, jedząc, modląc się i żyjąc po swojemu, tylko koniecznie muszą ubogacić nasz region.

Pamiętam, jak parę lat temu znalazłam się w madryckim Novotelu, który nie wspominał na swoich stronach, że będę miała widok z okna na największy meczet w Europie i obok na największą kostnicę Hiszpanii. Muezin wzywał na modlitwę, a ja rozeźlona czytałam jedyną książkę, jaką miałam – „Dżihad i samozagłada Europy". Co parę stron spoglądałam za okno na M-30, czyli ogromny bunkier z wystającym minaretem, i dziwiłam się przerażającej dosłowności sytuacji. Pod nosem potakiwałam autorowi (hm, przyszłemu szefowi), bo przecież sama odczuwałam nieznośny infantylizm Europy i tchórzostwo mego Kościoła.

Specjaliści piszą, że w Koranie wymienionych jest 99 cech boga, ale żadna z nich nie kojarzy się z miłością. To jest też powód, dla którego muzułmanie nigdy nie zrozumieją Ukrzyżowanego ani naszej wiary. Dlatego nie wzruszają mnie zupełnie ich zimne od geometrycznego chłodu świątynie, które widziałam w Alhambrze, Kordobie, Saragossie. I dziwi mnie, ilekroć nawiedzeni rodacy po przejrzeniu folderów wzdychają, aby pojechać i zwiedzić pamiątki po Al-Andalus. Chcecie zobaczyć dotykalne piękno? Jedźcie zatem do Toledo, Segowii, Salamanki, Sewilli. I przygotujcie się, że wam będą sprzedawać legendę o tzw. pokojowym współistnieniu trzech kultur: katolickiej, muzułmańskiej i żydowskiej. Hiszpańscy mediewiści o słabszych nerwach dostają w tym momencie zawału lub ataku szału – zależnie od temperamentu – choć wiedzą, że to niezbędna propaganda przygotowująca nas na świat multi-kulti. Kto dziś pamięta o Cervantesie w lochach Algieru, który dzielił los tysięcy chrześcijańskich więźniów zniewolonych przez muzułmanów? Kto wie, że królowa Izabela wściekła się na Kolumba, gdy ten przywlekł parudziesięciu niewolników, bo było to wbrew jej edyktom? Nikt. Historię niewygodną ocenzurowano. I wystarczy o tym powiedzieć, żeby zostać „islamofobem".

Tylko czemu hiszpańskie Stowarzyszenie przeciwko Islamofobii, obficie dotowane przez ratusz Barcelony, świętowało hucznie zwycięstwo talibów w Afganistanie? Bo to właśnie jest prawda o islamie, którą usiłuje się zagłuszyć. Skutkiem dziwnego „kryzysu klimatycznego" to przede wszystkim minarety rosną w Europie jak grzyby po deszczu. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kuzynka „wroga ludu”

Dopiero w 1947 r., po interwencji noszonego na rękach Tuwima, komuniści zgodzili się na powrót do kraju Kazimiery Iłłakowiczówny, sanacyjnej poetki, osobistej sekretarki marszałka Piłsudskiego. Odmówili jednak zameldowania w Warszawie, mieszkania, posady w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, na co początkowo naiwnie liczyła.

Osiedliła się więc w „Poznaniu, na wygnaniu”, gdzie miała przyjaciół Wilniuków Zapraszał dobry znajomy – Wacław Kubacki, ówczesny prezes poznańskich literatów. Zamieszkała w jednym pokoju zatłoczonej, kwaterunkowej komunałki. Żyła z lekcji języków obcych, biedowała. Na domiar wszystkiego – co pomija zupełnie jej biografia pióra Joanny Kuciel-Frydryszak – dopadł ją UB, dogrzebując się na nią „haka” o wiele groźniejszego od sekretarzowania Piłsudskiemu.

Iłłakowiczówna była kuzynką Jerzego Olgierda Iłłakowicza (1908–1984), z którym bardzo się przed wojną przyjaźniła, choć był od niej młodszy i jako zagorzały narodowiec miał od niej, zwolenniczki Piłsudskiego, inne poglądy. Mimo to bywał na urządzanych przez nią cotygodniowych „herbatkach”, gdzie poznał Marszałka, ona natomiast u jego rodziców, w ich dworze w Łaziskach w województwie lubelskim, m.in. na rekonwalescencji po pierwszej wojnie światowej, pracy sanitariuszki.

Podczas okupacji żona Jerzego Iłłakowicza – Irena – była agentką wywiadu Narodowych Sił Zbrojnych. Została zamordowana w 1943 r. przez komunistów. On sam natomiast, już jako „Zawisza”, był żołnierzem NSZ, współtwórcą Związku Jaszczurczego, kolejnej konspiracyjnej organizacji bojowej narodowców. Jesienią 1944 r. został z NSZ-owcami, przeciwnymi podporządkowaniu się AK, dołączając do Brygady Świętokrzyskiej, która przebiła się na Zachód, do wojsk w amerykańskiej strefie okupacyjnej. W 1953 r. wyemigrował do Ameryki, działał w organizacjach kombatanckich.

Żołnierzom NSZ, zwłaszcza Brygady Świętokrzyskiej, walczącej nie tylko z Niemcami, lecz także z komunistami, propaganda PRL szyła czarną legendę faszystów, kolaborantów. Karano ich wyrokami śmierci. Latami bezpieka usiłowała namierzyć Iłłakowicza, inwigilując pozostawioną w kraju jego rodzinę – córkę, brata i kuzynkę Kazimierę. Podejrzewano, że nadal utrzymuje z nim kontakt. Dniami i nocami pod jej kamienicą i drzwiami mieszkania kręcili się więc smutni panowie, obserwując, kto ją odwiedza.

W 1953 r. założono perlustrację jej rozległej korespondencji krajowej i zagranicznej („wychodzącej i przychodzącej”), prowadzonej w kilku językach. Zatrudniono kilkudziesięciu tłumaczy. Listy fotografowano, sporządzając na ich podstawie spis jej kontaktów. Oddawano je do Laboratorium Chemicznego MBP, gdzie badano je promieniami ultrafioletowymi, aby sprawdzić, czy nie zawierają pisanej sympatycznym atramentem utajnionej korespondencji wywiadowczej z Jerzym, Georgem, Żorżem, Jorisem. Prześwietlano też wysyłane przez nią czasem wiersze, np. „Stolarz i ptak” napisany w Rumunii po śmierci znajomego pana Bochenka („Polaka ze Lwowa, co na węgierski chleb przywędrował”). Sięgano absurdu, analizując zdjęcia oraz rysunki na wysyłanych przez nią pocztówkach, podnosząc alarm po wytropionym zdaniu „U Jurków wszystko w porządku”.

Iłłakowiczównę podejrzewano o utrzymywanie kontaktu z kuzynem, żołnierzem Brygady Świętokrzyskiej. Dniami i nocami pod jej kamienicą kręcili się smutni panowie. Przeglądano jej korespondecję i paczki

Kontrolowano też przychodzące do niej zagraniczne paczki, głównie żywnościowe, podstawy jej egzystencji. Często je uszkadzano, rozsypując cenną kawę i ryż. Poetka prosiła więc swoich darczyńców o dołączanie spisu wysyłanych produktów i pakowanie ich w szczelnie zamknięte metalowe pudełka. W jednym z listów skarżyła się, że jakaś poczciwa kobiecina przyniosła w płachcie całą zawartość jej paczki, która trafiła do niej omyłkowo (?) wraz z listem z jej adresem.

Także w paczkach szukano tropu Jerzego, ale zawierały one tylko kawę, herbatę, kakao, leki, witaminy, mydła, pończochy, książki (nigdy jednak zakazane). Poetka domyślała się inwigilacji i ani razu nie napisała niepotrzebnego słowa.

Po trzech latach kosztownych badań UB zamknął sprawę, przyznając, że ani jej korespondencja, ani otrzymywane paczki nie wykazały jej kontaktów z Iłłakowiczem – nagrodzonym w 2018 r. pośmiertnie przez prezydenta Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, jednym z naszych najwyższych państwowych odznaczeń. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

Z AUSTRALII

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Doktor nauk medycznych Josef Mengele prowadził eksperymenty naukowe w Auschwitz bez oglądania się na ludzkie cierpienie. Doktor Anthony Fauci eksperymentuje na populacji USA i świata. Mengele kazał wstrzykiwać ludziom różne preparaty i Fauci też. Obaj prowadzili eksperymenty bez zgody pacjentów – pod przymusem. Fauci finansował mutacje wirusów w Wuhan, Mengele eksperymentował z tyfusem. W obu przypadkach mamy do czynienia z chorobą zakaźną powodującą niebezpieczne epidemie i śmierć milionów ludzi.

Zbyt ostre porównanie? Och, przepraszam, ale w czasach dr. Mengele uchodził on za wybitnego naukowca, podobnie jak dzisiaj dr Fauci. Dopiero po wojnie wyszło szydło z worka, ale było za późno, bo uciekł. Mengele zmarł w Brazylii w roku 1979, kąpiąc się w oceanie. Był człowiekiem wysokiej kultury, czytał Tołstoja, słuchał Beethovena, kochał psy i szarlotkę. Co nie przeszkadzało mu być bydlakiem, który nie ogląda się na ludzkie cierpienie. Był zdolnym naukowcem, a nawet bohaterem wojennym – walczył po złej stronie, ale jego czyny były obiektywnie bohaterskie. Za ewakuację załogi rozbitego czołgu dostał Krzyż Żelazny, a potem drugi za wyciągnięcie rannych z płonącego pojazdu i udzielenie im pierwszej pomocy pod ostrzałem wroga. We własnym mniemaniu był porządnym człowiekiem ratującym życie wielu i budującym postęp nauki. A że przy okazji niszczył życie wielu, no cóż – koszta społeczne muszą być.

Doktor Fauci uważa podobnie – że dla dobra ludzkości koszta społeczne muszą być.

Obaj panowie to po prostu eksperci na usługach władzy, tyle że ta władza jest totalitarna.

***

Ktoś uważa, że obecna pandemia nie doprowadziła (jeszcze albo wcale) do totalitaryzmu? Patrzcie na Australię. My ją nadal uważamy za kraj cywilizowany i demokratyczny, gdy tymczasem…

Lockdown trwa tam od marca 2020 r., czyli 18 miesięcy. Cała populacja kraju przebywa w areszcie domowym. Wychodzić z domu wolno wybrańcom wskazanym przez państwo. Kto złamie zakaz, ten jest ciężko karany.

Ośmiu nastolatków aresztowano, skuto i zabrano suką oraz nałożono im grzywny po tysiąc dolarów za to, że po miesiącach siedzenia w domu poszli na plażę, by obejrzeć zachód słońca.

Kontrole w domach i rewizje, przymusowe szczepienia i testy medyczne oraz wyrzucanie z pracy za brak stosownej dokumentacji medycznej uprawniającej do roboty. Bo pracować wolno tylko tym, którym władza na to zezwoli – reszta ma siedzieć w domowych aresztach.

Schronisko dla psów. Władza wystrzelała wszystkie zwierzęta po to, by ludzie nie przychodzili ich adoptować.

Donos sąsiadów i nalot policji na kościół, aresztowanie całych rodzin, bo to „zachowanie aroganckie i samolubne, że poszli na Mszę".

Ogólnonarodowy pościg służb za mężczyzną, który kichnął w windzie i zbiegł z miejsca zdarzenia przed poddaniem się testom na COVID.

Zakaz podróżowania. Nie wolno odwiedzić umierającej matki, nie wolno jej pochować, choć nie zmarła na COVID.

***

Co jest celem tak okrutnej przemocy? Jeżeli władza chce uzyskać zero zgonów, to cel nie będzie osiągnięty nigdy, a restrykcje pozostaną na zawsze. Gdybyśmy chcieli do zera zlikwidować wypadki drogowe, trzeba by zakazać używania aut i przesiąść się na rowery. Więc to nie zero jest celem władzy. Nie sądzę. Już w tej chwili osiągnięto zero, bo w Australii umiera 1,5 osoby dziennie. Dziesięć osób tygodniowo na 25 mln mieszkańców to jest zero.

Władza chce zaszczepienia całej populacji. Wcześniej była mowa o 70 proc. bez przymusu, teraz chcą 80 proc., a nawet 100 proc. Wszyscy co do jednego wyszczepieni? To niewykonalne, chyba że zaprowadzi się totalitaryzm.

***

Jak to wszystko możliwe w demokratycznym państwie? W demokratycznym… niemożliwe.

Protesty w Australii, owszem, są, ale tłumione z taką siłą jak u nas w stanie wojennym. Oddziały australijskiego ZOMO uzbrojone po zęby, kaski, tarcze, zasłonięte twarze, gaz, sikawki, konie i psy bojowe oraz strzelanie w tłum z gumowych kul, które łamią żebra lub krtań, wybijają oczy. A potem pałowanie leżących na ziemi, kajdany i wrzucanie do suki tak, jak się rzuca worem kartofli. Mogą to Państwo pooglądać w sieci lub na stacji Sky Australia. Gdy człowiek nieuprzedzony widzi sam obraz, myśli, że „to pewnie Iran lub Korea".

***

Australia była kiedyś kolonią karną i jest nią znowu. Wrócił podział na uprzywilejowanych strażników i na całą resztę, której nie wolno wychodzić poza wyznaczony teren. Moim zdaniem Australia jest terenem testowym. Jeżeli ludzie, kiedyś wolni, zaczynają coś tolerować, to władza im to zrobi. A potem zrobi im jeszcze więcej. W Australii znormalizowano takie rzeczy, które nam nadal nie mieszczą się w głowie – no przecież to NIEMOŻLIWE, żeby policja poszła wystrzelać wszystkie psy w schronisku.

Okrucieństwo i totalitaryzm zracjonalizowano – jest COVID, więc jest powód, jest usprawiedliwienie. Okrucieństwo znormalizowano w Niemczech za czasów dr. Mengele, w Sowieckiej Rosji, we współczesnych Chinach, gdzie zamyka się ludzi w obozach, a potem wycina się im organy na handel. Czym to się różni od eksperymentów Mengele, który też wycinał ludziom różne rzeczy i sprawdzał, co jeszcze da się wyciąć tak, aby „pacjent" nadal żył?

***

Doktor Fauci zachwala lockdown, który spowodował, że miliony ludzi utyło, średnio o 10 kg. Otyłość prowadzi do zwiększonego ryzyka śmierci na COVID. W Kalifornii ludzie podpisywali petycję, by aresztować niezaszczepionych. Petycja była fałszywa – test na sprawdzenie, jak daleko jesteśmy w stanie dobrowolnie posunąć się w budowaniu totalitaryzmu. Nieważne, że fałszywa – przerażające, że podpisywali. W tej sytuacji niezaszczepionych czeka Kryształowa Noc, obozy odosobnienia („izolacji") i ostatecznie przymusowe wstrzykiwanie preparatu bez zgody pacjenta, bo społeczeństwo tego chce, a koszty społeczne muszą być. Już teraz wielu z nas dobrowolnie nosi opaski COVID, tyle że w komórce. ©℗

eprasa.pl 45e9aec525

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
CARIE GRESS:
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~373 ZŁ~~

184,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 189 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 45e9aec525

PGNiG

FILM **BRACI SYKÓW**

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

MECENASEM FILMU JEST

POLSKIE GÓRNICTWO NAFTOWE I GAZOWNICTWO

Premiera 17 września 2021 r.

epresa.pl 45e9aec525